Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 34 (1378) ROK XXVII 25 SIERPNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Przed pierwszym wystrzałem
■ Mick Jagger chce więcej
■ „Srebrny Ptak" nad Afganistanem
■ Taniec w tunelu
■ Śpioch

Fot. Grzegorz Gałasiński

Obok kilowatów rocka...

JACEK BINKOWSKI

Po co przyjechałeś do Jarocina? (podkreśl 3 najważniejsze odpowiedzi):
— słuchać muzyki
— spotkać się z ludźmi, z którymi się dobrze czujesz
— szukać nowych wartości duchowych
(z ankiety festiwalowej)

Przyjechało was do Jarocina około 15 tysięcy. Z całej Polski, z większych i mniejszych miasteczek. Macie po piętnaście, szesnaście, dwadzieścia i dwadzieścia pięć lat. Pierwsze namioty rozbiliście już w piątek, na kilka dni przed festiwalem. Przez kilka dni było was pełno w pociągach jadących w kierunku podpoznańskiej miejscowości. Jesteście na Festiwalu Muzyków Rockowych po raz pierwszy albo kolejny. Trzeci, nawet czwarty. Na co dzień muzyka rockowa nie jest wam obca. Słuchacie radia, magnetofonów, chodzicie na koncerty w waszych miejscowościach. Na co dzień żyjecie rockiem, bo daje wam odrobinę wolności, możliwość wyżycia się, oderwania od szarej i monotonnej rzeczywistości, której się najbardziej boicie. Jarocin jednak jest czymś innym i niepowtarzalnym. Festiwal w Jarocinie jest największą tego typu imprezą w kraju, tutaj przyjeżdża najwięcej zespołów, tutaj czujecie się pewni siebie, swobodni i niezależni. W Jarocinie dozwolonych jest wiele „chwytów", na które część z was nie stać na co dzień. Możecie się dowolnie ubierać, dowolnie tańczyć, spać kiedy macie na to ochotę, żywić się tylko chlebem z miłem, słuchać do woli muzyki, którą kochacie.

Mieszkacie przede wszystkim na polu namiotowym. W olbrzymim miasteczku namiotowym rozmieszczonym na 10 hektarach zaoranej ziemi. Jest was tam ponad 10 tysięcy w 3500 namiotach. Zapłaciliście po „trzy stówy", żeby mieć kawałek miejsca pod namiot, wodę, toalety i punkty, gdzie można kupić żywność, gazetę, widokówki, papierosy. Narzekacie, że pole namiotowe zostało zlokalizowane blisko wysypiska śmieci i że na stadion, gdzie odbywają się koncerty trzeba iść pieszo ponad 2 kilometry. Mimo wszystko dopisuje wam jednak humor. Przez radiowęzeł znajdujący się na polu namiotowym nadajecie wymyślne i dowcipne komunikaty. Piszecie na karteczkach tekst, który przeczyta spiker.

„Nieśmiały chłopiec, jedna czwarta głowy rudej: trzy czwarte szatyn, mały 16-letni, który chodzi z większym, czeka na ładną, małą dziewczynkę w fioletowych spodniach, w warkoczu i w białych chińskich trampkach...

Albo bardziej odważnie:

Przyjmę do nauki kochania atrakcyjną dziewczynę z nie

7

Z karabelą na artykuł 38

ROBERT GLUTH

Pewien wielki mąż stanu, kiedy odpowiadał za swojego ministra skarbu, przed Trybunałem Stanu przed wojną, to zaczął grzecznie: „Wysoka Izbo". A w trakcie przemówienia zaczął grzmieć: „to wam sukinsyny chodzi o fotele, burdele, serdele". Nie będę szedł w jego ślady i wszystkie swoje oceny tutaj wycieniuję, chociaż nie należałoby.

Proces ciągnie się od marca 1983 i nie wiadomo kiedy się skończy, a więc może przeciągnie się na dwa i pół roku. Lecz rzecz ma się w mojej praworządnej ojczyźnie, gdzie ustawy są jednoznaczne i praworządne, ale cwaniaków, którzy potrafią omijać te ustawy jest wielu i praktyka niestety mija się z intencjami prawodawcy.

Zacznijmy od początku — być może społecznie najmniej ważnego, ale bardzo ważnego dla ludzi pracy, ciężkiej, cholernie ciężkiej pracy w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń. W pewnym momencie tego reportażu, którego autor posiada w rękach całość akt procesowych oraz pism towarzyszących (a więc wara od przegranej sprawy o zniesławienie) — nastąpiła ostra kolizja pomiędzy czterdziestoma pośrednikami ubezpieczeniowymi PZU a Inspektoratem PZU w Łodzi, al. Kościuszki nr 57.

6

— *Witam. Pan u nas pierwszy raz?*

— Tak pierwszy. Jestem zaproszony przez Mariusza...

— *Chwileczkę.*

W bocznych drzwiach staje dwumetrowy osiłek. Mierzy mnie wyłupiastymi oczkami — od twarzy do stóp i jeszcze raz...

— *Niech pan zdejmie okulary.*

Osiłek przecząco kiwa głową.

— *Przepraszam, ale to było konieczne. Można łatwo sparzyć się — pan rozumie... Proszę. Pani Ewa wprowadzi pana do towarzystwa. Życzę powodzenia.*

Teraz wolno mi przestąpić próg

KONTAKT

Dom hazardu albo — to brzmi bardziej elegancko — kasyno gier. „Podziemny" światek rozrywki wąskiej elity rodzimych biznesmenów, playbojów tudzież oldbojów, spragnionych egzotyki, szukających odtrutki na mizerny kawiarniano-estradowy show. Odrobina niepospolitego hazardu z atrakcyjną etykietką „nielegalny". Emocje przy zielonym stoliku jakich nie dozna szeregowy śmiertelnik, a nade wszystko towarzystwo, które dobrze wie co to zabawa, ma gest i nie spogląda zawistnie na cudze ręce odliczające gotówkę.

— *Nie, nie. Rzym tego roku nie był tak upalny jak kiedyś, za to w Lizbonie było cudownie...*

— *Myśli pan, że Austria otworzy dla nas granice...*

Aby przekroczyć próg takiego kasyna potrzebny jest dobry kontakt, a ściślej ujmując, potrzebna jest rekomendacja osoby wprowadzającej — kogoś z grona stałych bywalców, zaufanego i sprawdzonego kompana wieczornych uciech. No i oczywiście niezbędna jest duża gotówka, wespół z zamiarem właściwego jej spożytkowania.

Było tak: Mariusza poznałem przed kilkoma laty. Szukał wtedy okazji szybkiego zrobienia fortuny. Mówił: *„Żadna praca podobno nie hańbi, ale męczy — oj, okrutnie męczy".*

ROMAN KUBIAK

Noc w kasynie

Zwąchał się z cinkciarzami, potem próbował zakładać własny interes w branży gastronomicznej. Nie miał szczęścia, a może po prostu byli w tym fachu sprytniejsi od niego. Pojechał na saksy i długo, długo nie dawał znaku życia. Aż któregoś dnia wrócił podrapanym garbusem z miną pogromcy Europy.

— *Robiłem — co będę bujał, robiłem* — powiedział wtedy — *Zaczepiłem się w firmie budowlanej. Zapieprzaliśmy na czarno — ja, trzech Jugoli i Marokańczyk. Myślisz, że to był obciach? Nie, trzeba było widzieć jednego doktora od czegoś tam, z Wrocławia. Gość właził bracie do kanałów — na czterech właził, żeby załapać parę marek...*

Miesiąc jeszcze snuł się po starych kątach, opowiadał, pokazywał zdjęcia. Pewnej niedzieli zatankował garbusa i ruszył zamieniać w czyn to, co wydumał na Zachodzie. A wydumał, że wesprze kaleki rynek prywatnym importem. Brakuje rajstop — proszę bardzo. Mariusz śle list do przyjaciół, którzy zostali po tamtej stronie granicy. Przychodzi paczka — jedna, druga, trzecia. Mariusz zabiera towar i rozwozi go po butikach — od morza, aż po Tatry. Zamienia złote na „zielone", reguluje kredytowe zobowiązania i bacznie obserwuje czego aktualnie potrzebuje kraj. Brakuje dżinsów, kosmetyków, kawy, szamponu — proszę bardzo...

Spotkałem go na Piotrkowskiej — bo gdzie indziej spotkać można znajomych. Wstąpiliśmy do Dziekanki.

— *Jak ci leci?* — i nie czekając na odpowiedź: — *Widzę, że nieźle. Słuchaj, potrzebuję ze dwa, trzy pewne adresy, na które można nadać paczki z Niemiec. Nie za darmo. Odpalę tym ludziom według cennika. Masz kogoś takiego?*

— Może i mam...

— *Wykombinuj coś. A teraz trzymaj się mocno. Chcesz zagrać w prawdziwą ruletkę?*

— ?...

— *Trafiło cię, co? Mnie też za pierwszym razem zamurowało. Uważaj, poznałem ludzi — sama śmietana. Mają kasyno, a ja dwa razy w tygodniu trzymam tam kasę. Mogę ściągać zaufanych gości, bo kręcę się tu i tam, znam tego i owego. Zabieraj kupę szmalu i jedziemy...*

Dobre sobie — *„zabieraj kupę szmalu"*. Czemu nagle posądza mnie o taki luksus? Ależ nie, on zwyczajnie płaci propozycją za złotodajne *„pewne adresy"*. Nie mam kupy szmalu to pewnie nie skorzystam z oferty, ale on, Mariusz będzie wobec mnie fair. A właśnie, że skorzystam...

TOWARZYSTWO

Pani Ewa wprowadza mnie do towarzystwa. Towarzystwo jest zajęte grą. Okupują miejsca wokół długiego stołu. Nikt nie zwraca uwagi na nasze wejście.

— *Rien ne va plus* — ogłasza krupier.

Skąd oni wytrzasnęli takiego krupiera? Nienaganna aparycja czarny strój, wy-

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wiimański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2366. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

Według popularnego przysłowia: „im głębiej w las, tym więcej drzew". Mogłoby się wydawać, że to przysłowie nie ma nic wspólnego z historią, bowiem w historii powinno być tak, że im dalej od jakiegoś wydarzenia, tym więcej o nim wiemy, tym mniej emocji z nim wiążemy i tym mniej zagadek i niewiadomych mamy do wyjaśnienia. Wraz z mijaniem czasu ujawniają się dokumenty, krystalizują się poglądy. Ale oto okazuje się, że tak wcale nie jest. Okazuje się, że mimo upływającego czasu zagadki i niejasności wcale się nie wyjaśniają, a niekiedy przeciwnie, dopiero się ujawniają. Czas i racjonalna analiza dokumentów wcale nie wpływają niszcząco na mity i legendy, ale niekiedy potrafią one powstawać mimo tego.

W ubiegłym tygodniu pisałem o dwu hipotezach opublikowanych w „Tu i Teraz", które redakcja sama określiła, że są *„na granicy fikcji"*. Były to hipotezy Kazimierza Koźniewskiego (*„Zagadka trzech dni"*) i Karola Obidniaka (*„Preludium"*). Kazimierz Koźniewski poddał te hipotezy krytycznemu osądowi prof. Eugeniusza Duraczyńskiego, który skonfrontował je z faktami i wydawało się, że wszystko jest w porządku, bowiem obie one tej konfrontacji nie wytrzymały. Ale

KAROL OBIDNIAK NIE DAŁ ZA WYGRANĄ

i na łamach „GŁOSU ROBOTNICZEGO" z 14 sierpnia 1984 roku opublikował artykuł dyskusyjny z nadtytułem *„Polityczne aspekty Powstania Warszawskiego"* oraz z tytułem *„Umieranie prawdy"*. Redakcja ze swej strony wyjaśniła, iż artykuł Karola Obidniaka *„jest też próbą odpowiedzi na pytania i wątpliwości prof. dr hab. Eugeniusza Duraczyńskiego"*, które to pytania i wątpliwości miały być *„wypowiedziane w wywiadzie"* udzielonym „Tu i Teraz".

Dochodzenie prawdy musi się odbywać w toku dyskusji i polemik. Dobrze jest, kiedy rodzą się nawet fantastyczne hipotezy, pozwalają one bowiem spojrzeć na wydarzenia historyczne z innego punktu widzenia, co często pozwala nie tylko widzieć te wydarzenia w kilku wymiarach, ale też nieustannie zbliżać się do prawdy. Jeden tu wszakże musi być warunek: hipotezy te muszą opierać się na faktach a nie na domniemaniach. Mają służyć dochodzeniu prawdy, a nie sianiu zamętu. Skoro więc Karol Obidniak przedstawił swoje poglądy publicznie, to i publicznie należy nad nimi dyskutować, jako że trudno z tymi poglądami zgodzić się, nie mieć wobec nich poważnych wątpliwości.

Główna myśl *„Umierania prawdy"* zawiera się właściwie w następujących stwierdzeniach:

„Idea odcięcia Europy od Rosji ma swoją długą historię, zaś po Rewolucji Październikowej nabrała niezwykłej żywotności, będąc w Anglii, na przykład, tematem nie kończących się dysput, dalekosiężnych planów, które skrywane skrzętnie, ujawniły się z całkowitą brutalnością dopiero w sierpniu 1944 roku w inicjacji Powstania Warszawskiego, krwawego preludium do „zimnej wojny". Ta banalna prawda wymyka się jednak świadomości Polaków. Ginęła w doskonale przez Brytyjczyków zorganizowanej dezinformacji na wszystkich szczeblach polsko-angielskiej współpracy".

KAROL OBIDNIAK OSKARŻA WINSTONA CHURCHILLA

nie mniej nie więcej tylko o wywołanie powstania w Warszawie, a to w celu wyrwania Polski spod rodzących się wpływów Rosji i zahamowania tych wpływów na dalszą część Europy. Spór o genezę powstania w Warszawie toczy się już od dawna i można do tego sporu włączyć i taką hipotezę. Pod warunkiem jednak, że opiera się ona na faktach. A tymczasem Karol Obidniak pisze, że *„Anglicy jak ognia unikali w stosunkach z sojusznikami porozumień pisemnych. Nie szczędzili natomiast poufnych obietnic i zapewnień... Bywało, że obietnice zbiegły się z podpisanymi uroczyście zobowiązaniami, ale były to przypadki zupełnie wyjątkowe"*. Skąd wobec tego wiadomo o tych poufnych obietnicach i zapewnieniach, jeśli żaden ślad po nich nie pozostał, a co więcej sprytni brytyjscy politycy pozostawili *„tylko te, które ich autorzy chcieli, aby znalezione były"*. Czyżby Winston Churchill zwierzył się z tych tajemnic Karolowi Obidniakowi?

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Winston Churchill — stary antykomunista — nie był zachwycony tym, że Armia Czerwona wyzwoli spod okupacji hitlerowskiej znaczną część Europy. Miał on przecież koncepcję uderzenia na Europę przez Bałkany, a to w celu utrzymania Europy wschodniej pod brytyjskimi wpływami. Franklin Delano Roosevelt zwierzył się w Teheranie swemu synowi Elliotowi:

„...ilekroć premier Anglii dowodził konieczności uderzenia przez Bałkany, było zupełnie jasne dla każdego z nas na sali, co miał istotnie na myśli. Że przede wszystkim chciał wbić nóż w środkową Europę, żeby nie dopuścić Armii Czerwonej do Austrii, Rumunii, a jeśli się da, to i Węgier. Stalin to rozumiał, ja to rozumiałem, każdy to rozumiał".

Nie ma też wątpliwości, że Winston Churchill kierował się wyłącznie interesami Imperium Brytyjskiego. Włodzimierz T. Kowalski charakteryzując tego polityka napisał:

„Dążąc ze wszystkich sił do oszczędzania krwi żołnierzy brytyjskich, wysyłał na najbardziej ryzykowne operacje Kanadyjczyków, Australijczyków, Polaków i Nowozelandczyków, a nawet Amerykanów. W jego postawie uwidacznia się „lekceważenie" i wręcz „pogarda" dla małych państw..."

Ale to jeszcze nie powód, aby Winstona Churchilla demonizować i przypisywać mu czyny, które trudno mu udowodnić. Politycy niejednokrotnie uciekali się i uciekają się do tajnej dyplomacji, ale na ogół historycy później potrafią im to udowodnić.

KAROL OBIDNIAK OPIERA SWA HIPOTEZĘ

na zdaniu wypowiedzianym przez Winstona Churchilla wobec Stanisława Mikołajczyka:

„...zróbcie coś, żeby świat widział, że walczycie z Niemcami...!!!"

Uważa, że to było wezwanie do powstania. Ale wystarczy uważnie przeczytać *„Meldunek 243"* z 14 lipca 1944 roku wysłany przez KG AK do Londynu, aby zrozumieć, o co tu chodziło. Jest tam takie zdanie:

„...wyrwanie Sowietom złośliwego atutu do zaliczania nas w poczet cichych sprzymierzeńców Niemców lub nawet tylko neutralnych w stosunku do Niemców..."

To był jeden z celów politycznych walki w kraju w przededniu wyzwalania ziem polskich przez Armię Czerwoną. Polska od wieków zwrócona była twarzą ku Zachodowi. Stamtąd oczekiwano wyzwolenia. A tu nagle rzeczywistość spłatała politykom figla. Wyzwolenie nadchodziło od Wschodu. Emigracyjny rząd polski nie miał żadnych stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim. Toczyły się zacięte spory o granice. Polskie podziemie związane z Londynem nadal uważało, że kraj znajduje się w strefie wpływów brytyjskich, podczas gdy faktycznie wchodził w strefę wpływów wschodniego partnera antyhitlerowskiej koalicji.

Jaka była koncepcja powstania w Warszawie? Płk Józef Szostak — „Filip" na pytanie gen. Tadeusza Pełczyńskiego — „Grzegorza", jakie są niezbędne warunki dla przeprowadzenia powstania w Warszawie, odpowiedział:

1. decyzja podjęcia walki powinna zapaść w Warszawie a nie w Londynie,
2. niezbędne są zrzuty lotnicze uzbrojenia,
3. musi do Warszawy przybyć polska brygada spadochronowa.

Decyzja o powstaniu mogła zapaść w Warszawie, ale decyzje o zrzutach i desancie musiały zapaść w Londynie. Ale już w tym czasie w umyśle marszałka Bernarda L. Montgomery'ego kiełkował pomysł użycia wojsk desantowych dla opanowania mostów na Renie. Zgodę Dwighta D. Eisenhowera otrzymał on wprawdzie dopiero 5 września 1944 roku, ale kosztowało go to sporo trudu i zabiegów, nim zgoda ta stała się faktem. Polscy spadochroniarze potrzebni byli Brytyjczykom w zupełnie innym miejscu. Praktyka też pokazała — niestety — że i zrzuty lotnicze broni były mrzonką. Powstanie miałoby szansę powodzenia, gdyby było synchronizowane z postępem wojsk radzieckich, gdyby radzieckie sztaby uznały je za manewr wspomagający. A tak przecież nie było.

Przestańmy więc szukać różnych „usprawiedliwień" na zewnątrz, w zamiarach innych. Poszukajmy raczej przyczyn w nas samych, w naszym sposobie myślenia. Zawsze byliśmy skłonni liczyć na to, że inni nam pomogą, że się za nami ujmą. Jak na tym wychodziliśmy uczą dziś w szkole. Rozumowanie Karola Obidniaka jest odwróceniem tylko tego sposobu myślenia. To ten wstrętny i chytry Anglik, Winston Churchill wrobił nas w tę tragiczną historię z powstaniem. A myśmy własnego rozumu nie posiadali?

Dość już mamy mitów w najnowszej historii, nowych nie ma potrzeby tworzyć. Ale podyskutować zawsze można. Tylko, aby ta dyskusja uczyła nas realizmu.

Na zakończenie tego dość monotematycznego przeglądu prasy chciałbym już tylko w formie sygnałów zwrócić uwagę na

WSPOMNIENIA JANA KOPROWSKIEGO

o latach spędzonych w Łodzi. W „ARGUMENTACH" (nr 34 z 19 sierpnia 1984 r.) w siódmym już odcinku *„Przeszłość nie umiera. Wspomnienia 1945 — 1980"* autor wspomina *„Łódzkie lata"*. Jan Koprowski sprowadził się do Łodzi w sierpniu 1950 roku. To już — jak pisze — była inna Łódź. Inna od tej, jaką znał z opowiadań i lektur, a więc inna od Łodzi przedwojennej. I inna od tej, jaką była Łódź zaraz po wojnie, gdy pełniła rolę stolicy, gdy tu byli artyści, pisarze, dziennikarze, uczeni, politycy, którzy później przenieśli się do Warszawy.

Zamieszkał Jan Koprowski w Łodzi w Domu Literatów na rogu ul. A. Mickiewicza i al. T. Kościuszki w mieszkaniu po Arturze Sandauerze. *„Sandauer pozostawił mi w spadku „Biblię" w języku hebrajskim oraz „Czarodziejską górę" Tomasza Manna po niemiecku. Jak na początek — dobre i to"*.

A później była współpraca z „Dziennikiem Łódzkim", gdzie dział kulturalny prowadził Leopold Beck, który potrafił o 12 w nocy zadzwonić z zamówieniem wiersza okolicznościowego na 12 w południe. Była praca w Teatrze Nowym u Kazimierza Dejmka w charakterze kierownika literackiego, która przyniosła w rezultacie powieść „Potomkowie Tespisa". Powieść tę *„aktorzy uznali"* za paszkwil na teatr. *„Pisali nawet listy do ministra kultury i sztuki o wycofanie mej powieści z obiegu, ale na szczęście do tego nie doszło"*.

Również w „TU i TERAZ" w cyklu *„Moja trasa W-Z"* wspomina Jan Koprowski Łódź — *„Kwiaty dla Łodzi"* — prezentując co inni pisali o tym mieście: Adolf Nowaczyński, Józef Roth, Alfred Döblin, Adolf Rudnicki i Edward Kozikowski.

„Nam życie w Łodzi ułożyło się dobrze" — wyznaje Jan Koprowski — *„jesteśmy związani z Łodzią na zawsze"*.

I już tylko z kronikarskiego obowiązku donoszę Czytelnikom, że w „RZECZYWISTOŚCI" Aleksandra Godlewska (nr 33 z 12 sierpnia 1984 r.) opublikowała szkic pt. „Skiroławki i recenzenci".

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

CZTERY LATA TEMU, W POŁOWIE SIERPNIA

wybuchły w Polsce strajki. Różne i złożone były ich przyczyny. Była to już druga — po lipcowej — fala strajków. Były one najsilniejsze i najszersze w historii Polski Ludowej. „RZECZPOSPOLITA" przypomina z tej okazji w artykule „Rocznicowa refleksja", iż zostały one rozwiązane poprzez dialog, trudny, długi, dramatyczny, ale skuteczny.

„W przekonaniu co do słuszności obrania takiej — pisze „RZECZPOSPOLITA" — a nie innej drogi rozwiązania konfliktu umacniał fakt, iż większość robotniczych postulatów z sierpnia 1980 roku pokrywała się z wnioskami i postulatami wysuwanymi dużo wcześniej w toku szerokiej dyskusji partyjnych i bezpartyjnych załóg prowadzonej przed VIII Zjazdem partii... To wtedy ostro zwracano uwagę na różnorodne negatywne zjawiska naszego życia postulując, a nawet żądając głębokich zmian w systemie rządzenia państwem i kierowania gospodarką..."

„RZECZPOSPOLITA" przypomina również ocenę wydarzeń sierpniowych zawartą w dokumentach IV Plenum KC PZPR z 24 sierpnia 1980 roku, gdzie m. in. znalazło się i takie stwierdzenie: „Na Wybrzeżu najszersza jest skala wykorzystywania strajków przez siły antysocjalistyczne".

Sierpniowa rocznica — stwierdza „RZECZPOSPOLITA" — skłaniać nas powinna do głębokiej zadumy nad tym, co minęło i tym, co trwa, jak i też nad naszą przyszłością, która tylko od nas, od naszej pracy zależeć będzie.

TRAGICZNY ŻART RONALDA REAGANA

polegał na tym, że w czasie próby mikrofonu prezydent USA powiedział: „Rodacy, Amerykanie. Mam przyjemność zakomunikować wam, że właśnie podpisałem ustawę delegalizującą Rosję po wsze czasy. Bombardowanie zacznie się za pięć minut".

Jest to już drugi taki żart Ronalda Reagana. Poprzednio podczas próby mikrofonu w sposób niewybredny obraził rząd PRL.

Można mieć różne poczucie humoru i umieć różnie żartować. Zdarzają się nawet żarty makabryczne. Ale dziwne jest to, że na ogół żarty Ronalda Reagana nie przeznaczone dla ogółu docierają szeroko, bo i poza granice USA, a — po drugie — są to na ogół żarty dotyczące aktualnych spraw politycznych. W tym szaleństwie jest metoda. Dla mnie nie są to wcale przypadkowe i nie zamierzone żarty polityka. Tym gorzej o nim to świadczy. A i nam przy takim poczuciu humoru prezydenta USA wcale nie żyje się bezpieczniej i spokojniej.

ZAGADKA MIN NA MORZU CZERWONYM

nadal pozostaje nie rozwiązana. Na Morzu Czerwonym są już okręty marynarki wojennej USA i Francji, które mają wyłapywać miny. Nim je wyłapią wiele jeszcze statków handlowych trafi na miny. Tak stało się z polskim statkiem m/s „Józef Wybicki", który 11 sierpnia 1984 roku wpadł na minę. Wybuch — na szczęście — nie spowodował poważniejszych uszkodzeń i polski statek płynie o własnych siłach do portu macierzystego.

Prasa arabska oskarża USA i Francję, że pod pretekstem łowienia min, pomagając tym Egiptowi, oba kraje opanowały Morze Czerwone.

ILE ZARABIA MINISTER?

Na pytanie to odpowiada Zygmunt Szeliga w „RZECZYPOSPOLITEJ". Ogłoszone zostały w „MONITORZE POLSKIM" zasady wynagradzania członków rządu i administracji teraz i po 1 stycznia 1985 roku. I tak: przewodniczący Rady Państwa, premier i marszałek Sejmu zarabiać będą 56 tysięcy zł, a od stycznia — 68 tysięcy zł miesięcznie. Wicepremierzy i wicemarszałkowie Sejmu teraz po 50,5 tys. i 61 od stycznia. Ministrowie obecnie po 45 tys. i od stycznia—54,5. Wiceministrowie, wojewodowie i prezydenci miast-województw — po 40 obecnie i po 47 tys. od 1 stycznia 1985 roku.

Wszystkich członków rządu i wojewodów oraz prezydentów obowiązuje zakaz dodatkowych zarobków. Mogą jedynie pobierać honoraria za pracę twórczą bądź wykłady na uczelniach. Wielu jest bowiem profesorami i specjalistami różnych dziedzin gospodarki, nauki i kultury.

NAJWYŻSZY WYROK ZA KORUPCJĘ

otrzymał J. Sokołow, były dyrektor wielkiego magazynu w Moskwie, zwanego popularnie „sklepem Jelisiejewskiego". Magazyn ten zatrudniał około tysiąca osób. J. Sokołow stworzył cały system pobierania haraczu od współpracowników, a także nielegalny sposób rozprowadzania poszukiwanych atrykułów spożywczych, drogich i deficytowych.

Sąd Najwyższy RFSRR skazał J. Sokołowa na karę śmierci. Prośby o ułaskawienie nie uwzględniono. Wyrok wykonano.

Całą aferę opisał dziennik „IZWIESTIA", podkreślając jednocześnie, że trwa śledztwo wobec ludzi odpowiedzialnych za politykę kadrową w handlu i za kontrolę nad handlem.

REPORTER „GŁOSU ROBOTNICZEGO" UJAWNIŁ

że odbyła się w Łodzi uroczystość, na której w czasie, gdy trwało „Lato z radiem" podano... szampana, a następnie wniesiono... bałtycką. Kiedy wnoszono bałtycką reporter z kolegą wyszli. Nie ma odpowiedzi, czy reporter z kolegą pili szampana, czy też nie. I drugie pytanie: gdzie to było, w jakiej instytucji? Jaki sens ma bowiem taka krytyka, jeśli autor decyduje się nie ujawniać miejsca i czasu naruszenia prawa? Czy nie jest to czasem przyznanie się do współudziału w przestępstwie? Niech się prawnicy tym martwią.

ZNÓW UFO

pojawiło się na Wybrzeżu, albo w jego okolicy. Anna G. doniosła o tym nieocenionemu „Kurierowi Polskiemu". UFO goniło panią Annę przez jakiś czas i zniknęło bez śladu. Pani Anna nocą z synkiem wracała z Gdańska do Warszawy. W domu mąż nie uwierzył w opowieść o wyścigu z UFO i nazwał panią Annę „rozhisteryzowaną babą".

A. B. SEKATOR

TADEUSZ DUBICKI, ALICJA SOWIŃSKA-KRUPKA

Rumunia w latach drugiej wojny światowej

W drugiej połowie dwudziestolecia międzywojennego miała miejsce zmiana układu sił w Europie, charakteryzująca się upadkiem prestiżu demokracji zachodnich przy jednoczesnym wzroście znaczenia państw faszystowskich. Zmiany te w poważnym stopniu dotknęły również Rumunię, która początkowo starała się jeszcze zachować „pewną równowagę", lawirując między III Rzeszą a demokracjami zachodnimi. Lecz przy postawie „appeassmentu" tych ostatnich i pod presją wewnętrznej opozycji faszystowskiej sięgającej najwyższych szczebli aparatu państwowego, Rumunia ulegała coraz bardziej wpływom niemieckim. Odbiciem tego procesu były porozumienia ekonomiczne z 1936 r., a zwłaszcza z 1939, które faworyzowały interesy niemieckie w takim stopniu, że można mówić o naruszaniu przez nie suwerenności gospodarczej państwa rumuńskiego.

PRZEJŚCIE NA STRONĘ „OSI"

Sukcesy niemieckie w pierwszej fazie wojny, a zwłaszcza po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r., umocniły w kołach rządowych Bukaresztu orientację proniemiecką, przy czym dyktatura królewska (wiosną 1938 r. król Karol II wprowadził rządy dyktatorskie) okazała się niezdolna do obrony najżywotniejszych interesów kraju. Karol II pozbawiony autorytetu i zaufania zarówno w oczach własnego społeczeństwa jak i faszystowskich sprzymierzeńców, nie mogąc zapewnić spokoju wewnętrznego, ukrócić „Żelaznej Gwardii", otwarcie sięgającej po władzę w państwie, zdecydował się przekazać rządy dyktatorskie generałowi Ionowi Antonescu, germanofilowi, mającemu poparcie Berlina. W kilka dni potem właśnie na żądanie Antonescu Karol II abdykował na rzecz swego syna Michała, a następnie wyjechał z Rumunii.

W pierwszym okresie po objęciu władzy nowy dyktator musiał dopuścić do współudziału w rządzeniu „Żelazną Gwardię", której przywódca Horia Sima uzyskał stanowisko wicepremiera.

Na początku 1941 r. Antonescu udało się wyeliminować konkurenta, uzyskawszy w tym poparcie Berlina, który uznał, że dyktatura wojskowa stanowi najlepsze zabezpieczenie interesów niemieckich, ponieważ daje gwarancję stabilizacji i porządku wewnątrz Rumunii, w odróżnieniu od awanturniczych poczynań „Żelaznej Gwardii".

Ostatecznym potwierdzeniem kierunku zachodzących zmian w Rumunii było oficjalne jej przyłączenie do państw faszystowskich, przez podpisanie paktu „Osi" w listopadzie 1940 r.

W konsekwencji tej decyzji, 22 czerwca 1941 roku wojska rumuńskie w liczbie 30 dywizji uderzyły u boku armii niemieckiej na ZSRR. Jednakże w miarę klęsk ponoszonych przez agresorów na froncie wschodnim wojna rozpoczęta przez reżim Antonescu pod hasłami propagandy nacjonalistycznej i zrekompensowania strat terytorialnych, w tym rewizji dyktatu wiedeńskiego w sprawie Siedmiogrodu, traciła na popularności. Społeczeństwo coraz dotkliwiej odczuwało *drenaż gospodarki będący wynikiem własnego wysiłku militarnego jak i wykorzystywania przez III Rzeszę ekonomiki kraju dla swych celów wojennych.* Głównym zadaniem gospodarczym Rumunii w tym układzie było dostarczanie ropy naftowej i żywności do Niemiec, których dostawy w latach 1940-1944 wyniosły 10,3 mln t. ropy naftowej i 1379 tys. t. zboża.

Intensywny wywóz żywności do Niemiec i potrzeby własne armii rumuńskiej spowodowały poważne braki w zaopatrzeniu ludności, do tego dochodziły straty ponoszone na froncie. W *operacjach wojennych na terenie Besarabii, Krymie, nad Donem i pod Stalingradem zostało zabitych, rannych i wziętych do niewoli około* 220 tys. żołnierzy rumuńskich.

PO KLĘSCE STALINGRADZKIEJ

ferment ogarnął wojsko i wyższe kadry oficerskie, a w trudnych warunkach zimowego odwrotu rodziło się poczucie przegranej, rozpowszechniały nastroje frustracji w oddziałach. Złe i protekcjonalne traktowanie ze strony niemieckiego sojusznika budziło niechęć i gorycz w szeregach wojsk rumuńskich, zwłaszcza w korpusie oficerskim. Sukcesywnie wzrastała dezercja z wojska.

Również w kraju rozpowszechniają się nastroje niezadowolenia, przejawiające się w akcjach rewindykacyjno-strajkowych robotników, bojkotowaniu przez ludność decyzji administracji, sabotażem w przemyśle. Dalszy udział w wojnie spotkał się z opozycją części dowództwa wojskowego i kierownictwa partii burżuazyjnych: Narodowej Partii Chłopskiej I. Maniu i Narodowej Partii Ludowej I. Bratianu. W zasadzie kierownictwa tych partii, a zwłaszcza I. Maniu opowiadał się za przywróceniem terytorialnego status quo Rumunii z okresu po I wojnie światowej, przeciwstawiając się od początku dalej idącemu zaangażowaniu Antonescu w wojnie z ZSRR oraz udziałowi wojsk rumuńskich w walkach daleko poza granicami kraju.

Perspektywa klęski skłoniła zresztą samego dyktatora do podjęcia starań o wyjście z wojny po stronie „Osi" i porozumienia z koalicją antyhitlerowską. Odrębne inicjatywy w tym kierunku podjęły także partie burżuazyjne. Rozmowy prowadzone zarówno przez przedstawicieli reżimu jak i partii burżuazyjnych w Kairze w 1944 r. z przedstawicielami trzech mocarstw alianckich — USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR zakończyły się jednak fiaskiem. Strona rumuńska wysunęła żądanie gwarancji terytorium państwowego według stanu sprzed 28.VI. 1940 r. i nie zgodziła się na przyjęcie warunków radzieckich, ocenionych przez aliantów zachodnich jako przychylne dla Rumunii. Warunki te przewidywały:

1. natychmiastowe zerwanie z Niemcami i wspólne z armią radziecką działania w celu wyzwolenia Rumunii,
2. zwrot Besarabii i północnej Bukowiny ZSRR,
3. reparacje dla Związku Radzieckiego za straty i zniszczenia spowodowane przez wojska rumuńskie na terytorium radzieckim,
4. repatriację jeńców wojennych państw alianckich i osób internowanych,
5. zapewnienie swobodnego poruszania się wojsk radzieckich i sojuszniczych na terenie Rumunii zależnie od sytuacji wojennej i dostarczanie przez Rumunię środków komunikacyjnych,
6. uznanie za nieważny „arbitrażu wiedeńskiego" w sprawie północnego Siedmiogrodu i udzielenie Rumunii pomocy wojskowej w odzyskaniu tej krainy.

Zarówno przedstawiciele reżimu jak i partii burżuazyjnych w obawie przed odpowiedzialnością za wojnę i udział Rumunii w wojnie ze Związkiem Radzieckim starali się o zawarcie separatystycznego pokoju z mocarstwami zachodnimi z wyłączeniem ZSRR, a przynajmniej zapewnienie obecności chociażby symbolicznej wojsk anglosaskich na terenie Rumunii. Koła monarchistyczne i politycy burżuazyjni Rumunii wiązali swoje nadzieje z planami otwarcia drugiego frontu na Bałkanach i wkroczeniem na teren rumuński sił anglo-amerykańskich zanim dotrze tam Armia Czerwona. Liczono też, że w końcowej fazie wojny państwa zachodnie zyskają przewagę nad wyczerpanym i ponoszącym główny ciężar walk z „Osią" ZSRR oraz przeciwstawią się wzrostowi pozycji Rosjan na arenie międzynarodowej. Spodziewano się rozdźwięków pomiędzy ZSRR a USA i Anglią na tle wyznaczania sfer wpływów, a Ion Antonescu chciał nawet poróżnić wielkie mocarstwa, oferując poprzez swojego wysłannika w Stambule bardzo korzystne koncesje gospodarcze dla USA i Wielkiej Brytanii w zamian za poparcie stanowiska rumuńskiego w rokowaniach w ZSRR. Rachuby te okazały się złudne.

ROSŁO SPOŁECZNE NIEZADOWOLENIE

Potęgująca się opozycja wewnętrzna, zbliżanie Armii Czerwonej do granic Rumunii wraz z walczącą już u jej boku dywizją im. Tudora Vladimirescu sformowaną z rumuńskich jeńców i dezerterów na froncie wschodnim, stwarzały grunt dla urzeczywistnienia wcześniej już wysuniętej przez Rumuńską Partię Komunistyczną idei zbrojnego zerwania z III Rzeszą, położenia kresu dyktaturze Antonescu poprzez powstanie antyfaszystowskie i podjęcie oporu *w różnych formach do walki zbrojnej włącznie. Oferta komunistów skierowana do wszystkich ugrupowań — liberałów, caranistów, (partia chłopska) socjaldemokracji i stwarzająca dla wszystkich tych sił szeroką, dogodną płaszczyznę współdziałania, zawisła jednak w próżni i nie znalazła do 1944 r. z ich strony większego zainteresowania. Złożyło się na to szereg przyczyn.*

Po pierwsze partie burżuazyjne uprawiały połowiczną opozycję wobec rządów dyktatorskich, ograniczającą się jedynie do krytyki pewnych aspektów reżimu. Dotyczyła ona przede wszystkim, jak już wspomniano, zbytniego angażowania się Antonescu na froncie wschodnim i udziału w walkach daleko od granic Rumunii. W pierwszej fazie wojny partie burżuazyjne poparły dyktatora, a w kraju odnosiła sukcesy propaganda nacjonalistyczna i ideologia wojenna, bazująca na zdobyczach terytorialnych z początku wojny. Kiedy coraz wyraźniej zaczęła rysować się klęska III Rzeszy na froncie wschodnim partie burżuazyjne biorąc nawet pod uwagę obalenie dyktatury, zakładały, że nastąpi to w drodze dobrowolnej dymisji samego Antonescu lub zamachu stanu. Nie chciały się zgodzić, aby akt ten stał się dziełem szerokiego ruchu walki antyfaszystowskiej w obawie przed radykalizacją mas. W swych koncepcjach liczyli na wsparcie Anglii i Stanów Zjednoczonych, a ewentualną wspólną akcję z komunistami warunkowali zagwarantowaniem terytorialnego status quo z 28.VI. 1940 r.

Istotnymi czynnikami początkowych niepowodzeń komunistów w konsolidacji i frontu antyfaszystowskiego były słabość partii, jej rozbicie wewnętrzne i trudne warunki działania. W okresie dwudziestolecia międzywojennego RPK działała w konspiracji, a władze burżuazyjno-monarchistyczne dążyły do rozczłonkowania ruchu robotniczego i izolacji w społeczeństwie partii komunistycznej. Zresztą sama partia dopiero na V zjeździe w 1932 r. przezwyciężyła dotychczasowe błędne stanowisko w szeregu istotnych kwestii jak reforma rolna czy zagadnienie narodowościowe, które odsuwało od RPK warstwy chłopskie, grupy postępowej, demokratycznej inteligencji, osłabiało wydatnie siłę przyciągania partii w środowiskach robotniczych.

RUMUŃSKA PARTIA KOMUNISTYCZNA

Trwające w okresie dwudziestolecia międzywojennego walki frakcyjne przerodziły się w końcu wojny w otwarty konflikt między wybranym w 1940 r. sekretarzem generalnym partii Stefanem Forisem a opozycyjną grupą w kierownictwie partyjnym z Gheorghe Gheorghiu-Dejem na czele. Wysuwała ona przeciw Forisowi zarzuty niepartyjnych metod pracy, negatywnych cech charakteru osobistego, a przede wszystkim naruszenie zasad konspiracji, co miało doprowadzić do masowych aresztowań w latach 1940-41 oraz likwidacji wielu terenowych komórek partyjnych. Foris i jego współpracownicy przeciwstawiali się jakoby rozwojowi walki antyfaszytowskiej, a zwłaszcza zbrojnym formom oporu. Na tle ostrych sprzeczności wewnątrz partii wiosną 1944 r. Foris został nawet fałszywie oskarżony o współpracę z rumuńskimi siłami bezpieczeństwa wewnętrznego (Siguranta). Po 23.VIII. 1944 r. aresztowano go, a w 1946 r. rozstrzelano bez procesu i wyroku sądowego. Kwietniowe plenum KC RPK w 1968 r. rehabilitowało osobę S. Forisa, uznając zwłaszcza za bezzasadne oskarżenie o współdziałanie z policją rumuńską. Odpowiedzialnością za jego śmierć i fałszywe oskarżenie obciążono nieżyjącego już wtedy sekretarza generalnego RPK Gh. Gheorghiu-Deja i ówczesnego ministra spraw wewnętrznych T. Georgescu oraz ministra spraw zagranicznych Anę Pauker i Vasile Luca. Uchwała plenum podtrzymywała jednocześnie zasadność usunięcia Forisa ze stanowiska sekretarza generalnego ze względu na niewłaściwe metody pracy partyjnej oraz dla „zapewnienia jedności działania partii, jej zdolności bojowej i mobilizacyjnej".

Komuniści podjęli swoją akcję w bardzo niesprzyjających warunkach, narażeni na prześladowania ze strony reżimu I. Antonescu. W kwietniu i czerwcu 1941 r. aresztowano wielu członków Komitetu Centralnego RPK, działaczy partyjnych i aktywistów. Za rządów Antonescu sądy wydały wyroki skazujące (m.in. na kary długoletniego więzienia i kary śmierci) na około 3600 działaczy antyfaszystowskich w Rumunii, w przeważającej liczbie komunistów i działaczy związków zawodowych.

Pierwszym sukcesem RPK w tworzeniu ogólnonarodowego frontu patriotycznego było powstanie w połowie 1943 r. Patriotycznego Frontu Antyhitlerowskiego, w kwietniu 1944 r. doszło natomiast do porozumienia z Rumuńską Partią Socjaldemokratyczną o utworzeniu Jednolitego Frontu Robotniczego (Frontul Unic Muncitoresc — FUM). Porozumienie to stanowiło ważny etap w konsolidacji ruchu robotniczego, sprzyjało też skupieniu na platformie FUM wszystkich sił patriotycznych łącznie z demokratycznymi i antyfaszystowskimi kołami burżuazji.

Tymczasem po usunięciu Forisa i R. Cofflera z kierownictwa RPK przewagę w szeregach partyjnych zdobyła grupa przebywająca w obozie odosobnienia w Tirgu Jiu na czele z Gh. Gheorghiu-Dejem. Zachowując wszakże kontakt z organizacją partyjną w Rumunii, grupa ta opracowała w sierpniu 1943 r. plan powstania zbrojnego i wytyczne dalszego działania. Przewidywały one umocnienie i konsolidację szeregów partii, utworzenie jednolitego frontu klasy robotniczej, zorganizowanie masowego powstania, obalenie z bronią w ręku dyktatury wojskowej i zrealizowanie zadań wskazanych w programie z 6.IX. 1941 r. Zawieszono działalność Komitetu Centralnego i powołano tymczasowe kierownictwo RPK w składzie — E. Bodnaras, I. Ranghet i C. Pirvulescu.

Po kwietniowym apelu szefa państwa radzieckiego J. Stalina do narodów uzależnionych, o podjęcie walk z hitleryzmem i poprawę w ten sposób swego położenia, w obliczu szybkich postępów ofensywy radzieckiej i braku rezultatów w poufnych rozmowach z mocarstwami alianckimi nad sposobem wyjścia Rumunii z wojny po stronie „Osi", w maju 1944 r. kontakty z komunistami nawiązała opozycyjna generalicja, przedstawiciele króla Michała oraz skrzydło Narodowej Partii Liberalnej, kierowane przez Gh. Tatarescu. W czerwcu zdecydowały się dołączyć główne partie burżuazyjne — NPCh i NPL. 20.VI. 1944 r. cztery partie: Rumuńska Partia Socjaldemokratyczna, Rumuńska Partia Komunistyczna, Narodowa Partia Chłopska i Narodowa Partia Liberalna utworzyły w konspiracji Blok Narodowo-Demokratyczny (Blocul National-Democrat — BND). Stawiał on sobie za cel obalenie rządów Antonescu, zawarcie pokoju z ZSRR, przyłączenie Rumunii do koalicji antyfaszystowskiej, ustanowienie demokratycznego rządu i przywrócenie swobód politycznych w oparciu o liberalną konstytucję z 1923 r.

POWSTANIE W RUMUNII

Wcześniej w nocy z 13 na 14 VI. 1944 r. na tajnej naradzie z udziałem przedstawicieli króla Michała, m.in. szefa kancelarii wojskowej gen. C. Sanatescu, wyższych wojskowych i reprezentanta RPK E. Bodnarasa powołano Komitet Wojskowy, który w ścisłej konspiracji zajął się przygotowaniem powstania. Na początku sierpnia 1944 r. została zorganizowana ucieczka Gh. Gheorghiu Deja i grupy działaczy komunistycznych (m.in. I. Apostola i A. Draghici) z obozu w Tirgu Jiu. Sprzyjającą sytuację dla akcji powstańczej stwarzała operacja jassko-kiszyniowska Armii Czerwonej na pograniczu Besarabii i Mołdawii, przełamanie 21. VIII. 1944 r. przez wojska radzieckie frontu niemieckiego pod Jassami i dalszy szybki marsz w kierunku południowo-zachodnim. Rozwijając te działania wojska radzieckie nie wiedziały o konspiracyjnych posunięciach w Bukareszcie. Mimo niepowodzeń, Antonescu zamierzał trwać u boku Niemiec, stawić opór ofensywie radzieckiej w wypróbowanym już podczas I wojny światowej miejscu w przewężeniu między Dunajem a Karpatami na linii Gałacz-Nemeloasa-Fokszany, przygotować kraj do totalnej obrony i zarządzić powszechną mobilizację. Licząc się ze sprzeciwem z różnych stron, przed wydaniem ostatecznych rozkazów zwrócił się o poparcie do króla. Zmusiło to organizatorów powstania do nieco wcześniejszego niż pierwotnie przewidywano podjęcia akcji, aby nie dopuścić do przejęcia inicjatywy przez dyktatora. Na wyznaczonej 23. VIII. 1944 r. audiencji w pałacu marszałek I. Antonescu został aresztowany i zamknięty w schronie rodziny królewskiej, skąd wkrótce oddział bojowy partii komunistycznej pod dowództwem E. Bodnarasa przewiózł go do zakonspirowanego domu RPK w Bukareszcie.

Podobnie postąpiono z najbliższymi współpracownikami dyktatora. Wieczorem tego samego dnia król Michał wygłosił przez radio orędzie do narodu, w którym oznajmił o obaleniu Antonescu, przerwaniu działań wojennych przeciwko ZSRR, przyjęciu warunków radzieckich przedstawionych w rokowaniach kairskich i gotowości przystąpienia Rumunii do wojny po stronie Narodów Zjednoczonych. Zgodnie z poprzednimi ustaleniami partii BND powołano nowy rząd na czele z zaufanym króla — gen. C. Satanescu.

Król i generałowie zaproponowali Niemcom bezkolizyjne wycofanie się z Rumunii. Siły niemieckie na rozkaz Hitlera próbowały jednak stłumić powstanie, bombardując m.in. Bukareszt, jednocześnie w Berlinie powołano marionetkowy rząd z H. Simą na czele. Wtedy armia rumuńska otrzymała rozkaz skierowania broni przeciwko Niemcom. Rozpoczęta 23. VIII. 1944 r. akcja zakończyła się po ośmiu dniach pełnym powodzeniem. Wojska radzieckie związały i zniszczyły w rejonie Kiszyniów-Jassy-Husi znaczne siły niemieckie, podczas gdy oddziały rumuńskie częściowo przy pomocy radzieckiej wyparły jednostki wroga z terytorium kraju. W niektórych rejonach — dolinie Prahovy, Arad, Timisoara, Brasovie, Konstancy, Turnu-Severin i Bukareszcie wywiązały się zacięte walki z Niemcami, którzy przejściowo opanowali Arad i Timisoarę i przeprowadzili szereg nalotów terrorystycznych. W wielu miejscach do walki włączyły się oddziały bojowe RPK i ludność cywilna. Niemcy stracili 5 tys. poległych i ponad 56 tys. wziętych do niewoli. Zniszczono 60 samolotów niemieckich, a 222 maszyny Rumuni przejęli na lotniskach. Straty rumuńskie wynosiły 8,5 tys. zabitych i rannych.

RUMUNIA WALCZY PRZECIW „OSI"

Przejście Rumunii na stronę Narodów Zjednoczonych zmieniło diametralnie sytuację strategiczną w Europie południowo-wschodniej i znacznie przyspieszyło klęskę III Rzeszy. Prowadziło bezpośrednio do utraty bardzo dogodnej dla Niemiec obronnej linii Karpat, podcinało ich pozycje w Grecji, Bułgarii, Jugosławii, ułatwiając działania Armii Czerwonej na obszarze tych państw oraz w kierunku Węgier i Słowacji.

Jeszcze w czasie trwania walk na terenie Rumunii do Moskwy wyjechała delegacja rumuńska na rokowania rozejmowe na czele z ministrem sprawiedliwości L. Patrascanu. 12 września 1944 r. w Moskwie został podpisany układ rozejmowy z Rumunią, w którym rząd i naczelne dowództwo rumuńskie uznało fakt klęski Rumunii w wojnie, nie wprowadzono natomiast formuły kapitulacji, ale też mimo starań rumuńskich nie przyznano jej statusu strony współwalczącej.

Rumunia zaprzestawała całkowicie wojny przeciwko ZSRR i przystępowała do wojny po stronie mocarstw aliianckich przeciwko Niemcom i Węgrom. Zobowiązywała się wystawić w tym celu co najmniej 12 dywizji piechoty ze środkami wsparcia, które łącznie z flotą morską i lotnictwem miały podlegać ogólnemu dowództwu sojuszniczemu, a konkretnie radzieckiemu, prowadzącemu działania na teatrze bałkańskim. W sprawie granic układ stanowił przywrócenie granicy radziecko-rumuńskiej ustalonej w czerwcu 1940 r., a unieważniał dyktat wiedeński w sprawie Siedmiogrodu, przy czym ZSRR miał udzielić Rumunii pomocy przy wyzwalaniu tej krainy. Rozejm przewidywał reparacje na rzecz ZSRR w wysokości 300 mln dol. płatne tytułem zniszczeń i strat wyrządzonych przez wojska rumuńskie na obszarach państwa radzieckiego. Spłatę reparacji rozłożono na 6 lat, przy natychmiastowym przystąpieniu Rumunii do ich uiszczania. Rumunia zobowiązała się także do zwrotu mienia zabranego w latach 1941—1944 z okupowanych terenów ZSRR. Układ stanowił warunek demokratyzacji życia wewnętrznego kraju, zniesienia ustawodawstwa rasistowskiego, likwidacji organizacji faszystowskich i ukarania przestępców wojennych. Nadzór nad wykonywaniem postanowień rozejmowych objęła Sojusznicza Komisja Kontroli złożona z przedstawicieli ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii. Decydującą rolę w SKK dla Rumunii odgrywał ZSRR w związku z przyjęciem przez mocarstwa zasady, że główny głos należy do tego z nich, którego wojska zaangażowane są na danym terytorium. W rezultacie Rumunia została poddana szerokiej kontroli sojuszniczej, wykonywanej przez ZSRR, którego wojska były jedynymi siłami alianckimi obecnymi w tym kraju. Stwarzało to wielce sprzyjające okoliczności dla dalszego działania RPK i lewicy demokratycznej.

Po przewrocie sierpniowym rząd rumuński przystąpił do wojny przeciwko Niemcom angażując wszystkie zasoby materialne i ludzkie kraju. W czasie 260 dni do zakończenia wojny w walce po stronie Narodów Zjednoczonych uczestniczyło 538 tys. żołnierzy rumuńskich. Brali oni udział u boku Armii Czerwonej w działaniach na terenie północnego Siedmiogrodu, Węgier, Czechosłowacji, Austrii. W końcowej fazie wojny na froncie walczyło 16 dywizji rumuńskich. Wojska rumuńskie zadały nieprzyjacielowi straty w liczbie 118 tys. wziętych do niewoli i 18 tys. zabitych. Straty własne armii rumuńskiej wyniosły 167 tys. poległych, rannych i zaginionych, a wkład materialny państwa w wysiłek militarny aliantów szacuje się na 700 mln dol.

Powstanie antyfaszystowskie zapoczątkowało walkę RPK i sprzymierzonej z nią lewicy społecznej o dokonanie przemian ogólnodemokratycznych w stosunkach ekonomiczno-społecznych i politycznych, a w dalszej perspektywie o przyjęcie władzy w kraju. Postępowało to stopniowo, wraz ze wzrostem znaczenia partii, która rozwinęła szeroką aktywność pod hasłami przeobrażeń w duchu demokratycznym, nowej orientacji w polityce zagranicznej opartej na sojuszu z ZSRR i lojalnego wykonywania układu rozejmowego.

Ten program w perspektywie ponad czteroletniego okresu jego realizacji doprowadził do stopniowego upadku partii burżuazyjnych, zmiany nadbudowy politycznej państwa, a reformy gospodarcze pozbawiły oparcia i racji bytu monarchię, która stała się instytucją fasadową, sprzeczną z nową treścią władzy. 30.XII 1947 r. król Michał abdykował, a nazajutrz proklamowano Rumuńską Republikę Ludową.

Dziennik Franza Haldera

Franz Halder — generał pułkownik szef sztabu wojsk lądowych. Współautor planów napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 roku. Oddany Hitlerowi nazista, człowiek na wskroś przesiąknięty maniakalnymi pomysłami swojego führera.

Poniżej publikujemy fragment notatek prowadzonych przez Haldera w czasie narad odbywających się z udziałem Hitlera. Wybraliśmy fragmenty dotyczące przygotowań napaści na Polskę.

14.8.39. OBERSALZBERG

Najważniejszym pozostaje fakt, że nie ma sukcesów ani politycznych, ani militarnych bez ryzyka. Politycznych dlatego, że jest konieczne pokonanie oporu, militarnych — że trzeźwy rachunek często wykazuje niepowodzenie.

Momenty polityczne. Wrogowie: Polska (pierwszy), Anglia (aktywny), Francja.

Rosja nie zamierza wyciągać kasztanów z ognia. Nie oczekuje też niczego od wojny, ale wielu rzeczy powinna się obawiać. Walka na peryferiach może być przez nią tolerowana albo wręcz pożądana. W jej centrum — nie. Przegrana wojna jako taka także jest dla niej niebezpieczna... Jest więc zainteresowana w osłabieniu zachodnich państw na obszarze Morza Bałtyckiego.

Neutralni:

Norwegia, Szwecja, Dania będą przestrzegać neutralności ze względu na własne, wewnętrzne przekonania.

Zagrywki Anglii z Rosją poważnie się na nich odbiły.

Szwajcaria, Belgia, Holandia.

Szwajcaria pozostanie zapewne neutralną.

Holandia z zasady jest neutralna. Boi się o swoje wschodnioazjatyckie posiadłości.

Belgia będzie usiłowała pozostać neutralną.

Belgia jako teren działań wojennych.

Belgia może jedynie ucierpieć od wojny.

Część europejskofrancuskiej społeczności można będzie ciągnąć w innym kierunku do chwili, aż przemówią działa.

Węgry: nie zasługują na uwagę.

Przyjaciele: Włochy nie są zainteresowane wielkim konfliktem, chcą jedynie korekt terytorialnych swoich posiadłości. Zwycięstwo demokracji byłoby dla Włoch klęską...

...Założenie: koniecznie osiągnąć sukces w w jak najkrótszym czasie. W ciągu 8—14 dni powinno stać się jasne, że Polska ginie. Zakończenie całej operacji może trochę się przedłużyć.

W przyszłości trzeba podjąć decyzję o walce na każdym froncie. Na Zachodzie przeprowadzić pełne rozwinięcie sił.

...Anglikom dano do zrozumienia, że führer po rozwiązaniu polskiego problemu raz jeszcze zwróci się do Anglii z propozycją.

W Londynie to zrozumieli. Paryż także wie o naszym zdecydowaniu. Dlatego też cały ten wielki spektakl zbliża się ku końcowi. Spektakl z udziałem Wielkiej Brytanii już się zakończył, gdyż Niemcy dość nieostrożnie oświadczyły, że führer miał rację w swoich obliczeniach.

Za granicą należy przedstawić to tak, iż w każdych okolicznościach, nawet wtedy jeśli wmiesza się Anglia, dojdzie do konfliktu (za 6—8 tygodni z Polską będzie koniec).

(Po południu)

Jeśli zostanie podjęta inna decyzja, wówczas zachodzi możliwość, że sukces zostanie osiągnięty za mniejszą cenę. Dlatego führer pozostawia sobie prawo wydania rozkazu o podjęciu działań na 48 godzin przed terminem.

a) Główny kierunek uderzenia — Polska. To należy wykonać w każdych okolicznościach.

b) Jeśli Zachód spróbuje przyjść Polsce z pomocą — to zdecydowany atak na niemiecką strefę umocnień jest niemożliwy. Ofensywa jest możliwa jedynie przy naruszeniu belgijsko-holenderskiej neutralności.

ANALIZA SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ

Nie ma ani politycznych, ani militarnych sukcesów bez ryzyka. Wychodząc z ryzyka — na które führer musiał pójść podczas swoich pierwotnych decyzji, i które, według niego, było początkowo ogromne, a później stawało się coraz mniejsze — rozpatruje on zewnętrzne polityczne ryzyko ataku na Polskę.

Przeciwnikiem może być jedynie Anglia, oprócz samej Polski i Francji. Ostatnia jest jednak na holu Anglii.

Anglia nie wda się w przewlekłą wojnę jak to było w 1914 roku. Anglia wie czym jest wojna i rozumie co może przy tym utracić i nigdy już nie odzyskać tego, co na wojnę wyda. Taki jest los bogatych mocarstw. Anglia na skutek nadzwyczajnej wielkości swojego imperium jest przesiąknięta odpowiedzialnością. Nie posiada wodzów wielkiego formatu („ludzie, których poznałem w Monachium, nie wywołają wojny światowej"). Anglia oprócz tego wie, że ma do czynienia z innymi Niemcami niźli to było w 1914 roku. Za co będzie się bić Anglia? Nie umiera się za sojusznika.

Francja natomiast nie jest zainteresowana wojną.

Norwegia, Szwecja, Dania — neutralne przekonania. Są boleśnie dotknięte zagrywkami Anglii z Rosją.

Szwajcaria, Belgia, Holandia:

Szwajcaria pozostanie zapewne neutralną. Holandia także. Belgia spróbuje także nią zostać. Stając się teatrem działań wojennych, może jedynie ponieść straty. Możliwe, że istnieją tam dotąd tendencje do udziału w wojnie po stronie Francji — ale gdy przemówią armaty, głosy te zamilkną.

Państwa bałkańskie także nie przyjdą im z pomocą.

Co więc mogą uczynić Anglia i Francja w stosunkach militarnych?

Ofensywa na Linię Maginota mało prawdopodobna. W przypadku obejścia jej od północy przez Belgię i Holandię, sukces wykluczony. W taki więc sposób pomocy Polska nie otrzyma. Blokada działa powoli i prowadzi do niebezpiecznych kontrakcji.

Wszyscy twierdzą, że Anglia i Francja nie przyłączą się do wojny, tym bardziej, że nic ich do tego nie zmusza. Umowy nie zostały jeszcze ratyfikowane.

Sformułowanie: „pomóc za wszelką cenę" jest fałszywe. Dowód: Anglia nie da Polsce pieniędzy, za które ta mogłaby zakupić broń w innych krajach...

Sztaby generalne Anglii i Francji oceniają bardzo trzeźwo perspektywy zbrojnego konfliktu i nie radzą go rozpoczynać.

O tym, że ze strony Anglii nie można oczekiwać zdecydowanych działań, świadczy przede wszystkim zachowanie się Polski. Polska zachowywałaby się bardziej bezczelnie gdyby mogła liczyć na Anglię. Dlatego führer jest przekonany, że Anglia prawdopodobnie będzie jeszcze prowadzić rozmowy na szczeblu wysokich not, być może odwoła posłów, zawiesi handel, lecz nie wtrąci się do konfliktu zbrojnego.

Założenia:

1. Konieczne jest, abyśmy w najkrótszym czasie odnieśli w Polsce sukces. „Za 8—14 dni dla całego świata winno stać się jasne, że Polska stoi w obliczu katastrofy; działania operacyjne mogą się oczywiście przedłużyć (6—8 tygodni)".

17.8.39

Canaris:

Himmler i Heydrich w Obersalzbergu. 150 kompletów polskich mundurów i broni (dla doktora Trümmlera) — Górny Śląsk.

19.8.39

Winter:

SS wydziela 12 ludzi znających okolice.

Lotnictwo: 3 eskadry = 1 grupa bombowców nurkujących...

Czas: dzień „X", w miarę możliwości przed rozpoczęciem działań.

Wykonanie:

a) oddział saperów: żołnierze w cywilnych ubraniach w pociągu towarowym. W ślad za nimi — pociąg pancerny, za nimi grupa „Medem"; pozostała część batalionu, pluton przeciwpancerny, zmotoryzowany dywizjon ciężkich haubic, kompania karabinów maszynowych (pluton samochodów opancerzonych).

Lotnictwo atakuje koszary, elektrownie, koleje, dworce.

b) wariant:

Współdziałanie z jednostkami SS: dyslokacji dokonać w nocy (o północy).

22.8.39

Raport z narady u dowódcy WWS
(Obersalzberg, godz. 10.00)

1. Punkt wyjściowy: zadanie postawione przez führera:

a) rozpocząć wojnę miażdżącymi uderzeniami

b) osiągnąć szybko sukces,

Cel: zniszczenie polskich sił naziemnych.

Gotowość rozpocznie się w pierwszym dniu wojny.

Czynności zapobiegające.

Narada u führera.
(Obersalzberg, godz. 12.00)

Obecni są dowodzący grupami armii i dowódcy armii wszystkich trzech rodzajów sił zbrojnych.

Analiza sytuacji i decyzje (Przed południem).

1. Podstawy dla podjęcia decyzji odnośnie problemu wschodniego: bardzo byłoby wskazane zlikwidowanie zagrożenia na Zachodzie, skoro jednak staje się jasne, że Polska w każdej kłopotliwej dla nas sytuacji uderzy nas w plecy, należy więc, zanim przejdzie się do rozwiązywania problemu zachodniego, rozwiązać problem wschodni.

2. Obecna sytuacja Niemiec jest pomyślna dla rozwiązania problemu wschodniego. W tej chwili sprzyja nam szereg czynników, które w latach następnych przestaną istnieć.

a) Kierownictwo

Po naszej stronie: osobowość führera. Osobowość Mussoliniego jako indywidualnego nosiciela idei Imperium. Zademonstrował swoją siłę w czasie konfliktu z Abisynią. Osobowość Franco, który jest nosicielem jedynego skutecznego sposobu rządzenia oraz przyjaźni pomiędzy Hiszpanią a Niemcami.

Po stronie przeciwnika: osobistości takiego formatu, które by zagwarantowały możliwość twardego i heroicznego przeprowadzenia bardzo trudnych decyzji (szczególnie trudnych dla Anglii) — nie ma. Przeciwnik może ponieść ogromne straty, a skorzystać niewiele.

Anglia podczas ostatniej wojny niczego nie zdobyła. W razie przystąpienia do nowej, Imperium będzie musiało dokonać zmian w swojej strukturze politycznej.

Sytuacja Francji także się pogorszyła. Spadek urodzeń.

Na Bałkanach, po Albanii, nastała równowaga sił. Jugosławia — związana. Rumunia uwiązana i uzależniona od stosunków pomiędzy innymi państwami. Turcja nie posiada kadry dowódczej.

„Konflikt, którego nie można odłożyć na 4—5 lat, niech lepiej nastąpi teraz".

„Konieczne jest użycie sił zbrojnych przed zderzeniem z Zachodem. Wypróbowanie instrumentów".

„Pożądanym jest by nie rozwiązywać spraw generalnie, a rozwiązywać poszczególne zadania"

c) Polska

Stosunki pomiędzy Niemcami a Polską stały się nieznośne. Nasze żądania w sprawie Gdańska oraz toru kolejowego przez „korytarz" (sprawa przekazu pieniędzy) były, z podoszczenia Anglii, odrzucone przez Polskę. Rozwiązanie problemu polskiego nie może być dokonane przez osoby trzecie. Czas dla rozwiązania tego problemu jest sprzyjający; dlatego jest wskazane by uderzyć! Oczywiście nie uda się przy tym uniknąć politycznego ryzyka.

3. Przyczyny, które prowadzą do podjęcia decyzji.

Jedynie dwa kraje mogą mieć obowiązek niesienia pomocy Polsce (Anglia i Francja). Anglia — pierwsze skrzypce, Francja — na holu.

Angielskie zbrojenia nie spowodowały gruntownej zmiany sytuacji na korzyść Anglii (w marynarce udoskonalenia dadzą o sobie znać dopiero w 1941—1942 r., wojska lądowe także potrzebują sporo czasu na to, by stać się skutecznym instrumentem w wojnie; udoskonalono jedynie lotnictwo). Anglia nie posiada obrony przeciwlotniczej i dlatego nie podejmie żadnego zbrojnego ryzyka wcześniej niż za 3—4 lata.

Uzbrojenie Francji jest niezłe, choć częściowo przestarzałe. Stan osobowy kontyngentów kurczy się. Dłuższej wojny Francja nie wytrzyma

ŻĄDANIA FÜHRERA WOBEC DOWÓDZTWA

1. Bezdyskusyjna stanowczość.

Anglia i Francja podejmą kontrakcje. Należy to przetrzymać. Na Zachodzie dokonać rozwinięcia wojska. „Żelazna, niezachwiana wytrzymałość wszystkich odpowiedzialnych osób".

2. Cel.

Zniszczenie Polski — likwidacja jej żywej siły. Mowa jest nie o osiągnięciu określonej linii lub innej granicy, a o zniszczeniu przeciwnika, do czego należy dążyć wszystkimi metodami.

3. Wykonanie zadania.

Metody — każde. Zwycięzcy nikt nie sądzi. Dlatego mowa jest nie o tym, by mieć rację, a jedynie wyłącznie o zwycięstwie.

4. Wykonanie.

Twarde i zdecydowane. Być twardym wobec wszelkich przejawów litości. Szybkość: wiara w niemieckiego żołnierza, nawet jeśli powstaną jakieś trudności. Najważniejsze są kliny z południowego wschodu do Wisły i z północy do Narwi i Wisły. Szybko reagować na zmiany sytuacji. W zależności od sytuacji natychmiast stosować nowe środki.

28.8.39

3 dzień gotowości

a) Narada o godz. 17.30 w kancelarii Rzeszy... Führer z Himmlerem, Heydrichem, Wolfem, Goebbelsem i Bormannem. Sytuacja bardzo poważna. Führer jest zdecydowany by tak czy inaczej rozwiązać problem wschodni.

Żądania minimalne: zwrot Gdańska, zezwolenie na „korytarz".

Żądania maksymalne: „w zależności od kształtowania się sytuacji".

Jeśli żądania niemieckie nie zostaną spełnione, wówczas — wojna. Okrutna! On będzie osobiście na pierwszej linii... „Dopóki żyję, o kapitulacji nie może być mowy".

Pakt ze Związkiem Radzieckim został źle zrozumiany przez partię. To pakt z szatanem, by wykurzyć diabła...

„Oklaski na rozkaz, ale rzadkie".

Wygląd führera: zupełnie wycieńczony, głos ochrypnięty, roztargniony.

„Już nie wydostaje się z rąk swoich SS-owskich doradców".

18.35. Duce:

„Ponieważ Niemcy nie mogą zabezpieczyć niezbędnych surowców, nie mogę wziąć aktywnego udziału". Jeszcze jest szansa na uregulowanie sytuacji na drodze dyplomatycznej na dogodnych i honorowych warunkach.

19.00. Odpowiedź Daladiera na notę führera. Propozycja pośrednictwa. Francja jednak winna pomóc Polsce.

23.00. List führera do Duce. Zgadza się z tym, że Włochy nie są w stanie wystąpić. Do momentu rozpoczęcia działań wojennych należy jednak stwarzać pozory, że Włochy mogą wystąpić oraz wiązać siły. Wówczas rozwiąże problem wschodni i zimą zjawi się na froncie zachodnim z siłami nie mniejszymi niż anglo-francuskie. Blokada nie da efektu ze względu na samowystarczalność. Wsparcie przy pomocy siły roboczej.

Von Brauchitz:

Jeśli trafi kosa na kamień, będę prowadzić wojnę na dwa fronty. Poseł rumuński: Henderson przywiózł zbyt mało. Wojna jest nieunikniona, chyba że stanie się cud. Rumunia pozostaje neutralna, jeśli Węgry nie zrobią jakiegoś głupstwa.

DOWÓDCA WOJSK LĄDOWYCH:

1. Termin natarcia 1.9.

2. Jeśli zapadnie decyzja o nierozpoczynaniu działań, führer zawiadomi natychmiast osobiście.

3. Jeśli zajdzie konieczność odłożenia, führer zawiadomi natychmiast osobiście.

4. Zamiar: Postawić Polskę w niewygodnej dla niej sytuacji w czasie rozmów, ale tak, by można było osiągnąć najkorzystniejsze rezultaty.

Wynik: Żądamy Gdańska, przejścia przez polski „korytarz" i referendum, jak to było w Okręgu Saary. Anglia, być może, przyjmie te warunki. Polska nie. Rozbić!

Cel: Radykalnie rozprawić się z Anglią.

Gdańsk, przejście przez „korytarz".

29.8.39

4 dzień gotowości

Jodl. (Dowódca wojsk lądowych powiadomiony)

List Chamberlaina w duchu pokojowym. Próby znalezienia modus vivendi (zdania w gabinecie podzielone). Ton możliwy do przyjęcia.

Jasne: Anglia nie może odejść od zobowiązań udzielenia pomocy.

. . . . . .

Anglia nalega, by Polacy przybyli na rozmowy.

Führer zamierza jeszcze dziś odpowiedzieć na notę.

Gdańsk nie stanowi już problemu, mały korytarz — także, duży korytarz — problem otwarty.

Führer pragnie nacisnąć na wszystkie guziki państw demokratycznych (propozycja referendum, wymiana ludności).

(Obserwatorzy z innych państw dla zbadania bestialstwa!)

Żądanie Anglii by jutro, w południe, pełnomocni przedstawiciele Polski znaleźli się w Berlinie. Termin odpowiedzi — wieczór 31.8. Ogólne wrażenie: Anglia zmiękła w przewidywaniu wielkiej wojny.

Oczekuje się instrukcji: Pierwszy strzał winien paść ze strony przeciwnika.

Przestrzegać neutralności (Zachód).

Wybrał i przygotował:
EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: CAF — Archiwum

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Gaz w bagażniku, czyli „co byłoby gdyby..."

Zmotoryzowany świat wciąż szuka taniej energii, która zdolna byłaby napędzać samochodowe silniki. Gdy jedni eksperymentują z bateriami słonecznymi, inni z powodzeniem używają alkoholu produkowanego z trzciny cukrowej, my wycinamy sobie kupony benzynowe i propagujemy „jazdę o kropelce". Zanim jednak dojdziemy do światowych rekordów w dziedzinie oszczędności i seryjny 126 p będzie palił 2 litry na „setkę" (z przyczepą — 2,5 litra...), spróbujmy nieco pofantazjować. Zerknijmy za miedzę, może nie tę najbliższą, gdzie sąsiedzi na co dzień korzystają nie tylko z ropy naftowej i różnych odmian benzyny. Alternatywnym rozwiązaniem jest choćby gaz, a konkretnie — propan-butan...

W 1805 roku, w szwajcarskim kantonie Wallis, jeden z pierwszych zapaleńców ogarniętych pasją budowania samobieżnych maszyn — de Rivaz stworzył prymitywny pojazd wyposażony w gazowy silnik, uruchamiany elektrycznie. Później wielokrotnie powracano jeszcze do różnych koncepcji silników, które wykorzystywałyby gaz jako źródło napędu. Dziś, zdawołoby się, bezsprzecznie króluje na świecie benzyna. Chociaż...

Oblicza się, że około 70 procent zmotoryzowanych Włochów i Holendrów tankuje swe pojazdy z osobnego dystrybutora. Widnieje na nim napis: GAS lub GPL. Takie dystrybutory posiada większość stacji benzynowych w tych krajach, bowiem — wyjaśnijmy to od razu — samochody przystosowane są do korzystania także z paliwa tradycyjnego.

Cóż to za cudo ów gaz, czyli propan-butan? Krótka powtórka z lekcji chemii, na której akurat byliśmy w szkole nieobecni: mieszanina węglowodorów o niskim ciężarze molekularnym. Głównym dostawcą gazu płynnego są rafinerie ropy naftowej, a powstaje on w tzw. procesie krakowania, który polega, najogólniej mówiąc, na podgrzewaniu ropy bez dostępu powietrza. Ilości gazu w skomplikowanym procesie przeróbki ropy nie można jednoznacznie określić, bowiem zależy to m. in. od sposobu przeprowadzania operacji, nastawionej głównie na otrzymywanie benzyny i oleju silnikowego.

I propan, i butan wykorzystywane są również w postaci „samodzielnej". Butan — choćby do zapalniczek, a propan m. in. w przemyśle metalowym do wytwarzania atmosfery ochronnej (przy spawaniu, hartowaniu). Pochodnymi obu jest propylen, etylen i kolejno — polipropylen i polietylen. Z etylenu otrzymujemy choćby syntetyczny kauczuk (opony!...), a z propylenu — włókna akrylowe. Zaś mieszanina propanu i butanu, w proporcjach określonych krajowymi normami (dla dokładnych — PN-81/C-96000) wykorzystywana jest w gospodarstwach domowych. Między innymi oczywiście, ale to już jest ten gaz znany nam z palnika kuchenki czy turystycznych butli.

Koniec z chemią, wróćmy do silników. Zasady stosowania są znane od wielu lat, rozpowszechnione, bowiem gaz jest paliwem naprawdę wartościowym. Wymieńmy tylko podstawowe zalety: lepsze spalanie mieszaniny gazu z powietrzem niż benzyny z powietrzem spokojna, cicha praca silnika (liczba oktanowa gazu wynosi 100—125), znacznie większa czystość spalin (minimalna zawartość tlenku węgla, zupełny brak związków ołowiu). A jeśli już o ołowiu mowa, to warto dodać małą ciekawostkę. W Stanach Zjednoczonych kupić można również specjalną odmianę benzyny — bezołowiową, z tym że niezbędne są przeróbki silnika, układu smarowania i wydechowego. Nie można już wówczas korzystać z „normalnej" benzyny, bowiem błyskawicznie przyśpiesza to zużycie silnika.

Oprócz wymienionych zalet propanu-butanu stymulatorem jego popularności przede wszystkim we Włoszech i krajach Beneluksu, w mniejszym stopniu — w RFN czy Wielkiej Brytanii — jest jeszcze cena. Jeśli samego gazu mamy pod dostatkiem, nie ma kłopotu ze zdobyciem dodatkowej instalacji czy zatankowaniem zbiornika, a paliwo jest tańsze niż benzyna — nie ma się nad czym zastanawiać.

Zasadą jest, że instalację gazową montuje się jako dodatkowy układ zasilania, obok klasycznego — benzynowego. Nie wolno, przynajmniej we wspomnianych krajach, dokonywać przeróbek w samochodach z silnikiem usytuowanym z tyłu (względy bezpieczeństwa). Nie można także układu zainstalować w pojazdach wyposażonych w silniki chłodzone powietrzem, bowiem płynny gaz musi zostać odparowany, do czego wykorzystuje się ciecz chłodzącą. Ale o tym za chwilę.

Cóż więc się dodatkowo montuje w klasycznym, czterosuwowym, gaźnikowym wehikule? Przede wszystkim zbiornik wysokociśnieniowy, który niestety, zajmuje znaczną część (w zależności rzecz jasna od pojemności) bagażnika. Zbiornik wyposażony jest w trzy zawory — napełniający, bezpieczeństwa (w sytuacjach awaryjnych powoduje wypuszczenie gazu na zewnątrz pojazdu) oraz roboczy, który może zablokować samoczynnie wypływ gazu, gdy na dalszym odcinku instalacji wystąpi jakieś uszkodzenie. Tu istotna uwaga — instalacja a przede wszystkim zbiornik musi spełniać wysokie wymagania, bowiem propan-butan jest gazem dwukrotnie cięższym od powietrza i po ulotnieniu się z butli ściele się po ziemi (w tym przypadku — w bagażniku), a jego dwuprocentowa mieszanina z powietrzem grozi już wybuchem!

Ze zbiornika prowadzone są wysokociśnieniowe przewody (do 25 atmosfer muszą wytrzymać, choć robocze ciśnienie praktycznie nie przekracza 5 atmosfer), najczęściej miedziane, by uniknąć korozji — do reduktora. Dokładnie — reduktora z odparowaczem, bowiem włączony jest on w obieg cieczy chłodzącej silnika, by nastąpiła zamiana fazy ciekłej gazu w lotną. Dwustopniowy zwykle reduktor zmniejsza także ciśnienie gazu do 1 atmosfery, a z niej — do ciśnienia atmosferycznego.

Cóż więcej? W typowy gaźnik wkręca się specjalną wkładkę, nad przepustnicą, a uchylenie tej ostatniej powoduje zassanie gazu z reduktora. Jest i śruba regulująca skład mieszanki, reduktor posiada również regulator wolnych obrotów, a także elektryczne urządzenie rozruchowe (czyli „ssanie"), niezbędne przy szybkim uruchomieniu silnika w niskich temperaturach.

Przestawienie zasilania z gazu na benzynę i odwrotnie odbywa się „w locie", w czasie jazdy. Przełącznik w kabinie, za pośrednictwem dwóch zaworów elektromagnetycznych odcina w zależności od potrzeb dopływ gazu lub etyliny.

I to w zasadzie wszystko. Przeróbek jest więc niewiele, a atestowane, typowe instalacje, eksploatowane zgodnie z przepisami, gwarantują bezpieczne korzystanie z samochodu. A ceny? Cóż, są mimo wszystko niebagatelne. Choć może tylko dla nas... W RFN, dla przykładu, całe gazowe oprzyrządowanie, kosztuje 900 marek (z zamontowaniem — 1800 marek), podobnie w Holandii — około 1000 guldenów, we Włoszech, z montażem — 250—300 dolarów. I na tym tle ciekawostka: bułgarskie urządzenie, produkowane nie opodal Sofii, kosztuje 300 lewów i można już spotkać Bułgarów, korzystających z gazu w swej Ładzie czy Żiguli, choć — jak sami twierdzą — mają kłopoty z napełnianiem butli, bowiem sieć stacji wypo-

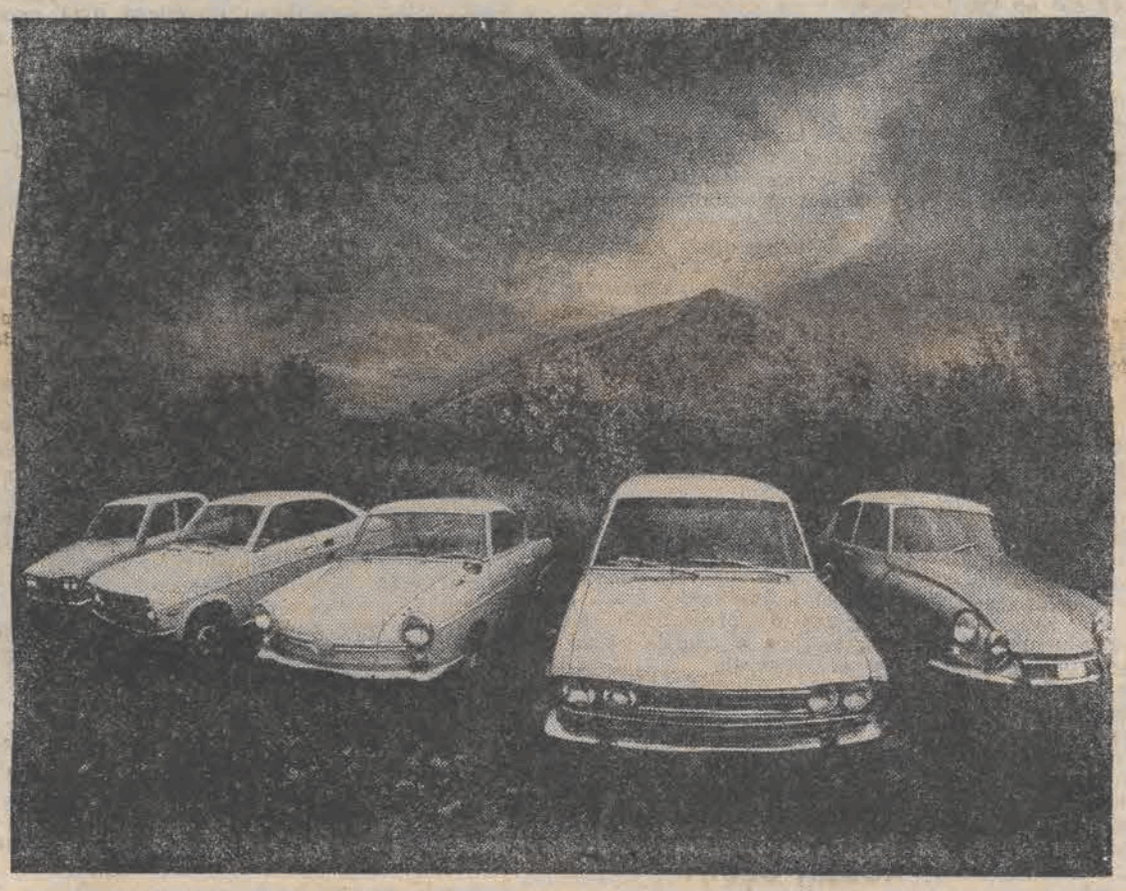

sażonych w dystrybutory gazowe to dopiero przyszłość.

Właśnie, ileż to kilometrów można przejechać na propanie-butanie? Instalowane są różne zbiorniki, w przypadku samochodów osobowych, nawet do 35-kilogramowych włącznie. Oczywiście, podobnie jak w przypadku klasycznego zasilania, decyduje również styl jazdy, masa pojazdu, teren, na którym się pojazd wykorzystuje (miasto, szosa). Generalnie przyjmuje się, że 1 kilogram gazu to jakby zamiennik półtora litra benzyny. Pachunki i kalkulacje są więc stosunkowo proste.

Zdaję sobie sprawę, że udręczony paliwowymi kłopotami zmotoryzowany Czytelnik zacznie się być może podświadomie przymierzać do instalowania podobnego urządzenia w swym samochodzie. A jeśli nie, to przynajmniej do teoretycznych rozważań z cyklu „co byłoby gdyby"... Znając przysłowiowe, „złote rączki" naszych domorosłych samochodowych speców nie byłoby to może rzeczywiście zbyt skomplikowane. Nie ukrywam też, że udało mi się odbyć krótką rozmowę z właścicielem fiata 125p, który od czterech z górą lat korzysta z gazu jako paliwa, obok etyliny, oczywiście. Z powodów, o których poniżej, ów sympatyczny młodzian nie życzył sobie bym wspominał o nim wymieniając imię i nazwisko. Cóż było robić, ale w „gazowym" samochodzie siedziałem, a nawet wykonałem na parkingu małą rundę.

— Dlaczego zdecydował się pan na te przeróbki?

— Wie pan, one nie są aż tak skomplikowane, podglądałem zresztą od lat zagraniczne, głównie holenderskie rozwiązania, czytałem fachową literaturę. A zdecydowałem się ostatecznie w 1979 roku, gdy z benzyną zaczynało być krucho, z gazem jeszcze nie, a poza tym kilogram propanu-butanu kosztował wówczas 4 złote...

— Czy to znaczy, że dziś się nie opłaca?

— Relacje się nieco zmieniły, choć i dziś cena 32 złote za kilogram jest atrakcyjna, zwłaszcza że przejedzie się na nim więcej niż na litrze etyliny.

Mój rozmówca podnosi maskę fiata. Po lewej stronie komory silnikowej zainstalowane „serce" całej instalacji — reduktor. Kilka dodatkowych przewodów, z których jeden wchodzi pod filtr powietrza. Po zdjęciu jego pokrywy widoczna jest okrągła wkładka wciśnięta w typowy gaźnik, z otworami wokół, przypominająca nieco palnik kuchenki gazowej.

— Wszystko wykonał pan sam? — pytam właściciela.

— No, bez przesady. Minimum reduktor musi być oryginalny, wykonany przez specjalistycznego wytwórcę. Mój jest holenderski, kosztował 300 guldenów. Osobno zdobyłem oba zawory; podłączenia przewodów, mocowanie zbiornika to już wykonałem we własnym zakresie. Doszły mi w sumie koszty w granicach 10—11 tysięcy złotych. Choć myślę, że dziś kwota byłaby co najmniej dwukrotnie wyższa.

— Jak duży ma pan zbiornik na gaz i na przejechanie ilu kilometrów zapas ten wystarcza?

— Zainstalowałem zbiornik 20-kilogramowy, większego nie chciałem, bo i tak zajmuje jedną trzecią bagażnika. W mieście przejeżdżam średnio około 300 kilometrów, na szosie więcej — 350—380 kilometrów.

— A jak się zachowuje fiat napędzany gazem?

— Niech się pan sam przekona...

Siadamy. Wóz zapala bez kłopotu, silnik pracuje rzeczywiście nieco ciszej. Robimy rundę po pustym parkingu, po czym właściciel decyduje się oddać na chwilę ster w moje ręce, bym się sam przekonał, czy jest jakaś różnica. Od razu przyznaję: nie ma. Samochód swobodnie przyspiesza, „ciągnie" równo, najmniejszym szarpnięciem nie reaguje na zmianę zasilania z gazu na benzynę i odwrotnie. Osiągi są (tego już nie sprawdzałem na własnej skórze) ponoć podobne, choć propan-butan zawiera sporo różnych zanieczyszczeń i według mojego rozmówcy zdarza się czasem, że samochód traci nieco mocy. Wszystko zależy od konkretnej porcji nabitego w zbiornik gazu. Właśnie, tu doszliśmy do sedna sprawy.

— Niech mi pan powie rzecz najważniejszą: czyżby nie miał pan kłopotów z napełnieniem zbiornika?

— Mam i to bardzo duże, ale umawialiśmy się, że nie będziemy o tym mówić...

— Fakt — umawialiśmy się. I obaj wiemy doskonale, iż brak możliwości napełnienia zbiornika gazem stawia pod znakiem zapytania zasadność przeprowadzania całej operacji. A tasiemcowe kolejki ludzi z butlami turystycznymi przed punktami napełniania są najlepszym dowodem, że za dużo propanu-butanu nie mamy. Ale spróbujmy dowiedzieć się u źródła, czyli w rozlewni gazu przy ulicy Tuszyńskiej w Łodzi. Przy telefonie dyrektor firmy — Jerzy Grzegorczyk:

— Jak pan myśli dyrektorze, gdzie ten kierowca nabija gazem swój zbiornik? — pytam po zrelacjonowaniu przypadku wyżej opisanego.

— O rany, jeszcze jeden kamikaze! Jak znam życie i odwagę rodaków, to gdzieś w ciemnym garażu przelewa gaz z dużej butli, albo kilku małych, turystycznych do swojego samochodu. Z narażeniem życia — dosłownie. Słyszał pan o tym ostatnim wypadku w Gliwicach, gdzie się dom rozleciał? No właśnie — też przelewał facet gaz z jednej butli do drugiej...

— No dobrze, a u pana nie ma możliwości napełnienia samochodowego zbiornika propanem-butanem?

— Praktycznie nie ma.

— Dlaczego? Przecież urządzenia rozlewcze firma posiada...

— Oczywiście, ale nie przystosowane do napełniania samochodowych zbiorników.

— Ejże, a słyszałem, że kiedyś pomogliście angielskiemu czy holenderskiemu turyście? — strzelam zasłyszaną plotką.

— Mieliśmy trzy czy cztery takie przypadki, ale były to sytuacje awaryjne i całą operację przeprowadzaliśmy nieco, hm, „na oko"...

— Ciekawe?!

— Tak sobie. Po prostu gdyby był dystrybutor, który pokazuje ile kilogramów gazu tankuję, a ja wiem, ile w typowy zbiornik mogę wlać — to nie ma problemu. U nas taki zbiornik powinniśmy napełniać na wadze. Aby go nie przelać, bowiem to grozi rozerwaniem. No właśnie, a zbiornik montowany jest w wozie na stałe i nie powinno się go ruszać, bo każde drgnięcie, to potencjalna możliwość powstania nieszczelności.

— Ale zainstalowanie takich dystrybutorów nie stanowi chyba aż takiego problemu...

— Oczywiście, że nie. Tylko nieco się zagalopowaliśmy: to są absolutnie rozważania teoretyczne, bowiem po prostu nie ma gazu.

— Aż tak źle?

— No, niewesoło. Jeśli musieliśmy w ostatnich miesiącach importować propan-butan, by zaspokoić choć minimalne potrzeby przemysłu i gospodarstw domowych, to sprawa samochodów napędzanych gazem jest właściwie po a dyskusją i GIGE nie bierze takich tematów pod uwagę.

— Jeszcze trochę i zacznie się mówić o spekulacji gazem...

— Przecież już ją mamy, nie okłamujmy się. Jeśli u mnie przed bramą rozlewni dostać można małą butlę turystyczną, nabitą oczywiście i na wymianę za pustą — za 250—300 złotych, a dużą, 11-kilogramową — za 1000—1500 złotych, to o czym to świadczy? Że gazu brakuje..

— Albo szwankuje system dystrybucji?

— Z pewnością nie jest idealny, ale niech mi pan wierzy — gazu brakuje.

— No dobrze, ale jeszcze chwila teorii: gdyby gaz był, to w rozlewni przy Tuszyńskiej można by zatankować samochód?

— Oczywiście, potrzebne jest „tylko" stosowne zezwolenie z GIGE, wydziału komunikacji, że dopuszcza do ruchu pojazdy napędzane gazem, stawiamy dystrybutory — i nie widzę przeszkód. Nawiasem mówiąc, znalazłoby się zapewne wiele stacji benzynowych, gdzie można by gaz sprzedawać, najlepiej na obrzeżach miasta, z dala od zabudowań. Ale to wszystko wymagałoby centralnych decyzji, jak choćby sprawa servisu, obsługi nowych urządzeń w samochodach. Tu już złote rączki nie wystarczą, a nieszczelnego zbiornika z gazem plasteliną czy chlebem nie zalepi...

— I ostatnie pytanie: czy propan-butan, który obecnie otrzymujecie nadaje się do napędu silników samochodowych?

— Ależ się pan uparł! Czemu nie napisze pan o nieostrożnym obchodzeniu się z kuchenkami gazowymi, z wszelkiego typu domowymi instalacjami i o tragicznych wypadkach?! No już dobrze, skoro to ostatnie pytanie: nadaje się, oczywiście, ale polska norma na używaną powszechnie mieszaninę propanu i butanu jest na tyle, nazwijmy to, szeroka, że różne są te proporcje i osiągi pojazdu też byłyby niejednakowe. Poza tym trzeba by ją oczyścić, wyeliminować m. in. wodę, oleje mineralne, siarkę elementarną...

I tak doszliśmy do sedna problemu. Potencjalne możliwości zastosowania gazu są, instalacja nie jest zbyt skomplikowana, ale — nie ma gazu. Mogą się w tego typu nowości bawić Bułgarzy, od wielu lat z gazu jako paliwa korzysta większość Włochów i Holendrów, my — możemy pomarzyć. Ale w takim RFN też nie ma zbyt wielu zwolenników stosowania propanu-butanu. Pociecha? Niewielka, po prostu między ceną gazu a etyliny różnica jest tam minimalna, zaś ta ostatnia — też ciekawostka — ostatnio znów... staniała. Raptem o „głupie" dwadzieścia trzy fenigi od ubiegłego roku, ale jednak. Dla statystyków: według danych sprzed kilku tygodni 1 litr etyliny 98 oktan kosztował 1,21 DM.

A w naszych radosnych, choć teoretycznych wyłącznie rozważaniach warto uwzględnić jeszcze jeden szczegół: czy ktoś wierzy, że cena 1 kilograma gazu, gdyby ten ostatni udało się zdobyć dla zmotoryzowanych, nie skoczyłaby nieco w górę?

Proponuję raczej popracować nad wykorzystaniem innego paliwa — alkoholu uzyskiwanego z „ziemniaków. Mają Brazylijczycy swoją trzcinę, mamy i my ziemniaki, których zwykle rodzi się sporo i nie bardzo wiadomo co z tym faktem robić. To znaczy wiadomo, bo „Bałtyckiej" jeszcze nam nigdy nie zabrakło. Może by też spadło wtedy krajowe zużycie tegoż „paliwa". Ale to już zupełnie inna para kaloszy. A ustawę wychowującą nas w trzeźwości sprokurowali przecież fachowcy...

Z karabelą na artykuł 38

Dokończenie ze strony 1

Oczywiście nie należy dodawać, że gdyby tych czterdziestu pośredników powiedziało: „Mamy was gdzieś", to cały Inspektorat by się rozleciał — ponieważ są to wieloletni fachowcy, w większości prawnicy i nie istniałaby działalność czegoś takiego na przykład jak ubezpieczenia mieszkań.

Tutaj prywatna uwaga na marginesie: kiedyś to się wszystko nazywało „agenci PZU" i do tej formy są wszyscy przyzwyczajeni — na zasadzie tradycyjnego nazewnictwa nazywano ich ni w pięć ni w dziesięć „pośrednikami", no i tak dalej będę o nich pisać.

No to teraz do rzeczy: na wiosnę zeszłego roku, zatajając pismo Centrali PZU, Inspektorat nr I PZU w Łodzi obniżył stawki akwizycyjne, co z punktu widzenia prawnego równało się wypowiedzeniu warunków płacy. I Inspektorat PZU w Łodzi pismem o sygnaturze PR-220/83 dokonał wypowiedzenia warunków płacy i określając wysokość nowych norm prowizyjnych zapowiedział wprowadzenie niższych norm prowizyjnych od 1 lipca 1983. Proszę zwrócić uwagę na daty.

Jednakże zaproponowane normy prowizyjne nie weszły w życie, gdyż w dniu 27 czerwca tegoż roku wprowadził w życie jeszcze inne normy prowizyjne także niższe, z mocą wiążącą po 1 lipca 1983 **nie wypowiadając ponownie warunków płacy.** I tu mamy po raz pierwszy do czynienia z faktem kryminalnym, a więc z naruszeniem przepisów artykułu 42 Kodeksu Pracy (to jest bez wypowiedzenia warunków płacy).

Mam przed sobą wieleset stronicowy zbiór dokumentów procesowych i zaskarżeń — i nie mam zamiaru męczyć czytelników skomplikowaną nomenklaturą prawniczą. Jedno jest pewne, że PZU świadomie i rozmyślnie storpedował wysiłki rzeczników poszkodowanych pośredników, nie wydając potrzebnych zaświadczeń i pozbawiając ich tym samym dowodów dla sądu — o co prosili trzykrotnie pełnomocnicy powodów. Gdy przyszło do rozprawy wówczas w poprzednich instancjach i Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi przedstawiono ze strony Inspektoratu niewiarygodne zestawienia zarobków pośredników, włączając w to zarobki z okresu poprzedzającego wprowadzenie nowych stawek, okresy urlopowe, chorobowe — tak aby wyjść na swoje. Nie trzeba wielkiego prawnika, aby doszukać się w tym matactwa oraz naruszenia dyspozycji z art. 266 paragraf 2 Kodeksu Karnego — czyli posługiwania się dowodem przed sądem ze świadomością, że nie jest on prawdziwy.

Żeby nie streszczać — bo przecież przejdziemy do spraw najważniejszych — pokrzywdzeni pracownicy przeszli przez wszystkie instancje orzekające w sprawach przeciwko przedsiębiorstwu. Przegrali je dla tego, że wstyd powiedzieć, niezespoły orzekające działały na zasadzie przyjmowania za dobrą monetę fałszywych dokumentów czego najlepszym dowodem jest fakt, iż przyjęto do wiadomości, że na naradzie dotyczącej nowych stawek był obecny przewodniczący istniejącego w PZU związku zawodowego nie zorientowany przecież w dyskusji globalnej o całej grozie zagadnienia.

Tymczasem cóż czytamy w komentarzach z roku 1977 do Kodeksu Pracy (autorzy: Bieniek, Brol, Krajewski):

— art. 42 KP par. 2: „wypowiedzenie warunków... płacy uważa się za dokonane jeżeli pracownikowi zaproponowano na piśmie nowe warunki"

— Dziennik Urzędowy KPiP nr 7 poz. 17: „bieg wypowiedzenia rozpoczyna się z chwilą powiadomienia pracownika o nowych proponowanych mu warunkach umowy"

— str. 148: „pracownik ma prawo nie przyjąć proponowanych warunków płacy"

Ten proces nie zrodził się z pretensji pośredników do wysokich zarobków, nie chodzi bowiem o to, że powodowie zarabiają mało, ale o to, że pozbawiono ich części zarobków z pogwałceniem prawa, utracili bowiem część prowizji, która byłaby ich udziałem w okresie ponownego wypowiedzenia zmieniającego warunki płacy.

Pozwany zakład pogwałcił prawo (artykuł 42 Kodeksu Pracy) **rozmyślnie** i zamysł swój potwierdza nie uznając powództwa w dalszym ciągu i pokrętnie argumentując usiłuje zdezorientować Wysoki Sąd.

Na skutek pieniactwa Dyrekcji Inspektoratu PZU odszkodowanie związane z absolutną nieważnością nieformalnych wypowiedzeń warunków płacy sięga po przeszło roku już milionów złotych.

SZLACHECKA KARABELA I ARTYKUŁ 38

Być może niektórzy czytelnicy powiedzą sobie: „a cóż nas to obchodzi, skoro nas to nie dotyczy". Przyjaciele, to w każdej chwili może was dotyczyć. To już nie jest proces o czterdziestu ciężko harujących ludzi, ale o was, o mnie, o ciebie, o każdego Polaka. Tu dało znać o sobie pieniackie, szlacheckie sobiepaństwo. Pan Dyrektor chwycił za karabelę i powiedział: „ja tu jestem sobie panem i wam nic do tego".

A komu to tak nic do tego? Zacytujmy najbardziej kompetentną instancję. Państwową Inspekcję Pracy, Okręgowy Inspektorat Pracy w Łodzi w piśmie z 18 czerwca 1984:

„Inspektorzy pracy w protokole z przeprowadzonej kontroli podpisanym w dniu 6 czerwca 1984 na stronie 2 w punkcie 2 stwierdzili: Stosując wobec pracowników przepisy o wypowiadaniu płacy (art. 42 KP — to znaczy wypowiedzenie zmieniające) zakład naruszył przepisy artykułu 38 par. 1 KP w związku z art. 48 par. 1 — to jest nie zawiadomił zakładowego związku zawodowego o zamiarze wypowiedzenia pracownikom warunków płacy. W powyższym temacie stwierdzono także nieprawidłowość polegającą na naruszeniu przez zakład artykułu 30 par. 4 KP — to jest niepowiadomieniu przez zakład środków odwoławczych."

Od tego protokołu nie ma żadnego odwołania. To nie jest według starego stylu zaproszenie przewodniczącego związku zawodowego na naradę o wszystkim i o niczym. Bo protokół kontrolny Państwowej Inspekcji Pracy wyraźnie stwierdza: „zawiadomienie na piśmie powinno być skierowane do rady zakładowej, a nie ustnie do przewodniczącego.".

Ośmielam się twierdzić, że dyrekcja Inspektoratu PZU świadomie i cynicznie zlekceważyła nowe związki zawodowe — w dalszym ciągu traktując je jako tych facetów od cebuli i marchewki, jak to było w latach 70-tych. I tu się bardzo pomyliła. To są nasze, mądre, szkolące się na najtrudniejszych sprawach związki zawodowe, które nie zawahają się podjąć najtrudniejszych problemów.

Do całego procesu-monstrum nie doszłoby nigdy, gdyby nie te szabelkowo-sobiepańskie widzimisię dyrekcji, które teraz będzie kosztować państwo sporo forsy, bo zrozumcie panowie dyrektorzy, że nieważne wymówienie płacy pociąga za sobą zwrot wszystkich należności według starych stawek prowizyjnych i przed tym się nie uchronicie, a dlaczego, to w następnej części.

WNIOSEK O REWIZJĘ NADZWYCZAJNĄ

1 sierpnia 1984 legalnie upoważnieni przez większość pośredników PZU powodowie wnieśli podanie o rewizję nadzwyczajną do ministra pracy, płac i spraw socjalnych, Stanisława Gębali. Wniosek o rewizję jest bardzo długi, rzetelny, opatrzony we wszystkie dotychczasowe precedensowe orzeczenia Sądu Najwyższego. Dotyczy on uznania wypowiedzenia warunków płacy za bezskuteczne, w oparciu o stanowiska wcześniej zajęte przez Sąd Najwyższy.

Rozdziały podania o rewizję nadzwyczajną noszą tytuły:

— „W kontekście naruszenia prawa, to jest przepisu artykułu 38"

— „W kontekście naruszenia prawa, to jest przepisów artykułu 42 par. 1 i 2 Kodeksu Pracy"

— „W kontekście wymowy dowodów zgromadzonych w aktach sądowych, gdzie wnioskodawcy uprzejmie proszą równocześnie o sformułowanie i przedstawienie Sądowi Najwyższemu pytań prawnych w kwestiach budzących poważne wątpliwości."

Tu warto się dłużej zatrzymać, bo chodzi o to, czy zgodne jest z przepisami prawa przedkładanie przez pracodawcę dwóch różniących się między sobą propozycji płacowych i samowolne wdrożenie drugiej. Czy pracodawca będąc pozwanym w procesie ma prawo utrudniać swym pracownikom dostęp do dowodów o dokumentach płacowych. Wreszcie, czy dowód z dokumentu pochodzący od Państwowej Inspekcji Pracy, stwierdzający niedopełnienie z artykułu 33 KP, którego pracodawca dopuścił się w czasie przed rozpoczęciem procesu — może stanowić podstawę wznowienia.

Bardzo istotny jest początek uzasadnienia podania o rewizję nadzwyczajną:

„Świadomi tego, że nie może być powrotu do metod zarządzania sprzed sierpnia 1980, jak również, że nie ma powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia, nadto w przekonaniu o ponoszeniu odpowiedzialności za decyzje sprzeczne z prawem, wnosimy co następuje."

I tak proces-monstrum zamienia się w proces o godność i uznanie odrodzonych związków zawodowych, o ich decydującą rolę w załatwianiu spraw pracowniczych, o poszanowanie dla nich przez ludzi o szlacheckim w najbardziej nagannym znaczeniu podejściu „państwo to ja".

Powtarzam: gdyby poszanowano 38 artykuł Kodeksu Pracy nie doszłoby do krzywdy moralnej i finansowej ludzi, a co gorsza do podważenia roli rodzących się w trudzie związków zawodowych.

Stąd moja nadzieja w prawnej i partyjnej uczciwości ministra pracy, płac i spraw socjalnych, tow. Stanisława Gębali — stąd moja głęboka wiara w triumf sprawiedliwości.

ROBERT GLUTH

P.S. 1. Pozywający trzykrotnie występowali do Inspektoratu z wnioskami o ugodę. Za każdym razem pieniactwo brało górę i wnioski zostawały oddalane.

P.S. 2 Na marginesie przytoczę znaną z prasy sprawę. Departament Prawa Pracy Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, po szczegółowym zbadaniu sprawy, cały ten problem ocenił inaczej. To nie sąd pracy i nie komisje odwoławcze powinny być poddane ostremu osądowi społecznemu, ale dyrektor „Polmozbytu", który mimo 10 lat obowiązywania kodeksu pracy nie zna i nie umie stosować podstawowych jego zasad. Jako przykład: Jerzy S. dostał wypowiedzenie, o którym dyrekcja PP „Polmozbyt" nie zawiadomiła organizacji związkowej. Powodem wypowiedzenia pracy Markowi Sz. również nie była reforma gospodarcza, lecz osobiste animozje kierownika stacji obsługi.

P.S. 3 Zainteresowanym służę wnioskiem do rzecznika dyscyplinarnego Okręgowej Izby Radców Prawnych w Łodzi przeciwko radcy prawnemu występującemu w imieniu pozwanego inspektoratu PZU — w sprawie o matactwo procesowe.

R. G.

Dokończenie ze strony 1

pielęgnowane łapki — o, wysoka klasa. Gdzie tacy uczą się rzemiosła?

— *Rien neva plus* — powtarza i kłaniając się przenosi dłoń na niklowane pokrętło rulety. Kula toczy się po obwodzie misy „zaklinana" kilkoma na raz parami oczu.

— *Dwadzieścia trzy rouge* — ze stoickim spokojem odczytuje krupier.

— *Pewnie dziwi pana, że nie ma u nas żetonów* — pani Ewa wskazuje plik banknotów spoczywających pod ręką krupiera. — *Kiedyś były, ale sami doszliśmy do wniosku, że pieniądze baraziej wciągają niż jakieś poznakowane blaszki.*

— Jakie stawki?

— *Zaczynamy od dolara, a kończymy jak kto sobie winszuje. Jeżeli — czego panu nie życzę — zabraknie waluty, to można u barmana wymienić nasze szmatki na zielone. Dolar stoi po tysiąc, żeby nie komplikować wymiany*

— Rozumiem.

— *Aha, nie mamy w zwyczaju przedstawiać się sobie. Jeśli pan pozwoli oddale się — czekają nowi goście. Powodzenia.*

W samą porę, bo Mariusz od dobrych kilku chwil daje mi rozpaczliwe znaki. Stoi za barem. Więc to jest kasa o której mówił.

— *Zdejmij ten szmirowaty zegarek!* — syczy gniewnie. — *Nie szpanuj takim g... Szef mi nogi wyrwie z d... za to, że przyprowadziłem gościa.*

Noc w kasynie

— A ty popraw sobie muchę, bo od razu widać, że ostatni raz zakładali ci to chomąto na komunię — odcinam się, lecz widocznie nie trafiam, skoro barman ukradkiem spogląda w służbowe lustro. Miałem rację: Mariusz nie jest zbyt szczęśliwy z mojego tu pobytu. Bądź co bądź jestem świadkiem niemiłego dlań przeistoczenia. Z rasowego charta zamienia się w ratlerka — barmana za przeproszeniem.

— *Masz chociaż dolce?* — pyta, rzecz prosta we własnym interesie.

— Bo jakbym nie miał, to ty mi chętnie wymienisz, z przebitką jeden do tysiąca...

— *Z tego też żyję.*

— A po czemu drinki?

— *Darmocha. Szef funduje z własnej kieszeni. Opłaca mu się. Po wódeczce goście nabierają odwagi, a jak zgrają się do reszty, to nie ma mowy, żeby wypili za tyle ile zostawili na stole. Sorry, mam klienta...*

Siedzę na wysokim stołku przy barze. Mogę nareszcie rzucić okiem po sali. Przybywa gości. Zaostrza się woń przedniego papierosowego dymu. To jest kasyno: duże pomieszczenie na parterze willi. Okna zasłonięte ciężkimi kotarami. Na ścianie sosowskie portrety przodków i jeden Kossak, ze źle ukrytym urządzeniem alarmowym. Klubowe fotele, bar, w kątku trzy galonowe butle: stock, martini, szkocka — wszystkie w drucianych stojakach. Nad ruletowym stołem zwisa rozłożysta lampa

Mariusz kończy walutowo — pieniężną obsługę nieszczęsnego hazardzisty. Tamten z wypiekami na twarzy wraca do gry.

— *Uważaj! Szef się zbliża.*

— *Mariuszku, nasz gość ma pusty kieliszek*

— i innym tonem: — *Gdzie postawiłeś wóz!*

— *Przed bramą.*

— *To zmiataj przestawić go, ale już! Masz więcej nie robić mi takich numerów!*

— *Pan jeszcze nie próbował szczęścia...* — to do mnie, całkiem odmiennym tonem.

— Istotnie...

— *A zatem proszę. Podejdźmy do stołu..*

Wpadłem. Ani chybi nie odstąpi ode mnie, póki nie wyciśnie ostatniego grosza — co ja mówię, ostatniego centa. Spodziewałem się, że towarzystwo środkami płatniczymi NBP nie kala hazardowego stołu, ale gdzie mnie z trzema pożyczonymi dychami do nich. Zapaleniec przy barze wymieniał na zielone równe sto dwadzieścia tysięcy poczciwych złotówek. Pod pleczą krupiera jest już niemała kupka papierków z portretem prezydenta. Niedobrze ze mną...

— *Mieciu, zrób miejsce dla pana.*

Mieciu, nie daj się. Mieciu, nie rób miejsca, powiedz, że chcesz grać dalej — w duchu zaklinam Miecia, który jest moją ostatnią szansą. Ale posłuszny Miecio wycofuje się od zielonego stolika.

— *Panie i panowie, faites vos jeux* — czy temu krupierowi nie znudzi się gadanie ciągle tego samego zdania?

— *Faites vos jeux.*

Trudno. Stawiam dziesięć na kolor i... jestem lżejszy o dziesięć dolarów. Nawet nie przypuszczałem, że tak szybko. Szef współczująco kładzie mi rękę na ramieniu.

— *Pierwsze koty za płoty. Proszę próbować dalej...*

Upieram się przy feralnym kolorze i głupio robię. Znowu jestem do tyłu. Szef wraca do siebie. Obstawiam dla odmiany numery parzyste. Nareszcie! Potem przegrywam na passe i wygrywam na moyen. A potem zapominam, że przyszedłem tylko popatrzeć, a nie rzucać się z motyką na słońce. Platynowa blondynka położyła dychę na „16". Teraz klaszcze w dłonie, bo krupier podmiata w jej kierunku tę dychę i jeszcze trzysta pięćdziesiąt dolarów. Sąsiad blondynki, spłukany do cna, zdejmuje krawat i odgasza niedopałek w przepełnionej popielnicy. Pani w wieczorowej sukni wyjmuje z torebki ostatni rulonik waluty. Grubas z fajką głośno zaciera łapy. Tylko krupier z angielską flegmą ciągnie swoje:

— *Faites vos jeux.*

Przychodzi opamiętanie i kiedy po sromotnej klęsce na obstawionej kolumnie przypominam sobie kim jestem i co tu robię, macham ręką w geście rezygnacji dziękując za grę. Ukradkiem sprawdzam rozmiary porażki, ale nie dane mi jest pozostać na uboczu.

— *Słuchaj* — barman dopada mnie natychmiast. — *Szef proponuje ci pożyczkę.*

— Podziękuj ślicznie swojemu panu za obywatelską postawę i racz zaznaczyć, że jeszcze mocno stoję na własnych nogach.

— *Blefujesz?*

— Może...

Przy barze coraz więcej spragnionych. Wypadają z gry. Platynowa blondynka dzielnie poczyna sobie na planszy. Ma farta — czego nie można powiedzieć o innych. Pani Ewa dyskretnie sonduje moje potencjalne możliwości

— *Pan już nie gra?*

— Nie mam dziś szczęścia. Może innym razem.

— *Po co czekać na inną okazję. Karty poprawią panu humor. Przejdźmy na górę...*

No tak, teraz powinien nastąpić finał. Tamci na górze pewnie złupili paru jeleni i z wytęsknieniem czekają na kolejnego. Tym następnym zapewne mam być ja.

— *Proszę, tędy proszę.*

Pokerzyści siedzą przy okrągłym stoliku. Scena jak z kasowego westernu: marynarki na poręczach krzeseł, rękawy koszul pozawijane do łokci. Wyczekująca cisza.

— *Piętnaście.*

— *Piętnaście i pięć na górę.*

— *Pięć i...*

Po sposobie tasowania kart widać, że nie są to niedzielni gracze. I ja mam dosiąść się do nich — ja, który ledwie odróżniam strita od karety. Kupa śmiechu...

— *Dać nową talię!* — zarządza któryś z pokerzystów.

— *To co — zostaje pan...* — pani Ewa jest niecierpliwa.

— Raczej nie. Widzi pani, poker to gangsterska gra. W pokera nie gra się z przyjaciółmi. Pani Ewa wyjątkowo nie uśmiecha się..

ATRAKCJA

Tymczasem na parterze pogaszono światła. Będzie striptiz przy świecach. Towarzystwo obserwuje rudowłosą panienkę, trochę pokracznie pląsającą w rytm greckiej melodii. „Artystka" ma ciut za wysoki obcas.

— *Widziałeś ile badylarz postawił* — para przede mną dzieli się ostatnimi wrażeniami.

— *Aha, nieźle tego było.*

— *Gerbera go ustawiła.*

— *Jaka tam gerbera. Ma warsztacik zapisany na zięcia...*

Rudowłosa zrzuca szatki. Kelner serwuje lody.

— *Podpytaj tego z wąsikiem, może wejdzie do spółki.*

— *A z jakiej on branży?*

— Podziwiałem pański kunszt — zacząłem.

Rudowłosa ciągle zdejmuje odzienie. Przesuwam się w kierunku krupiera, który zasiadł wygodnie w klubowym fotelu i żłopie drugą butelkę toniku.

— Podziwiałem pański kunszt — zacząłem.

— *A ja pana silną wolę. Pan wie, w którym momencie trzeba wycofać się.*

— To nie jest trudne.

— *Zależy.. Miałem już graczy, którzy rzucali się na mnie z pięściami kiedy ostatnią gotówkę licho wzięło. Widział pan kiedy przegrane kobiety? Płaczą albo śmieją się takim dziwnym nienaturalnym śmiechem. Nie ma co, napatrzyłem się na ludzi.*

— W Sopocie pan pracował?

— *Nie, w Sopocie nie — w Krynicy.*

— Wyżej tam grają?

— *Raczej nie. Ale wolą żetony...*

Striptizerka zdążyła zrzucić wszystko co miała na sobie i teraz na życzenie towarzystwa powtarza numer.

Trochę to nudne — ta ruletka, poker, popisy rudowłosej. Ludzie też, jakby nie mieli o czym mówić. Monotematyczni. Ile? Z kim warto, a z kim nie warto robić biznes. Kto z jakiej branży...

— *Na momencik!* — goryl szefa składa mi propozycję nie do odrzucenia, chwytając szuflowatą łapą za przegub dłoni.

W gabinecie czeka chlebodawca osiłka.

— *No co kolego. Nie potrafimy bawić się. My tu do pana grzecznie, pomagamy, a pan zamiast poszaleć, nic tylko obserwuje i ciągnie ludzi za języki..*

Chodzi mu pewnie o to że za mało zostawiłem na jego hazardowych stołach. Tak jakbym wspominał coś o gangsterskiej zabawie...

Osiłek tymczasem patroszy moje prywatne kieszenie.

— *On ma tylko prawo jazdy i dwie dychy.*

— *Oddaj panu co nie nasze* — goryl niechętnie wypełnia rozkaz szefa.

— *A teraz słuchaj!* — to do mnie. — *Nie próbuj więcej wkręcać się do naszego towarzystwa. Jak widzisz bajerantów wcześniej czy później nakrywamy. Zapamiętaj sobie, że kto chce się bawić, musi mieć szmal — taka jest prawda. A gdyby wpadł ci do głowy jakiś niemądry pomysł, to dowiedz się, że kasyno jest ruchome — dziś tu, jutro tam. Żegnam!*

Jest godzina 4.20. Towarzystwo wraca do domów.

ROMAN KUBIAK

Dokończenie ze strony 1

wyrobionym przodem. Czekam piętnaście minut pod schodami do radiowęzła. Górnik z nową, dobrze wyostrzoną głowicą urabiającą..."

Albo dramatycznie i zwięźle: *„Balon, przyjechałam. Nie mam pieniędzy. Czekam...*

Codziennie czteroosobowa obsługa radiowęzła nadaje tysiące waszych ogłoszeń i komunikatów. Zabawnych i dowcipnych. Wykazujecie w ten sposób swoje poczucie humoru, fantazję, i... potrzeby. Niestety, najbardziej wulgarne teksty zatrzymuje wam radiowęzłowa cenzura Cóż, słucha tego kilka tysięcy ludzi. Czasami pan naczelnik miasta odwiedzający pole...

Na polu namiotowym toczy się odrębne, oderwane od koncertu festiwalowe życie. Macie swój rezerwat. Jedyne godziny, kiedy w miasteczku jest cisza to piąta i szósta nad ranem. Kiedy już wróciliście z koncertu, a jeszcze nie wyszliście do miasta. Poza tym ciągle coś się dzieje, gracie na gitarach, rozmawiacie, czasami ktoś czyta książkę, wybraliście nawet miss miasteczka namiotowego.

Jeżeli nie mieliście trzech stów na opłacenie pola namiotowego, rozbijacie namiot v ogródkach prywatnych domów W zamian za udostępnienie drobiny ziemi pomagacie przy drobnych domowych pracach. Śpicie również w śpiworach na klatkach schodowych, na dworcu, gdzieś w lesie, a nawet... na cmentarzu. Noce na szczęście były ciepłe i niedeszczowe.

W dzień, kiedy nie ma jeszcze koncertu pełno was w mieście. Oblegacie jarociński rynek, jarocińskie ulice i skwery. Najbardziej lubicie siedzieć pod ścianami. Wtedy trzymając w jednej ręce butelkę mleka, a w drugiej bułkę albo ćwiartkę chleba spożywacie swój najtańszy posiłek. Niektórym z was po opłaceniu karnetu na koncerty i pola namiotowego zostało na cztery dni dwieście, trzysta złotych. Nie stać was więc na obiad w restauracji.

Swoim zachowaniem, sposobem bycia i ubiorem nadajecie miastu swoisty koloryt. Tylko raz w roku mieszkańcy Jarocina mogą zobaczyć tak liczną i różną młodzież z całego kraju. Nosicie podarte dżinsy i flanelową koszulę, wyszarpane i pomalowane kamizelki, wymyślne przywieszki i ozdoby, kolorowe włosy i wszelkie możliwe fryzury. Sukienki mini, sukienki i spódniczki z koronki, z dżinsu, z flaneli, z gazy, z ręcznika; kapelusze, czapki-pilotki, chusteczki, berety, trampki, buty z cholewami, klapki, skórzane kurtki, habity, marynarki. W Jarocinie, jeżeli chodzi o wygląd, wszystko jest dozwolone. Czujecie się więc wolni, swobodni i nieskrępowani.

Przez cztery festiwalowe dni słuchacie rocka, poznajecie muzyków, łowicie autografy, nawiązujecie nowe przyjaźnie i znajomości, poznajecie, być może pierwszą w swoim życiu dziewczynę bądź chłopaka.

Piętnaście tysięcy ludzi — to nowe miasto. Specyficzne miasto młodych ludzi, różnych charakterów, osobowości. Przyjechaliście również po to, żeby się pokochać w namiocie albo w lesie bądź na zacisznej ławce w parku. Przyjechaliście, żeby popalić „trawę", powdychać środki odurzające, strzelić „sobie w kanał". Codziennie bramkarze na polu namiotowym oraz przy wejściu na stadion zabierają wam dziesiątki butelek wszelkiego rodzaju świństw oraz strzykawki. Codziennie kilku z was trzeba udzielać pomocy lekarskiej z powodu zatrucia narkotycznego. Są wśród was i tacy. Oni są wszędzie, w najdalszym zakątku kraju, w każdej miejscowości Również w Jarocinie.

NA FESTIWALU

Są hipisi, punki, skiny, narkomani, wąchacze, uczący się, pracujący, studiujący, wierzący i niewierzący. Pierwszego dnia, w samo południe na jarocińskim rynku spotkali się młodzi ludzie ze Wspólnoty Jezusowej. Grali na gitarach i śpiewali religijne pieśni. O Bogu, o miłości, o przyjaźni. Częstowali was herbatą, zapraszali do siebie. A później wzięliście się za ręce i otoczyliście olbrzymim kręgiem cały rynek. Ta grupa wierzących przez cały festiwal organizowała spotkania, projekcje filmów, dyskusje oraz msze.

Nikt was do niczego nie zmuszał, nie po to tutaj przyjechaliście. Mogliście w tym czasie, kiedy odbywały się spotkania Wspólnoty Jezusowej pójść na stadion na próbę zespołów, na herbatę z nowo poznaną dziewczyną albo wypić kupione za trzy stówy wino, chociaż był zakaz sprzedaży alkoholu.

JEŻELI JESTEŚCIE PUNKAMI

stanowiliście odrębną i najbardziej kontrowersyjną grupę młodzieży na Festiwalu w Jarocinie. To wy zwracacie na siebie największą uwagę zarówno mieszkańców miasta jak i pozostałych uczestników. Z wa-

Obok kilowatów rocka...

Fot. Grzegorz Gałasiński

mi najczęściej rozmawiają dziennikarze, a socjologowie dają wam do wypełnienia ankiety. W waszym kierunku skieruje kamerę przedstawiciel telewizji oraz zwróca obiektywy fotoreporterzy. Przede wszystkim wyróżniacie się strojem. Wszyscy nosicie czarne, skórzane kurtki wybijane metalowymi ćwiekami z wszelkiego rodzaju napisami. Wy, punki macie najróżniejsze i najciekawsze fryzury. Macie włosy zrobione „na irokeza", „na koguta", wygolony jeden bok głowy, środek albo czubek. Macie włosy różowe, żółte, zielone, niebieskie, z kolorowymi smugami. Macie najbardziej zniszczone ubrania, pomalowane, podarte i wystrzępione spodnie, długie buty z cholewami, chociaż temperatura przekracza trzydzieści stopni. Mówicie, że można się przyzwyczaić zarówno do skórzanej kurtki jak i do butów z cholewami. Mówicie również, że swoim strojem demonstrujecie swoją wolność, że robicie tylko to, na co macie ochotę. Nienawidzicie obłudy i udawania, uważacie, że śmieszni są ludzie inaczej ubrani od was, że kiedyś ONI będą wyglądali jak idioci.

Nienawidzicie ludzi, którzy mają dużo pieniędzy i nimi „szpanują", nie chcecie wojny oraz szarego, monotonnego życia. Żyjecie z dnia na dzień — tylko teraźniejszością. Do życia jest wam potrzebna tylko muzyka i piwo albo jakiś środek odurzający. Nie, nie dajecie sobie „w kanał". Nie chcecie być uzależnionymi narkomanami, stosujecie więc środki, które nie są ponoć szkodliwe...

Macie po siedemnaście, osiemnaście lat.. Czasami nawet trzynaście. Nie chcecie się uczyć, ponieważ uważacie, że do szkoły powinno się chodzić tylko wtedy, kiedy się ma na to ochotę. Nie chcecie pracować, bo to nie ma sensu. Zazwyczaj jesteście w konflikcie z rodzicami. Nie macie więc pieniędzy. Zaledwie starczyło wam na kupienie karnetu. Prosicie więc ludzi o pięć, dziesięć złotych, odpowiadacie na ankiety socjologów za dwadzieścia złotych, rozmawiacie z dziennikarzami za pieniądze. Ci, którzy dadzą, a tym samym wam pomogą, są dobrzy i równi, innych nazywacie hujami.

Macie żal do ludzi, że się z was śmieją, że ubliżają wam od brudasów i dzikusów, że nie chcą was akceptować tylko za to, że jesteście inni. Biją was popersi, czyli ci, którzy mają bardzo dużo pieniędzy i długie grzywy. Dlatego musicie chodzić w grupie i ze środkami obronnymi — „pieszczochami" (skórzana bransoletka nabijana ćwiekami — przyp. J.B.) oraz ze skórzanymi pasami nabijanymi gwoździami. Bijecie się tylko wtedy, jeżeli ktoś was zaatakuje. Wtedy jest zadyma i wielka bójka. W innych przypadkach, jak mówicie, nie jesteście wcale agresywni. Macie więc pretensje do służby porządkowej, że zabiera wam „pieszczochy" i pasy. Nie wierzycie w to, że wam je oddadzą po festiwalu. Demonstracyjnie wchodzicie na pole namiotowe i na stadion z podniesionymi rękoma. Macie żal do wszystkich. Waszym marzeniem jest kraj bez władzy, systemu i bez granic.

Na razie pozostaje wam muzyka punkowa i taniec. Tańczycie tylko wtedy, kiedy grają wasze zespoły punkowe. Uważacie, że zespoły „Deuter", „Dezerter", „Siekiera" są najbardziej autentyczne i najodważniejsze. Uważacie, że słowa ich piosenek mówią jedyną i największą prawdę o rzeczywistości, że muzyka punkowa jest tak samo agresywna jak rzeczywistość. Dlatego tańczycie swoje pogo i robicie zadymę. W rytmie waszej muzyki wyzwalacie z siebie maksimum energii i agresji. Skaczecie do góry, w bok, padacie na ziemię. Wzajemnie się rozbijacie, od czasu do czasu łapiecie się za ręce i robicie „młyn". Wtedy oglądająca was publiczność gwałtownie odskakuje do tyłu na parę metrów. Nikt nie chciałby znaleźć się w środku zadymy. Jeżeli ktoś z punków przewróci się w trakcie tańca, natychmiast zostanie podniesiony, jeżeli przewróci się nie-punk — ..tańczycie dalej swoje pogo. Dlatego organizatorzy uprzedzili wcześniej, żeby w czasie koncertowania waszych zespołów zrobić wam dużo miejsca.

Nad waszą zadymą unosi się tuman kurzu, rzucacie przecież piachem. Jeżeli ziemia jest wilgotna, rzucacie błotem...

Kiedy skończy się wasza muzyka, schodzicie brudni, spoceni i zmęczeni do granic możliwości.

KONCERTY

to przecież dla was najważniejsza sprawa Festiwalu w Jarocinie. Dla was wszystkich, piętnastu tysięcy. Przyjechaliście przecież głównie po to, żeby zobaczyć najlepsze kapele rockowe. Kilkumetrowa estrada z dwoma ścianami kolumn (po pięćdziesiąt sztuk każda) wydaje z siebie ponad piętnaście tysięcy watów. Kiedy jesteście tuż przy niej, czujecie drżenie całego ciała, huk w uszach i serce z wątrobą prawie przy szyi. Najbardziej doświadczeni fanowie rocka, którzy głównie przyjechali posłuchać dobrej muzyki — siadają jak najdalej od estrady. Tuż przy niej znajduje się kilkumetrowy pas tańczących. Wy jesteście tymi najmniej doświadczonymi małolatami. Przyjechaliście do Jarocina wyszaleć się i wyskakać. Skaczecie do góry, „gibacie" się w prawo i w lewo, machacie husteczkami, flagami, palicie pochodnie, krzyczycie, wyrzucacie do góry ręce.

Przychodzi was na stadion codziennie około dziesięciu tysięcy. Kilowaty rocka nie przeszkadzają wam w spaniu i rozmawianiu. Możecie słuchać leżąc, siedząc, stojąc, jedząc czy pijąc. Słuchacie muzyki stojąc w kolejce po picie, po płyty, plakaty, znaczki albo bułki.

Wśród setek śpiworów, koców, magnetofonów, tysięcy głów i nóg, wśród błysków fleszów, fotoreporterów, błysków kolorowych świateł na estradzie toczy się odrębne, koncertowe życie. Słuchacie muzyki reggae, punk, pop, bluesa, nowofalowego rocka czując obok zapach potu, perfum i dymu tytoniowego. Kiedy pierwszego dnia, o pierwszej w nocy wystąpił zespół TSA i wykonał swój wielki przebój „Trzy zapałki" zapaliliście wszyscy po jednej zapałce. Było kilka tysięcy palących się zapałek...

Kiedy któryś z zespołów szczególnie wam się podobał długo biliście brawo i krzyczeliście „Jeszcze jeden"...

Kiedy muzyka z estrady nie bardzo wam odpowiadała — gwizdaliście...

Kiedy wystąpił zespół „Hak" ubiegłoroczny zdobywca „Złotego Kameleona", waszym zdaniem przyznanego nieuczciwie —obrzucaliście estradę kamieniami...

Od czasu do czasu robiliście wolne miejsce dla „załogi punkowej", która dwuszeregiem wchodziła przed estradę.

Byliście razem, chociaż w różnych „załogach" wzajemnie się nie tolerujących.

Oblegaliście grupami muzyków wyciągając rękę z kawałkiem kartki po autograf swojego idola.

Nie przeszkadzał wam trzydziestostopniowy upał ani padający przez kilkanaście minut deszcz.

A później, zazwyczaj o drugiej w nocy, po 9-godzinnym koncercie szliście dwa i pół kilometra pieszo do swojego obozowiska. Przez cztery dni z rzędu...

JACEK BINKOWSKI

P.S. O dziennikarzach, mieszkańcach Jarocina i innych ciekawostkach z „Jarocina-84" w następnym numerze.

„Uczony trup myśli" czyli spuścić wodę po tej nauce!

Motto: *„Istnieje nieskończenie wiele kół, ale nie ma kół kwadratowych".*

Stanisław Lem

„Przegląd Tygodniowy" (nr 17 z dn. 22.04.1984) opublikował wywiad z prof. dr hab. W. Sedlakiem. W wywiadzie tym, pod znamiennym tytułem „Noc na Świętym Krzyżu", prof. Sedlak wykłada swoje poglądy na temat istoty życia i śmierci; uważa także za niezbędne podsumować naukowców i naukę, zwaną oficjalną. M.in. stwierdza: *„Nie widzę filozofów! Wokół są tylko ci, którzy nieustannie ekshumują trupy filozofów. Nauka stała się uczonym trupem myśli, nad którym zasiadają wytrawni gracze". (...) „Wielu uczonym wydaje się, że są u wrót nieomylności poznawczej, a to tylko epizody poznawcze, które tworzą niepotrzebny nikomu tuman informacji". (...) Wiem chyba wszystko o dulszczyźnie nauki: o jej pozorach, snobizmie, deklamacjach, zgodnym wachlowaniu, a w rzeczywistości — o wielkim, faktycznie niekiedy gównie!".*

Jednoznacznym opiniom Profesora o nauce sekunduje dzielnie Autor reportażu, który uważa za stosowne dodać od siebie: *„To właśnie w takie jak dziś, księżycowe noce — myślę nagle — na Łysicy odbywały się sławetne sabaty czarownic. Przy wielkim ognisku wiedźmy tańczyły, warzyły eliksiry, śpiewały i rzucały uroki, oddawały się rozpuście i pogłębiały sztukę zaklinania. Prawie jak na współczesnych sympozjach".*

W omawianym wywiadzie zaprezentowano poglądy, od których włos staje dęba na głowie biologowi, chemikowi, fizykowi, inżynierowi, a nawet zwykłemu elektrykowi; w zamian serce rośnie mieszkańcom ciemnogrodu, którym Profesor m.in., tak całkiem na marginesie rozważań zasadniczych, zupełnie mimochodem wyjaśnia, czym jest hipnoza, telepatia, jogizm, prana etc. Na przykład prana jest to: *„ta swoista siła, prąd życia w sensie uniwersalnym, od nieorganicznego, przez biologiczny, do absolutnego".* Jeśli ktoś nie pojmuje istoty, „prądu życia w sensie uniwersalnym", zwłaszcza „nieorganicznego" lub „absolutnego", ten niechaj się dowie: *„że prana to nic innego jak bioplazma. Właśnie plazma jest treścią wszechświata. Składa się z cząstek elementarnych i pól elektromagnetycznych. Ona rodzi się, umiera, lecz zawsze trwa. Plazma stanowi podłoże dynamiki życia, podstawę jego elektroniki. W bioplazmie leży przyczyna sygnalizowanej przez jogę barwnej aury wokół człowieka".*

Według Profesora: *„Trzeba wbić się w życie i odkryć jego świetlistą naturę. I wybiec dalej: stopić myśli i życie z całym wszechświatem".* Przy tym życie — pyta stwierdzająco tj. retorycznie Profesor: *„jest to prawdziwy obwód elektroniczny, nałożony na chemiczny i oba zostały sprzężone zależnościami kwantowo-mechanicznymi"* przy czym ten *„złożony układ zadziałał życiowo pod wpływem pól elektromagnetycznych, które przeszyły te oba obwody elektryczną i magnetyczną igłą".* Profesor kilkakrotnie wspomina o wysłaniu w chwili śmierci sygnału „SOS — ginę":

„zanim ten układ umrze, rozpadnie się, potrafi nadać swoje elektromagnetyczne SOS — ginę! Ginie moja masa chemiczna we wszechświecie życia, w kosmosie światła! I tak ubywa jeden abonent elektromagnetycznej rozkoszy i bitowego orgazmu".

Nic nie pojmując z podobnych objawień, sprzecznych z tak podstawowymi prawami przyrody martwej i żywej, jak chociażby prawo zachowania masy, a także zaintrygowany „bitowym orgazmem" — pozwoliłem sobie przedstawić swoje wątpliwości i odrębny punkt widzenia w maszynopisie zatytułowanym (zapewne również znamiennie!): „Robienie w plazmę". Tekst mój redakcja „PT" uznała za: *„wysoce obraźliwy, a na dodatek, niestety, demagogiczny".* Jako taki, wzmiankowany tekst niegodny jest druku.

Zgadzam się z tą oceną! Nie jestem bowiem w stanie nic przeciwstawić sugestywnie nakreślonemu obrazowi jeńców radzieckich, przed męczeńską śmiercią z rąk SS-manów w 1941 r. t a k ż e wysyłających sygnał „SOS — ginę" — któremu to obrazowi, nakreślonemu lekkim piórem Autora reportażu, mogę przeciwstawić nic więcej, nad moje osobiste o d c z u c i e p r o f a n o w a n i a: są, mimo wszystko, takie wartości w naszej i ludzkiej historii, których n i e w o l n o szargać po próżnicy; nie jestem w stanie niczym przebić argumentów o sympozjach naukowych jako miejscach rozpusty, o nauce jako o *„wielkim faktycznie niekiedy gównie!"*, i o naukowcach — tych „wytrawnych graczach", „geniuszach dwuwymiarowego świata", którzy „ekshumują trupy filozofów", a zasiadając nad „uczonym trupem myśli" stanowią „mityczny olimp mózgów" tworzący „tuman informacji" (i tak dalej: w podobnie kloacznym stylu i kloacznej terminologii).

Jako tradycyjnemu naukowcowi żal mi tylko, że tak wzgardzane przez polskich pozytywistów AD 1984 „tumany informacji" systematycznie przemieniane m.in. w arsenały nuklearne, gotowe rzeczywiście potwierdzić słuszność objawień prof. W. Sedlaka — i życie, które z istoty swojej ma „świetlistą naturę", a „energię przekazuje też na odległość serce i wątroba" — totalnie przemienić w najprawdziwszą światło, ten ostatni sygnał „SOS — ginę!" jaki *„falą elektromagnetyczną swej świadomej egzystencji nadają między sobą"* te *„niewyobrażalnie wielkie ilości żywych nadajników kosmosu".* Co niechybnie stanie się, gdy przeciw „epizodom poznawczym" nauki czyli *„uczonego trupa myśli"* wytaczać będziemy kanony (tj. armaty) z praną w jaszczykach.

Ubiegając ponowne zarzuty o demagogię oświadczam, w punktach co następuje: 1) fragmenty powyższego tekstu, ujęte w cudzysłowach, stanowią dosłowne cytaty, przepisane z dokładnością do przecinka, kropki i wykrzyknika. 2) To naprawdę nie ja połączyłem „obraz Chrystusa z powrozem na szyi", sygnały „SOS", jeńców radzieckich wymordowanych w 1941 roku pod Łysicą, sabaty czarownic i „współczesne sympozja" naukowe. 3) Nie ja też podałem, z *katedry skojarzonej z amboną*, czym jest życie doczesne, śmierć i życie wieczne; nie ja też wymyśliłem „elektromagnetyczną rozkosz" i „bitowy orgazm", 4) Jako zaś biolog „oficjalny" stwierdzam, iż nigdy nie zajmowałem się „ekshumowaniem trupów", a także nie odniosłem wrażenia, iż uprawiając swoje profesjonalne poletko, grzebię się w *„faktycznie niekiedy gównie!"* — Co niech mi będzie wybaczone: iż nie siedzę w kloace, chociaż zdaniem mędrców właśnie tam siedzę.

J. STANISŁAW KNYPL

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

POD ZNAKIEM MISTRZA Z CZARNOLASU

Równo 400 lat temu, 22 sierpnia 1584 r., umierał najwybitniejszy poeta polski wszystkich czasów — Jan Kochanowski. Do dzisiejszego dnia poeci czerpią natchnienie z nieprzebranego źródła czarnoleskiej liryki. Tętniąca radością życia, a zarazem pełna refleksji i filozoficznej zadumy twórczość Kochanowskiego pozostaje wciąż żywa, chociaż na przestrzeni dziejów jej ocena nie była zawsze jednoznacznie pozytywna.

NIEZNANY WIERSZ O KOCHANOWSKIM

Wiersz ten ukazuje się drukiem po raz pierwszy, a przez z górą sto lat spoczywał w rękopisie zatytułowanym „Mozaika". Epigramaty albo fraszki (ucinki) złożył i napisał oryginalnie F. Świerczyński (1880)". Od niedawna manuskrypt ten stanowi własność Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi.

Feliks Świerczyński (ur. 1808) był przez krótki czas (od 3.IX.1829 r.) słuchaczem Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, zaś w latach 1833—1838 obrońcą przy Sądzie Pokoju w Kowalu. W wolnych chwilach parał się piórem na własny, prywatny użytek, nie zabiegając o druk swych utworów. Pod koniec życia zebrał w rękopisie plon swej pracy, apelując do przyszłego czytelnika:

Może cię chętka weźmie który zacny wnuku,
Że te fraszki ogłosisz i podasz do druku.
Napisałem satyry, ziemiaństwo i bajki,
Przecież do zapalania nie zdadzą się fajki.

Wśród fraszek Świerczyńskiego zachowała się też wierszowana charakterystyka twórczości Jana z Czarnolasu, zawarta w wierszu pt. „Kochanowski":

Kochanowski tron niegdyś poetów
dziedziczył.
Teraz by się do mierných poetów zaliczył.
Czasem jest czułe, nawet wzniosłe jego
pienie,
A czasem znaleźć można płaskie wyrażenie.
Ale to, co nam się dziś tak dziwnym
wydaje,
Maluje smak ówczesny, dawne obyczaje.

APOPHTEGMATA

Według „Słownika terminów literackich" Sierotwińskiego apoftegmat oznacza „krótko wyrażoną myśl, powiedzenie zręcznie dostosowane do sytuacji". Florian Bobrowski pod mianem apoftegmat rozumie „dowcipną powieść albo zdanie". Od czasów Kochanowskiego kilkakrotnie wyraz ten pojawiał się na kartach tytułowych książek polskich. Niemal współcześnie Kochanowskiemu żyjący Bieniasz Budny ogłosił przekład dzieła Plutarcha „Krótkich a węzłowatych powieści, które po grecku zową apophtegmata, ksiąg czworo". Dowcipne powiastki Kochanowskiego cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród braci szlachty, choć drukiem ukazały się dopiero po śmierci autora. Zaważył na tym powodzeniu zapewne rodzimy polski koloryt owych anegdot:

Tytuł wielki, dochód mały. Spytek Jordan, kasztelan krakowski, mówiąc w radzie o dolegliwościach, które wysokie urzędy za sobą niosą, też to powiedział: „Co sobie Spytek nagotuje, to mu pan krakowski zje".

Wielkiemu panu nie wszystkiego baczyć. Ocieski, kanclerz koronny, dziwnie się o to gniewał, kto u jego stołu jedząc obrus kiedy oplusnął. Panu Wolskiemu, kasztelanowi czerskiemu, trafiło się to, że jedząc u niego obłał obrus; gospodarz, jako to był zwykł, okazał, że mu to nie miło. Co pan czerski obaczywszy kazał chłopcu swemu grosz na stół położyć, mówiąc: „Niech to praczce dadzą, aby ten obrus wyprała".

Potrawy nieprzyrodzone. Polak jeden jechawszy na naukę do Włoch nie był tam jeno przez lato, a na zimę przyjechał zaś do domu; kiedy go ojciec pytał, czemu tak rychło przyjechał? powiedział: że „mię tam przez wszystko lato trawą karmiono tak, żem się bał, żeby mi w zimie siana nie dawano".

Cierpliwa pamięć. Król Zygmunt miał ten obyczaj, że zawżdy umywając się dawał pierścienie z palców trzymać tymczasem któremukolwiek dworzaninowi. Trafiło się raz, że siadając już za stół przepomniał ich u tego, komu je był podał, a ten też nie przypomniał. W roku potem, zdejmując także pierścienie z palców przed wodą, sięgnął się tenże po nie, któremu je też był przedtem dał. Król ręki umknął, mówiąc: „Wróćcie mi one pierwej, com wam był tak rok dał trzymać".

Żart pański. Tenże król Zygmunt grając flusa, iż mu przyszły dwa króle, powiedział, że ma trzy króle; kiedy go gracze pytali: a trzeci gdzie? A to ja, powiada, trzeci; i wziął grę.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Przypowieść bez morału

Biblijna przypowieść o synu marnotrawnym zawiera w sobie niejedną podnietę dla artystycznej wyobraźni. Ktoś, komu nagle zbrzydły powaby rodzicielskiego domu, wyrusza w szeroki świat, a po latach, doznawszy przeróżnych przygód decyduje się wrócić w domowe pielesze. Czyż nie wywołuje to zawsze zaciekawienia: co mu się takiego przydarzyło, że poszedł z domu; gdzie, w jakie strony rzuciły go losy; czy bardzo się zmienił i zacznie teraz wieść stateczne życie?

Można nie wiedzieć lub nie pamiętać, jak te okoliczności przedstawiono w Ewangelii św. Łukasza, wystarczy popatrzeć na obraz Rembrandta, żeby sobie wszystko po swojemu dopowiedzieć. Stało się więc prawie nieuniknione, że prędzej czy później wziął ten temat na swój warsztat twórczy **Henryk Tomaszewski**, którego mimodramy (jak określa się jego pełnospektaklowe realizacje pantomimiczne) czerpią od pewnego czasu coraz wyraźniej inspirację z opowieści o bogatym i urozmaiconym materiale narracyjnym.

Bo chyba od premiery „Menażerii Cesarzowej Filissy", arcydowcipnej zresztą, zrobionej z wdziękiem i smakiem, pełen ciągle twórczej weny kierownik Wrocławskiego Teatru Pantomimy, choć nadal pozostaje wierny znanym wątkom indoeuropejskiego kręgu kulturowego (przenikającego się w znacznej mierze z tradycją wczesnochrześcijańską) to jednak sięga w ostatnich latach po utwory, na których kanwie można sobie swobodnie imaginować przenajróżniejsze sytuacje.

Pamiętamy przecież czasy, kiedy dla tego teatru reprezentatywne były przede wszystkim przedstawienia o pogłębionej filozoficznej treści, wyrażanej za pośrednictwem śmiałej metaforyki, jak w „Gilgameszu" czy „Odejściu Fausta", adresowane do widza o sporej erudycji humanistycznej, obeznanego z pokaźniejszym zasobem znaków i symboli kultury. Ostatnimi jednak laty przedstawienia wrocławskich mimów, utrzymując nadal wysoki perfekcjonizm wykonania i wykazując dbałość o urodę widowisk, nastawiają się na większą komunikatywność i poszerzają swoją i tak już liczną widownię. Znacznie częściej niż kiedyś spotykamy się z odwoływaniem się do dość popularnych stereotypów, dotyczących różnych epok, a ukształtowanych przez literaturę i plastykę. Takim właśnie zamysłom i metodom wspomniana przypowieść odpowiada wprost idealnie. Spójrzmy, jak to wygląda w przebiegu przedstawienia.

Widzimy więc mieszczańskie środowisko epoki Odrodzenia, po protestancku zapobiegliwe i bogobojne, jak ów pojawiający się we wspomnieniach syna (Spadkobiercy) ojciec rodu z kupiecką wagą i miarą, to pochylony nad rachunkami, to znów przy warsztacie tkackim. Ale już pobyt „u wód" czy w kasynie gry, to reminiscencje dziewiętnastowiecznej belle epoque, a kabaretowy dom uciech w scenie Orgii nawiązuje stylistyką do przełomu wieku. Dzięki tym dowolnym „wędrówkom w czasie" przypowieść nabiera zresztą wymowy ponadczasowej.

Czy tak opowiedziane losy syna marnotrawnego zawierają w sobie jakiś jednoznaczny, budujący morał? Że np. wałkonienie się i awanturnictwo nie popłaca? Że wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu? Że módl się i pracuj itp? Na szczęście nic w tym rodzaju, a jeśli już, to co najwyżej morał taki, iż jedynie pełna poświęceń miłość kobiety jest czymś, na co można liczyć i co czasem może pomóc. Myślę jednak, że Tomaszewski skorzystał przede wszystkim ze sposobności do roztoczenia przed widzem pasma urozmaiconych przygód bohatera, powołania do życia całej galerii wielce malowniczych i dziwacznych postaci, niekiedy odrażających fizycznie, z tym, iż nawet scena erotyczna ze Starą Bogaczką nie ma wywoływać odrazy, lecz raczej pokazywać życie w całej jego „krasie", zarówno urodzie, jak i szpetocie.

Oczywiście, pokazano do czego prowadzi pieniądz, ale rzecz to aż nadto dobrze znana więc i morał zabrzmiałby mało oryginalnie, nawet w porównaniu z narzucającą się refleksją, iż warto żyć, by chłonąć świat wszystkimi zmysłami. A więc — trwaj doczesna chwilo, aby nam tylko życie nie uciekało.

Jest to sprawa w wielorakim sensie „grzeszna" i nie bez udziału diabelskich podszeptów, toteż nie od rzeczy wydają się cytaty z „Fausta", wplecione w drukowany program przedstawienia. A przy tym, to łapczywe podglądanie życia przez twórcę ma tu posmak szyderczy, wyrażony środkami pantomimicznego przerysowania, jak w scenie „kopulacyjnej" z Królowa, czy też żarłocznego „konsumowania" jednej ze ślicznotek z Orgii, aż kosteczki chrupią wśród odgłosów siorbania z chlewa rodem. Tak więc płasko i prymitywnie przedstawiają się nasze uciechy z pozycji podglądacza i szydercy, który drwi, ale się nie gorszy?

W roli głównego bohatera czyli Spadkobiercy wystąpił **MAREK OLEKSY**, któremu od dłuższego czasu przypadają najważniejsze zadania aktorskie, co narzuca pewne mimowolne porównania. Otóż biorąc pod uwagę „Hamleta" „Rycerzy Króla Artura" i właśnie „Syna" chciałbym zaryzykować opinię że z nich **Mordred** wydaje się najbliższy temu co określilibyśmy jako aktorskie emploi Oleksego (jeśli wolno użyć tego terminu w odniesieniu do pantomimy). Bo wszystkie te trzy role aktor, moim zdaniem, zbytnio do siebie upodobnił, przez przede wszystkim, jak sądzę, podobne wszędzie rozkładanie ruchu na szereg spazmatycznych skurczów i podobnie „nieobecny" wyraz twarzy, co nadaje działaniom wszystkich tych osób charakter psychopatycznego transu.

Wyraźnie zarysowaną — jakby z przyklejoną maską — fizjonomie **Nieznajomego** przedstawił **JERZY RETERSKI**; ujmująca sylwetkę zakochanej **Służebnej**, pełnej kobiecego ciepła i oddania zarysowała **URSZULA HASIEJ**; wartą grzechu kokota na etacie **Królowej** była **GRAŻYNA FILIPOWSKA**, a **Króla**, całkiem niezdatnego kondycyjnie do stawania w małżeńskie szranki przedstawił **CZESŁAW BILSKI**; wreszcie **Starą Bogaczką**, przystrojonym szkieletem, który lada chwila mógł się rozsypać była **JADWIGA CHRUSZCZ-KUDAKIEWICZ**, żeby wymienić tylko role główne, które z natury rzeczy najsilniej pozostają w pamięci.

Wymowa całości utworu jest może nie tyle pesymistyczna, co raczej smętnie melancholijna. Syn marnotrawny wprawdzie powrócił i mimo niechęci braci został przyjęty z należnymi honorami, nawet wyróżniony ponad miarę (choć raczej rozegrało się to w jego rozgorączkowanej wyobraźni, niż w scenicznej rzeczywistości), ale natychmiast znalazł się ktoś młodszy, niedoświadczony, kto pójdzie w świat za podszeptem nieznajomego kusiciela, żeby samemu doświadczyć przygód, a jeśli i on wróci, jego tułaczka nie stanie się bynajmniej przestrogą dla następnych.

Patrzmy więc wyrozumiale, jak toczy się życie — powiada nam Henryk Tomaszewski i patrzmy chętnie, doznając satysfakcji estetycznej.

JERZY KWIECIŃSKI

„Syn marnotrawny" XVIII program Wrocławskiego Teatru Pantomimy. Scenariusz, reżyseria i choreografia: **Henryk Tomaszewski**, scenografia: Zofia de Ine-Lewczuk. Przedstawienie w Teatrze Nowym w Łodzi.

Pasja życia

Już po kilkunastu stronicach lektury powieści Józefa Stanisława Kmieciaka przypomniał mi się tytuł artykułu: „Potęga kłamstwa i niemoc literatury", opublikowanego w 1933 roku na łamach „Epoki". Artykuł ten poprzedzał anons o powstaniu Zespołu Literackiego „Przedmieście". Dalsza lektura powieści Kmieciaka potwierdziła zasadność skojarzenia. Sprawa jest prosta i polega na takim samym mniej więcej dążeniu autora „Pasji", jakie przed półwieczem starali się osiągnąć członkowie „Przedmieścia", mianowicie na dążeniu do odkłamania życia społecznego, na dążności do oczyszczenia go z wszelkich konwencji, na wykorzystaniu w tym celu werystycznych formuł literackich.

Pisarzom z kręgu „Przedmieścia" w osiągnięciu rzeczonego celu pomóc miał programowy zwrot w stronę populizmu. Właśnie populiści postulowali literackie odzwierciedlenie sytuacji szarych, prostych ludzi, upośledzonych, bezrobotnych i bezdomnych, słowem pokrzywdzonych przez los i przez bliźnich. Literatura stawała się tu niemal wyłącznie nosicielką autentycznych materiałów życiowych, rejestratorką zarówno jednostkowych, jak i zbiorowych zachowań wobec nie sprzyjających okoliczności.

Trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu proza Józefa Stanisława Kmieciaka nawiązuje świadomie do wspomnianej tradycji historyczno-literackiej. Myślę, że takie a nie inne stanowisko autora wynika raczej z bezpośrednich jego doświadczeń, z konkretnej życiowej drogi, z uczulenia na wszelkie negatywne przejawy życia. Wynika ono zapewne także z wiary w głęboki sens słowa pisanego, z pragnienia przywrócenia literaturze roli, jaką ona ongiś w społeczeństwie spełniała. Stanowisko to niewątpliwie ambitne, lecz chyba trochę anachroniczne.

Akcja „Pasji" rozgrywa się w pierwszym dziesięcioleciu powojennym na szeroko rozumianych przedmieściach czy przedpolach Łodzi. Opowiada ona o bardzo wrażliwym i trochę naiwnym młodym człowieku, który nade wszystko umiłował szczerość. Stąd wynika jego nieprzystosowanie, stąd biorą się rozliczne kłopoty. O jego osobowości wyrywkowo aczkolwiek świadczyć może fragment monologu: „Ja często wierzę, że osiągniemy wyznaczony cel, i czuję w sobie wielki entuzjazm, ale czasem nie wierzę i to mnie przygnębia. Lecz nauczyłem się skrywać moje myśli przed głupcami. Są takie dni, kiedy boję się, że taki w poczuciu swej siły zapyta mnie: Czy ty aby czujesz i myślisz tak, jak ci kazałem? Znam przecież takich gdyby im zabrać spod języka, bo nawet nie z serca, ich kwieciste słowa, hasła, jakie wykrzykują, byliby ogołoceni od razu ze wszystkiego, z całej swej mocy i wszelkich pozornych wartości, zostałoby im ich nagie istnienie..." O jego emocjach świadczy wzmożone uczucie bezradności. Wszystko, co się wokół niego dzieje, wikła się w jakiś gordyjski niemalże węzeł. Wikła się więc i sama powieść, szwankuje kompozycja, co zapewne wynika w znacznej mierze z faktu, iż powieść Józefa Stanisława Kmieciaka podporządkowana została całkowicie rygorom prawdy codziennej. Te zaś — w przypadku postaci zaludniających „Pasję" — wiodą ku jedynie możliwemu wnioskowi: „Porządek tego świata jest nader podły". Tak więc powieść Józefa Stanisława Kmieciaka nie rezygnując z obserwacji natury socjologicznej skłania się jakby w końcu ku metafizyce. Ale i ona nie może mieć w tej powieści wartości terapeutycznych. Bo po prostu należy podporządkować się życiu, które jest, które codziennie na nowo zwycięża — taki wydaje się sens „Pasji".

Chciałbym przy okazji zapytać wydawców, dlaczego tak się dzieje, iż coraz częściej znajdujemy w książkach irytujące błędy? Pomijam zwykłe błędy literowe czy obecność chochlika drukarskiego (na którego nie ma, jak powszechnie wiadomo, rady), ale dlaczego redaktor bądź korektor nie zechce łaskawie poprawić na przykład zdania: „Do Polski wróciła w roku 1925, tuż po przewrocie majowym" (s. 175), dlaczego muszę czytać: „Przedkładam «być» nad «mieć» (s.63), skoro po polsku mówi się „przekładam" itd. Dlaczego?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Józef Stanisław Kmieciak: „Pasja", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984, s. 324, nakład 9650 plus 350 egz., cena zł 100.—

Z półki recenzenta

POBYT KANTA W POLSCE

Chodzi oczywiście o Hermanna, żołnierza Wehrmachtu, który trafił do polskiej niewoli i jako jeniec spędził w Polsce cztery lata. Dziś jest pisarzem uznanym, prezesem Związku Pisarzy NRD. Jego książka „Pobyt" traktuje właśnie o czasach, kiedy niejako przymusowo musiał uczyć się Polski i poddawać korekcie swoje dotychczasowe przekonania i uprzedzenia.

Przekład Sławomira Błauta.

Hermann Kant: Pobyt. Czyt. 1984. Str. 504. Cena 250 zł.

DWIE POWIEŚCI AUDERSKIEJ

Mowa o „Ptasim gościńcu" i „Babim lecie" wydanym przez Książkę i Wiedzę w jednym tomie. I chyba słusznie. Są to bowiem opowieści traktujące o losach Polaków w ZSRR, których droga do ojczyzny była co prawda najkrótsza, ale wiodła przecież przez Lenino. A na tym tle pogmatwane losy ludzkie, zróżnicowane, jak to u Polaków, osądy, pojęcia, decyzje. „I to już wszystko. To już cała prawda o mnie, o moich, o wodach, polach i łąkach tutejszych, nadodrzańskich". Zdanie to wyjaśnia wszystko.

Halina Auderska: Ptasi gościniec. Babie lato. KiW 1984. Str. 414. Cena 200 zł.

ZAGINIONE CYWILIZACJE

Ta tematyka zawsze fascynowała Czytelników: oto w wyniku prac archeologicznych odkrywa się nieznane, zaginione cywilizacje, natrafia na zagadki, których nie sposób rozwikłać po dziś dzień, odnajduje ślady rodzące pytania o wiek cywilizacji w ogóle. A więc hipotezy, pytania, zagadki, wątpliwości.

Książka „Zaginione cywilizacje" ukazała się u nas po raz pierwszy w 1971 r. Obecne wydanie jest piąte z kolei i różni się od poprzednich sporymi uzupełnieniami wprowadzonymi przez autora.

Przekład Stefana Michalskiego.

Aleksander Kondratow: Zaginione cywilizacje. PIW 1984. Str. 380. Cena 300 zł.

1 SIERPIEŃ

To już IX wydanie tej dobrze napisanej, rzetelnie udokumentowanej książki. Mówię o „Powstaniu Warszawskim" Jerzego Kirchmayera.

Nie ma specjalnej potrzeby szczegółowo przypominać o tym bohaterskim zrywie, który w konsekwencji stał się klęską określonej koncepcji politycznej i zagładą Warszawy.

Publikacja jest bogato ilustrowana i zawiera wiele mapek obrazujących kolejne etapy zmagań powstańczej stolicy.

Jerzy Kirchmayer: Powstanie Warszawskie. KiW 1984. Str. 576. Cena 350 zł.

LILY

Jest to szczególna książka, choć los jej autora jest typowym losem żołnierza-tułacza, który po wrześniowej klęsce walczy z wrogiem na obcych ziemiach, a po upadku III Rzeszy osiada na stałe w Londynie. Natomiast jej zaletą jest przede wszystkim to, że napisana jest świetnym językiem, wartko, z humorem. Jest w niej o węgierskim obozie dla polskich żołnierzy, o walkach we Francji, Anglii, Włoszech, o bohaterstwie, dramatach, śmierci i tępocie niektórych sanacyjnych dowódców posyłających ludzi na śmierć jakby chodziło o przemarsz przed trybuną honorową.

Bohdan Tymieniecki: Na imię jej było Lily. MON 1984. Str. 248. Cena 130 zł.

OKRUTNY TALENT

Otrzymaliśmy nader interesującą publikację: oto Zbigniew Podgórzec postanowił pokazać Fiodora Dostojewskiego takim, jakim widzieli go jego współcześni. Ale są tu także polonica: wspomnienia Szymona Tokarzewskiego, zesłańca, który odbywał karę katorgi razem z Dostojewskim, i z relacji którego wyłania się denerwująca postać przyszłego autora „Zbrodni i kary".

W sumie: portret znakomitego pisarza namalowany żywo, bez upiększeń, czasem z okrutną szczerością.

Okrutny talent. Dostojewski we wspomnieniach, krytyce i dokumentach. Wyd. Lit. 1984. Str. 374 plus ilustracje. Cena 450 zł.

Nie dokończyli tej rozmowy, bo zjawiła się Pszczołowa z córką, a wraz z nimi... i kiełbasa, i schab, i ogórki, i karafka z wódką, i woda mineralna, i kompot, słowem zapowiadało się przyjęcie na cztery fajerki.

— Czym chata bogata — powiedziała Pszczołowa. — Państwo wybaczą, że tak skromnie...

— Gdzie ta skromność, droga pani, przecież to królewskie przyjęcie... — Doliński nie ukrywał zdziwienia i wcale nie prawił żadnych komplementów; w swym domu już dawno nie widział schabu.

— To od rodziny. Moi rodzice mieszkają na wsi. — Nie wiadomo, czy Pszczoła usprawiedliwiał się, czy też chwalił swym wiejskim pochodzeniem. — Redaktorze — gospodarz wstał — chciałem wznieść toast za naszą młodą parę. Panie Kaziku, ja jestem robociarz, więc nie będę niczego owijał w bawełnę. Stało się, teraz chcę aby wszystko ułożyło się jak najlepiej, pomyślniej niż nam, starym. Wszystko to nas zaskoczyło, ale nie ma po co tego dłużej wałkować. Sto lat, kochani. Majka, wypij choć pół kieliszka!

Pierwszy toast był poza nimi.

— A teraz proszę, bardzo proszę, niech się państwo częstują. Gość w dom, Bóg w dom... — Pszczołowa spojrzała na córkę i łzy zaszkliły jej oczy. — Ona jeszcze taka młoda — wyszeptała.

— Mamuńciu, daj spokój! Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba się cieszyć z tego, co jest. — Pszczoła usiłował wziąć inicjatywę w swoje ręce.

— Mój mąż tak ostatnio pracuje! Państwo nie wiedzą, jak bardzo. Wcale go w domu nie widzę. Na co to mu potrzebne? Miał taką dobrą robotę w „Polmozbycie"...

— Mamuńciu, nie mieszaj się do spraw związkowych!

— Nie wiem, nie wiem, to wszystko nie na mój rozum. Nie jest dobrze, prawda, ale przecież dzięki Bogu jakoś żyjemy. W sierpniu mogło dojść do strasznych rzeczy. A jednak się dogadali. Jak Polak z Polakiem!

— Mamuńciu, już ci mówiłem, abyś trzymała się z daleka od polityki! — Nie wiadomo, czy Pszczoła chciał zmienić temat, czy też rzeczywiście denerwowało go to babskie gadanie.

— Tatusiu, tyle jest tematów... — Majka pogłaskała ojca po policzku.

— Faktycznie. No to na drugą nóżkę! — Pszczoła rozlał kolejną porcję.

— Dobra wódka! — skonstatował Doliński. — Ale, ale... Pan mi dał większy kieliszek!

— Troszeczkę, ale ja mam taki sam. Brak nam kompletu, wszystko się już wytłukło, nie mam czasu, by latać po sklepach. Ta wódka to domowa nalewka. Na spirytusie. Spirytus plus wiśnie. Moja specjalność.

— Dlatego taka mocna!

— Najwyżej pięćdziesiąt procent. Jak pić, to pić! Ja tam, redaktorze — nie po raz pierwszy ominął już „pana", mówiąc tylko „redaktorze" — najlepiej lubię taką wódkę, którą sam zrobię.

— Nie zawsze, nie zawsze — przerywa Pszczołowa. — W domu tak, ale poza domem różnie to bywa.

— Mamuńciu, daj spokój! Wypij lepiej za zdrowie córki i za zdrowie swego przyszłego zięcia. Zaraz powinien wrócić syn, on jeszcze na uczelni.

Wychylili.

— Wie redaktor — kontynuował Pszczoła — następuje straszne obniżenie moralne naszego społeczeństwa. W naszym bloku są meliny. Kilka melin. Wódką handlują. O każdej porze dnia i nocy można ją kupić. Nie wiem dlaczego milicja tym się nie zajmie. Jak ma się zresztą zająć, kiedy milicjanci też są klientami!

— Pszczółko — powiedziała czule Pszczołowa — sam kupowałeś na melinie. No przyznaj się! Kupowałeś?

Pszczoła zaczerwienił się.

— Kupowałem, kupowałem... Czasami i tak bywa. Samo życie, no nie, redaktorze?

Nawet nie zauważyli, jak skończył się dziennik telewizyjny. Teraz na szklanym ekranie zaczął lecieć kolejny odcinek serialu „Michał Strogow". Nikt go jednak nie oglądał.

Znów opróżnili po kieliszku. Doliński poczuł, że zaczyna mu wprawdzie lekko, szumieć w głowie. Przypomniał sobie, że tak był zabiegany, że nie zjadł tego dnia obiadu.

— Panie Pszczoła — zaczął, a Pszczoła szybko zorganizował następną kolejkę — proponuję wypić za zdrowie państwa, za zdrowie rodziców Majki.

— Mamuńciu, za ciebie piją!

— Wiem, wiem, dziękuję bardzo!

— Pan, panie Pszczoła, jest bezpośredni, a pan myśli, że co, że inteligencja jest inna? Musimy zawsze iść ramię przy ramieniu. My jesteśmy robociarska inteligencja... — zatrzymał się na moment. — Co ja tu jeszcze chciałem? Jak mamy już być tą rodziną, no to bądźmy. Janusz mam na imię. Proponuję, abyśmy wypili takiego wspólnego brudzia. Ja — Janusz, moja żona — Baśka, a pan... Eugeniusz, prawda?

— Tak, Genek. A moja żona — Lodzia. Bardzo się cieszę. Nie przypuszczałem, że redaktorzy to tacy normalni ludzie..

— A panu do łba nakładli...

— Janusz, przestań — szepnęła Baśka. — I nie pij tyle!

— Dobra, dobra...

Wszystko poszło nad wyraz sprawnie, lody zostały przełamane. Majka i Kazik spoglądali na siebie wyraźnie ukontentowani.

— Bardzo masz fajnego ojca — nachyliła się do niego.

— Moja szkoła- — parsknęli śmiechem.

— Pani Basiu, ja jeszcze w takiej sprawie — szepnęła Pszczołowa.

— Pilismy przecież brudzia!

— Oj, przepraszam, muszę się przyzwyczaić. No więc ja chciałam o tym ślubie. Musimy pójść do księdza, aby ustalić termin. Nie wiem, czy już się da na Boże Narodzenie...

— Księdza? — Kazik podniósł się z miejsca. — Proszę pani ja jestem niewierzący i nie mogę postępować wbrew własnym przekonaniom.

— Co?

Pogodny nastrój prysnął jak bańka mydlana.

— Proszę pani — dodał Kazik lekko podnosząc głos — ja myślę tylko o ślubie cywilnym.

— Jak to tylko cywilnym? Chcecie żyć na kocią łapę?

— Mamuńciu, uspokój się, jakoś to będzie... — Pszczoła starał się ugasić pożar.

— Wcale nie będzie! A ty się nie wtrącaj! Teraz ja mówię!

Pszczołowa zmieniła się na twarzy. Była podenerwowana, najwidoczniej nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, chociaż mąż musiał z nią i na ten temat rozmawiać.

— Majka, przecież tak nie można! Co by na to powiedział twój stryj? On by się ciebie zupełnie wyrzekł...

— Mamo, przecież to nie stryj będzie żył z Kazikiem, ale ja.

— Mój brat jest księdzem. Tak się cieszył, że kiedyś pobłogosławi Majkę!

— Brat mojego pradziadka też był księdzem w Galicji. Mój pradziadek mieszkał w Kongresówce i wcale nie utrzymywał z nim kontaktów. Różnie w rodzinach bywa... — zaczął Doliński, ale Pszczoła mu przerwał: — Kochani, no to na jeszcze jedną nóżkę! — Pszczoła i Doliński wypili, pozostałe kieliszki stały pełne. Doliński kontynuował pojednawczo:

— Nasza kochana Lodzia powiedziała tu kilka słów. Rozumiem, że brat, że kościół, ale przecież najważniejsze jest chyba to, że młodzi się kochają. Miałem kiedyś taką znajomą, która głowę straciła dla Serba. Wzięli i w Jugosławii, i w Polsce śluby cywilne. Mało im było! W Polsce wiązał ich stułą ksiądz, a w Belgradzie pop nakładał korony na głowy. Już tak się związali, że więcej nie można. I co? Długo byli razem? Trzy lata! Nie dobrali się charakterami. Nigdy zresztą nie wierzyłem w takie mieszane małżeństwa.

— A ja wierzyłam i wierzę — przerwała Dolińska. — Taka Irena, moja dobra znajoma, wyjechała z mężem do Iraku. Dziesięć lat temu i jakoś żyją ze sobą.

— Może i tak, bywają przecież wyjątki, przeważnie jednak dzieje się inaczej.

— Panie redaktorze...

— Lodziu — wtrącił się Doliński — my chyba będziemy musieli jeszcze raz wypić tego brudzia!

— Dobrze, dobrze... Ale słuchaj, Janusz, ty musisz mnie zrozumieć... Co powie stryj? Co powie cała rodzina? Co powiedzą sąsiedzi?

— Mamo, a co mnie obchodzą sąsiedzi? — Majka wtrąciła się do rozmowy.

— Cicho, ty się wcale nie odzywaj, dosyć zmartwień przez ciebie. Ja rozumiem, że Janusz nie chce mieć kłopotów, wiem, jak to jest w partii. Ale przecież można zrobić cichy ślub na wsi, u mego brata, nikt nie będzie wiedział. A co to partyjni nie biorą ślubu w kościele?

— Proszę pani, tu nie chodzi o ojca, ale o mnie. Jak ja mogę wziąć ślub kościelny, kiedy nie chodzę do spowiedzi? Przed ślubem kościelnym trzeba się i wyspowiadać, i pójść do komunii. To będzie świętokradztwo! Lepiej już wcale takiego ślubu nie brać. Jeśli Bóg istnieje, uzna moje racje...

— Panie Kaziku, niech pan nie bluźni. Bóg widzi wszystko!

— Panie Pszczoła, i do pana mówię, ja chcę po dobroci. Po dobroci — podkreślił Kazik. — Bardzo kocham Majkę i czy się państwu podoba, czy nie, i tak się pobierzemy. Prawda, Majko?

Kiwnęła głową.

— No właśnie. Jesteśmy pełnoletni — podkreślił Kazik — i możemy robić, co nam się żywnie podoba. Nikt nam w naszych zamiarach nie przeszkodzi.

— Ale bez Boga, bez Boga... — Pszczołowa wyciągnęła chusteczkę, ocierała nią twarz, ale łez nie mogła pohamować.

Pszczoła zauważył, że karafka, wcale nie taka mała, jest już pusta. Wyszedł na chwilę do kuchni i wrócił z pełną.

— Dolałem trochę spirytusu do nalewki — szepnął do Dolińskiego. — Jak żona mocniej sobie wypije, to złagodnieje. Ja ją znam. Ty coś mówiłeś o robociarskiej inteligencji?... — powiedział głośno.

— Tak, mój ojciec był ślusarzem. Gdyby nie lipiec czterdziestego czwartego, nigdy nie zostałbym dziennikarzem.

— A ja pochodzę ze wsi. Mój ojciec mieszka w Witulinie. Ma sześć hektarów, ale ziemia słaba.

— Ale zawsze coś wam ze wsi dowiezie!

— To daleko. Czasem wpadnę do niego, ale benzyna też kosztuje, a moja syrenka już ledwo, ledwo zipie, może z twoim maluchem konkurować. Dlaczego nie załatwisz sobie nowego samochodu? Redaktor naczelny i jeździ takim gratem!

— Na razie nie myślę o tym. A czy ty poważnie sądzisz, że redaktorom tak łatwo rozdają talony?

— Ale na pewno łatwiej im dostać, niż nam, robotnikom.

— Dla dziennikarza samochód to narzędzie pracy. Gierek rozkręcił w kraju motoryzację...

— Ładnie rozkręcił! Fiacik miał być samochodem dla człowieka pracy, a popatrz, ile dzisiaj kosztuje. Ile pensji trzeba na niego poświęcić i przez ten czas nic nie jeść!

— Prawda, ale ty popatrz, ile było u nas samochodów przed wojną. Taka Czechosłowacja miała pięciokrotnie więcej, a jaka jest ludność Czechosłowacji, a jaka Polski?

— Przed wojną, przed wojną.. Nie można ciągle porównywać się z rokiem 1939. Wy ciągle wracacie do zamierzchłej przeszłości.

— Tatusiu, znowu polityka! — szepnęła Majka.

— A żebyś wiedziała, że polityka! Mój ojciec ma teraz sześć hektarów. Kiedyś miał dwanaście, ale sprzedał w pięćdziesiątym siódmym, bo dość się nacierpiał jako ten kułak. A teraz, okazuje się, że ma za małe gospodarstwo! Za małe, rozumiecie? Nie chcą mu przyznać traktora. Czyli kiedyś dużo ziemi to było źle, teraz zaś źle, gdy tej ziemi mało. Trudno się w tym wszystkim połapać. Pojedziemy kiedyś do mojego staruszka. Obejrzysz gospodarstwo, pogadasz z nim. Będziesz miał dopiero temat do gazety. Słuchaj — ciągnął dalej — ja się teraz na fest zaangażowałem w „Solidarności". Ja w nią wierzę. Człowiek pracy musi mieć więcej do gadania. W „Polmozbycie" prawie cała załoga wstąpiła do nowych związków.. Naprawię ci ten gaźnik w maluchu — znów zmienił temat.

— Dobrze, jeszcze jakoś jeżdżę, ale czasami ten samochód robi mi psikusy... Co zaś do „Solidarności"... Wielu ludzi w nią wierzy, a są i tacy, którzy nagle chcą się do niej na siłę przyczepić. Zobaczysz, oni potem będą się pchali coraz bliżej kierownicy! Lepiej przypatrujcie się, kogo macie w swoich szeregach.

(...) Pszczołowa nachyliła się do Baśki.

— Powiedz coś... Ty też nie chcesz kościelnego?

— Lodziu, nie można tak wchodzić z butami w czyjeś życie. Oni są pełnoletni.

— Ale przecież moja Majka jest wierząca. Co on już ją przerobił na swoje kopyto?

— To może jeszcze kiedyś wezmą i ślub kościelny? Na razie sama wiesz jak jest. Mówisz, że zależy ci na opinii sąsiadów. To chyba lepiej będzie, gdy będą po cywilnym, niż po żadnym? Ludzie, jak to ludzie, pogadają i przestaną. Najważniejsze, aby nasze dzieci były szczęśliwe. A czy ty myślisz, że mnie było łatwo przez to wszystko przejść? Kazik to nasz jedyny syn...

— Słyszałam, że masz jeszcze córkę?

— To tak, jak i wy. Mamy po parce.

Zazgrzytał klucz w zamku.

— O, jest nareszcie Waldek. Czego nie dzwoniłeś? Chodź no tutaj, przedstaw się — zawołał Pszczoła do syna. — Tyle miałeś dzisiaj zajęć?

— Dobry wieczór!

Dolińscy spoglądali na niego z ciekawością. Był bardzo wysoki, o głowę chyba wyższy od Kazika. Z wyglądu bardziej przypominał ojca niż matkę. Pszczołowa wstała:

— Przyniosę ci talerz, musisz być głodny...

— Siedź, mamo, wcale nie chce mi się jeść.

— Nie chcesz jeść? To może jesteś chory? — zaniepokoiła się Pszczołowa.

— Zdrowy, zdrowy, ale już przegryzłem co nieco z kolegami. Gadajcie sobie, ja mam jeszcze trochę roboty. — Zniknął w drugim pokoju.

— On taki zawsze zamknięty w sobie. Zupełnie inny niż ja... — powiedział Pszczoła.

Wrócili do przerwanej na moment rozmowy. Konwersacje na temat ślubu kościelnego trwały nadal i nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie Majka. Mrugnęła ona wymownie do Kazika i tak zagaiła:

— Pani Dolińska słusznie zauważyła, że może później weźmiemy ślub kościelny. Mamo, na wszystko musi być czas, a, jak wiesz, tego czasu mamy bardzo mało.

— Tak, weźmiecie cywilny i o kościelnym zupełnie nie będziecie pamiętać... — Pszczołowa oponowała, ale już jakby mniej energicznie. Może miał rację jej mąż? Kolejny kieliszek mocniejszej wódki przechyliła przed chwilą. — Więc kiedy ten cywilny, kiedy? Ale ja wam tego kościelnego nie daruję!

— Dobrze, dobrze, mamusiu...

— Będę musiał chyba porozmawiać z prezydentem — uśmiechnął się Doliński. — Jeśli ślub ma być szybko, bez czekania w kolejce, muszę wykorzystać znajomości. Strasznie tego nie lubię!

(...) Wracali w niezłym nastroju, chociaż prawie połowę drogi musieli przejść na piechotę, bo nie mogli złapać taksówki. W sumie mieli jednak szczęście: Dolińskiego poznał Kielas, człowiek egzekutywy KW, który właśnie przejeżdżał skodą. Nawet nie musiał specjalnie zbaczać, bo mieszkali na tym samym osiedlu.

MAREK ADAM JAWORSKI

5

Taniec w tunelu

XXI.

— Słuchaj, Maniek, co tam u ciebie? — D[illegible] postanowił jednak zatelefonować do prezydenta miasta. Ziobry, i uzgodnić datę ślubu swego syna. Nie chciał o tym mówić jednak prosto z mostu, stąd to pytanie.

— Cześć. Dawno nie dzwoniłeś!

— Wiesz, jak teraz jest...

— Właśnie. Pytasz, co u mnie? Pcha się tę bidę. Najwięcej mam kłopotów ze służbą zdrowia. Ciasno, to prawda, ale skąd wezmę nowe lokale? Teraz walkuje się sprawa pogotowia. Budujemy nowy gmach dla pogotowia, ale to trochę potrwa. A „Solidarność" domaga się, by problem rozwiązać natychmiast. No i region też domaga się dla siebie lokalu. Za ciasno im, cholera. I wiesz, ciągle siedzą u wojewody, mnie zupełnie lekceważą. A ja powiadam tak: owszem, wybierajcie: pogotowie albo „Solidarność" to znaczy lokal albo dla pogotowia, albo dla regionu. Rozumiesz, co?

— Rozumiem, rozumiem, choć trochę to wszystko zagmatwałeś..

— Diabli niech to wezmą! Różne są problemy i problemiki. Dziś na przykład dzwonił do mnie z „Solidarności" Pszczoła, to taki działacz świeżo upieczony, kto o nim przedtem słyszał? Prosił mnie, abym się zgodził na przyspieszenie ślubu jego córki. Poza kolejką, rozumiesz? Chyba ktoś jej brzuch zrobił.

— Tak, tak.. — Doliński prawie zaniemówił.

— Wiesz, aby tylko tego chcieli! Podałem mu dwa terminy, niech się decydują. Może — zaśmiał się — będę miał w nim sojusznika, jeśli dojdzie do czegoś...

Prośba Dolińskiego nie miała już najmniejszego sensu, nie musiał jej wcale wyłuszczać. Był jednak piekielnie zły na Pszczołę, że ten bez jego wiedzy zaczął działać w wiadomej sprawie.

Szybko kończył rozmowę:

— No to trzymaj się, Maniek. Wpadnę kiedyś do ciebie, albo ty do mnie. Przygotuję kawę.

— Zobaczymy, kto do kogo przyjdzie...

— Mahomet do góry czy góra do Mahometa?

— A kto tu jest górą, a kto Mahometem? Ty też się trzymaj, Janusz.

Doliński odłożył słuchawkę. „Co ten Pszczoła? Boi się, że ja niczego nie załatwię?" — pomyślał i cała ta sytuacja wydała mu się po prostu głupia. Ale im dłużej myślał, tym nastrój jego ulegał metamorfozie. „A może to dobrze, że właśnie Pszczoła dzwonił do prezydenta? Przecież nie powiedział, za kogo jego córka wychodzi za mąż. Jeśli Ziobra coś zrobi w tej sprawie, to zrobi dla Pszczoły. I ja nie będę miał wobec prezydenta żadnych zobowiązań..."

Postanowił nie dzwonić do Pszczoły, bo, jak oczekiwał, ten powinien to uczynić.

Na razie wezwał do siebie sekretarza redakcji, Bocianowicza, celem omówienia bieżącego numeru. Właśnie jutro miało nastąpić w Gdańsku odsłonięcie pomnika poległych stoczniowców. W związku z tym należało przygotować artykuł wstępny. Miał się tym zająć Bocianowicz.

— Napisałeś?

— Oczywiście. Czy kiedykolwiek się na mnie zawiodłeś?

— No to daj, poczytam... A to co za notatka?

— Wystukałem przed chwilą. Wepchnę na stronę miejską.

„Już od dłuższego czasu — przeczytał Doliński — kioski „Ruchu" ozdabiają wywieszki: „Brak szamponów", „Brak proszków do prania", „Brak żyletek". Właściwie czym te kioski mają handlować? Z mydeł pozostał tylko jeden, bardzo kiepski gatunek, Zefir. Ostatnio pogłębiły się też kłopoty z papierosami. To, co dojdzie do kiosków, znika w przeciągu kilku minut. W moim kiosku, gdzie zwykle się zaopatruję, dzienne obroty spadły z 15 do 5 tysięcy złotych."

— No i co? Koniec?

— Koniec. A co ma być dalej?

— Ostatnie zdanie nie pasuje do całości. Wpadasz w osobisty ton. Zmień to jakoś. Ale z tymi papierosami to trzeba coś zrobić. Miałem mały zapas, ale topnieje mi on w oczach. Nawet w kiosku KW wydzielają jak na lekarstwo.

— Poszukaj chodów w „Solidarności". Oni też mają u siebie kiosk i podobno świetnie zaopatrzony. Im handlowcy niczego nie odmówią!

OD REDAKCJI: Na tym kończymy druk fragmentów przygotowywanej do druku przez M. A. Jaworskiego powieści pt. „Taniec w tunelu". Cała akcja tych pięciu odcinków toczyła się w grudniu 1980 roku, kiedy konflikty nie były jeszcze tak ostro zarysowane.

Do powieści może jeszcze kiedyś wrócimy poznając dalsze losy bohaterów w coraz bardziej zaostrzającej się sytuacji.

Nie liczę czasu...

Z ELŻBIETĄ JAGIEŁŁO rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Podobno jest najwyżej (najcieniej) śpiewającą piosenkarką w Polsce. Należy do najniższych wzrostem. Zaczynała śpiewać w popularnej żeńskiej grupie wokalnej „Pro Contra", z którą wylansowała kilka przebojów (na czele z „Orkiestrami wojskowymi"). Śpiewała też z tak popularnymi zespołami muzycznymi lat 60—70-tych jak: „NO TO CO" i „Trubadurzy".

Próbowała swoich sił jako aktorka w filmie („Milion za Laurę". „Mała sprawa").

Od 1971 roku związana jest z FPŻ w Kołobrzegu, gdzie zdobyła dwa zespołowe „Srebrne Pierścienie", nagrodę fotoreporterów i tytuł „Miss Obiektywu-76".

W roku bieżącym, który jest jubileuszowym dla Elżbiety Jagiełło w związkach z wojskową piosenka otrzymała za wykonanie piosenki „Przyjaciel sen" najwyższą nagrodę „Złoty Pierścień".

— Czy ten „Złoty Pierścień" jest naprawdę złoty?

— Nie i od kilku lat nie ma nawet kształtu pierścienia. Jego obecny kształt to nieforemny medal z odpowiednimi napisami. Ale choć to wszystko jest tak symboliczne, to dla mnie ma wartość prawdziwego złota.

— Czym różni się „Złoty Pierścień" od „Srebrnych Pierścieni", które też podarowano pani w Kołobrzegu?

— Kolorem, kształtem i wartością w hierarchii nagród. Te dawne, srebrne pierścienie też nie były srebrne, lecz z metalu.

— Ale obwód palca mierzono pani zapewne przed festiwalami, bo mówi się, że nagrody w Kołobrzegu rozdziela się jeszcze przed festiwalem?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. I nie mierzono mi palca ani przed ani w czasie festiwalu. „Srebrne Pierścienie" otrzymałam za „Orkiestry wojskowe", które wykonałam z grupą „Pro Contra" i za piosenkę „Żołnierz lubi śpiewać" z zespołem „Trubadurzy". Pierwszy posiada kierownik „Pro Contry" Bernard Sołtysik, podobnie jak wszystkie pamiątkowe trofea zespołu.

— Dosyć długo czekała pani na „złoto" na tym festiwalu?

— Nie tak długo, bo choć w sumie śpiewałam na nim w tym roku po raz 10, to jako samodzielna piosenkarka wystąpiłam dopiero po raz czwarty. Co prawda nie zdobyłam żadnej indywidualnej nagrody poza tytułem „Miss Obiektywu", ale spopularyzowałam piosenkę „Hartuj się" która została czołówką muzyczną programu TV „Wojskowa Akademia Zdrowia". W kolejnych festiwalach brałam również udział w widowiskach proponując nowe, wesołe piosenki dla dzieci.

— Przyjeżdżając co roku do Kołobrzegu na pewno liczyła pani, że może właśnie w tym roku...

— To trudno przewidzieć i trudno przyjeżdżać z nastawieniem, że ten rok będzie „mój". Ale każdy chciałby, żeby go zauważono i nagrodzono. Często decyduje o tym przypadek — na uwadze mam przydzielenie dobrej piosenki, świetnie zaaranżowanej, pokazującej możliwości wykonawcy. I tak np. tegoroczna piosenka „Przyjaciel sen" (Adama Szmereka i Ewy Cisoń) dostała się do festiwalowej puli po wielu trudnościach, bo nie było muzyków, którzy znaleźliby czas na jej zaaranżowanie. Na dwa dni przed festiwalem zgodził się Sławomir Fajkowski. Trudy aranżera i nie tylko jego nie poszły na marne.

— Taka pani maleńka, delikatna, krucha, taki ma cieniutki i słodki głosik, że próbując sklasyfikować ją do jakiegoś przedziału w piosence, można by gdzieś ją umieścić, ale w wojskowej piosence na pewno nie. Kto pierwszy tam panią zobaczył?

— W dowodzie osobistym mam wpisany wzrost średni (156 cm), są niższe ode mnie wokalistki np. Małgorzata Ostrowska. Jeśli chodzi o głos, to nie odkryto go w Kołobrzegu, lecz w zespole „Pro Contra", miałam tam swoje miejsce w rejestrach sopranowych i możliwości pokazania jego barwy, wysokości i siły dźwięku. Nie jestem piosenkarką wojskową, tylko współpracuję z wojskiem.

— Co pani robi gdy kończy się festiwal w Kołobrzegu i trzeba zarabiać na życie?

— Pracuję, śpiewam na różnych koncertach, ostatnio wiążąc się z Łodzią, której z powodów prywatnych nie mogę na dłużej opuszczać.

— A mieszka pani w tej Łodzi raczej nietypowo jak na znaną piosenkarkę. Ile metrów kwadratowych ma ten miniaturowy pokój, w którym rozmawiamy?

13,5 m. Jest tu tak ciasno, że aby znaleźć jakąś rzecz muszę zrobić potworny bałagan i powstaje tzw. „artystyczny nieład".

— Nie może też pani wyjrzeć przez okno, bo go nie ma...

— Ale są oszklone drzwi.

— Woda jest?

— Jest, nie ma natomiast gazu i WC. Obecne mieszkanie traktuję jako przejściowe lokum i mam nadzieję, że ten stan nie będzie trwał zbyt długo.

— Może by więc tak do mamy?

— U mamy mieszkałam będąc dzieckiem teraz chcę być naprawdę dorosła.

— No to może by tak wydać się za mąż?

— Od roku jestem wolna i nie zamierzam na razie wychodzić powtórnie za mąż, bo mam dosyć instytucji zwanej „małżeństwo".

— Stan pani zdrowia psychicznego na dziś?

— Poprawił się znacznie, szczególnie gdy jestem samodzielna.

— Ile lat pani śpiewa?

— Czternaście.

— Nie sądzi pani, że mogła zrobić więcej?

— Mogłam, ale z różnych powodów nie wszystko układało się tak jak bym chciała. Podobno fortuna kołem się toczy, liczę więc na to, że może i do mnie zawita?

— Co udało się zrobić?

— Zwiedziłam wiele ciekawych krajów, odwiedzając je jako piosenkarka a nie turystka, poznałam mnóstwo ciekawych ludzi. Śpiewałam na wszystkich polskich festiwalach piosenki i wielkich imprezach, także w wielu liczących się programach telewizyjnych, nagrywałam dla radia, na płyty. Moja nowa piosenka była na Telewizyjnej Liście Przebojów, inne lansowało radio. To wszystko nie jest mało, choć na pewno mogłoby być więcej.

— Kto odkrył pani głos?

— Bernard Sołtysik, a miało to miejsce w I klasie Technikum Włókienniczego, gdzie przesłuchiwał pierwszoklasistki wybierając grupę dziewcząt do chóru szkolnego. Zaśpiewałam jako ostatnia, byłam bardzo stremowana, gdyż Bernard Sołtysik był już wtedy znanym kierownikiem zespołu „Cykady". Po pół roku śpiewałam już w nowej grupie „Pro Contra".

— Samo odkrycie nie wystarcza?

— Oczywiście, potem było dużo pracy i dużo szczęścia. Myślę, że o „Pro Contrze" nie można powiedzieć niczego złego, na uwadze mam pierwszy skład, w którym pracowałam z Lucyną Owsińską, Elżbietą Ostojską i Elżbietą Wysocką.

— Samej na pewno trudniej jest egzystować w rozrywkowej branży?

— Jest olbrzymia konkurencja, zmieniają się mody, poza tym są olbrzymie trudności w zdobyciu nowego repertuaru specjalnie napisanego dla siebie, nagranie go, nakręcenie teledysku, wylansowanie. To w sumie ogrom pracy i konieczność posiadania umiejętności kierowania swoimi sprawami, bez których niczego się nie osiągnie. To tylko jeden z wielu problemów.

— Teraz po „Złotym Pierścieniu" będzie pewnie łatwiej wejść wszędzie tam, gdzie powinna być szanująca się piosenkarka?

— Niekoniecznie musi tak być, ale mam nadzieję, że będzie mi trochę łatwiej, gdyż festiwal odkrył moją obecną formę i umożliwił pokazanie na ogólnopolskim forum jak teraz śpiewam. Jako piosenkarka mogłam pokazać się z innej niż do tej pory strony. Okazało się, że moja średnica jest nie mniej interesująca jak góry, o czym nikt do tej pory nie wiedział. Ale trudno jest mówić o sobie, wolę jak moją pracę oceniają inni, tak jak zrobili to fachowcy z kołobrzeskiego jury.

— Po sukcesie na poważnym festiwalu zaproponowano pani pracę w warszawskim lokalu rozrywkowym „Kamieniołomy"?

— Miałam tam śpiewać w sierpniu, ale z powodu trudności organizacyjnych warszawskich ZPR-ów mój występ w „Kamieniołomach" przesunięto na inny termin.

— Za to będzie pani śpiewać w łódzkim „Centrum" i paru innych renomowanych lokalach?

— Będę.

— Śpiewanie w restauracjach choćby kategorii „S" nie jest dla pani ujmą, bo kolczanki i koledzy bardzo się tego wstydzą?

— Na całym świecie najwięksi artyści śpiewają w lokalach, tylko u nas w Polsce istnieje fałszywy wstyd, którego ja nie rozumiem.

— A może lepiej jest być artystką filmową?

— Nie chciałam być ani aktorką ani piosenkarką, chciałam być artystą plastykiem. Nie zostałam, bo do szkoły plastycznej było bardzo wielu kandydatów i nie wierzyłam w swoje szanse dostania się na tę uczelnię.

— A tymczasem przed panią egzaminy weryfikacyjne na artystkę estradową przed Komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki?

— Będę egzaminowana pod koniec tego roku.

— Co czeka panią do tego czasu?

— Zakończenie nagrań radiowych, recital TV i dwutygodniowy wyjazd na Węgry.

— A za parę, parenaście lat?

— Nie myślę o odległej przyszłości, bo mam dużo bieżących zajęć... Nie liczę czasu...

Mick Jagger chce więcej

Elizabeth Scarlett Jagger jest, obok syna księżniczki Karoliny z Monako, najpopularniejszym dzieckiem, jakie urodziło się w ciągu ostatnich miesięcy. Jej zdjęcie zamieszczają prawie wszystkie liczące się na Zachodzie gazety. Matką dziewczynki jest modelka Jerry Hall, jednak mała Elizabeth nie jej zawdzięcza rozgłos, a ojcu, którym jest Mick Jagger.

Wokalistę zespołu The Rolling Stones znają dziś nie tylko miłośnicy rocka. W miarę zdobywania przez grupę popularności, informacje o jej liderze coraz częściej publikowane były w wydawnictwach nie związanych bezpośrednio z muzyką. Głośny stał się proces z 1967 roku, kiedy to Jagger został oskarżony o posiadanie narkotyków. W 1971 roku szeroko komentowano jego ślub z Biancą Perez Moreną de Macias, który odbył się w St. Tropez w obecności wielu gwiazd estrady (w ceremonii zaślubin uczestniczyli m.in. Paul McCartney i Ringo Starr). Równie dużo mówiono osiem lat później o rozwodzie Jaggera z piękną Nikaraguanką. Jednocześnie prasa poświęcała niemało miejsca piosenkarzowi i jego nowej sympatii Jerry Hall. Rok temu niezwykle uroczyście obchodzono 40 urodziny Jaggera. W prasie, radiu i telewizji przypominano historię zespołu The Rolling Stones, wskazując na jego zasługi dla rozwoju brytyjskiej muzyki rockowej.

Wszystko zaczęło się w 1960 roku kiedy Mick Jagger i późniejszy gitarzysta grupy Keith Richards spotkali się w pociągu. Znali się już wcześniej ze szkoły, ale tym razem Richards miał ze sobą kilka płyt (min. „Back in the USA" Chucka Berriego), dzięki którym odkryli, że mają wspólne zainteresowania muzyczne.

Nagrali razem kilka piosenek i wysłali taśmy do Ealing Club, gdzie działała, kierowana przez Alexisa Kornera, grupa Blues Incorporated. Nagrania spodobały się Kornerowi, ale zgodził się przyjąć dwóch muzyków do swojego zespołu tylko na zastępstwa. Nie było to szczytem ich marzeń, jednak bez wahania przyjęli propozycję znanego już wówczas bluesmana. W klubie Ealing Jagger i Richards poznali innych członków Blues Incorporated, którymi byli Cyril Davis (wspaniała, choć zapomniana już postać brytyjskiego bluesa) oraz przyszli członkowie The Rolling Stones — gitarzysta Brian Jones i perkusista Charlie Watts. Jako The Rolling Stones pojawili się po raz pierwszy na estradzie Marquee Club zastępując kolegów z Blues Incorporated, którzy mieli zaplanowane nagrania dla BBC i musieli zrezygnować z regularnego czwartkowego występu w klubie. Z Jaggerem, Richardsem i Jonesem grał wówczas Long John Baldry. Charlie Watts współpracował jeszcze z Kornerem i na stałe dołączył do Stonesów w styczniu 1963 roku. W tym samym roku muzycy ogłosili w „Melody Maker" konkurs na gitarzystę basowego. Zgłosił się wówczas m.in. Bill Wyman, który przyjęty został na piątego członka The Rolling Stones. W podobnym składzie zespół działa obecnie. Jedynie po śmierci Briana Jonesa w 1969 roku nastąpiła zmiana na stanowisku gitarzysty prowadzącego, którym został Mick Taylor. Po jego odejściu, do zespołu przyszedł były muzyk współpracującej z Rodem Stewartem grupy The Faces — Ron Wood.

Członkowie The Rolling Stones byli pod silnym wpływem muzyki murzyńskiej. Szczególnie fascynowała ich twórczość Muddy Watersa, którego kompozycje włączali często do swojego repertuaru. Do dziś w licznych utworach spółki Jagger — Richards widoczne są elementy rhythm and bluesa. Nawet nazwa grupy pochodzi od jednego z wcześniejszych nagrań tego legendarnego murzyńskiego bluesmana. Warto dodać, że singel Watersa „Rollin' Stone Blues" był pierwszą płytą, którą wydała założona w latach pięćdziesiątych amerykańska firma „Chess". Jej dwaj właściciele Leonard i Phil Chess podobno urodzili się w Polsce (!). Gdyby nie zawędrowali do USA i nie wydali krążka „Rollin' Stone Blues" kto wie jak nazywałaby się dziś jedna z najlepszych grup rockowych na świecie...

Na początku kariery The Rolling Stones szokowali uczesaniem, ubiorem i zachowaniem. Byli autorami licznych skandali. Za zakłócanie porządku często trafiali do aresztu. Młodzież ich uwielbiała, a dorośli nienawidzili. Przez ponad 20 lat działalności broniła ich znakomita muzyka, dzięki której mają dziś sławę, pieniądze i kolejne pokolenie wielbicieli.

Jeśli obecnie zadziwiają, to za sprawą niebywałej artystycznej siły i znakomitej sprawności fizycznej, którą demonstrują podczas wspaniałych koncertów. „Nie wyrzucamy już przez okna telewizorów — mówił reporterowi tygodnika „Newsweek" Bill Wyman — wolimy oglądać prezentowany w nich program". Żadnemu zespołowi rockowemu nie udało się przez tyle lat utrzymać popularności. Po krótkim okresie słabszej formy w połowie lat siedemdziesiątych, The Rolling Stones są dziś znów w gronie najlepszych wykonawców. Wśród blisko 30 albumów, jakie dotychczas wydali, trudno znaleźć nieudany. W 1981 roku podczas ich amerykańskiego tournée sprzedano ponad 2 miliony biletów. Gdyby zrealizowano wszystkie zamówienia na bilety, w samym Nowym Jorku musieliby grać co wieczór przez pół roku. Europejska trasa z 1982 roku również była wielkim sukcesem, a ostatni jak dotąd album „Udercover" przez długi czas gościł na listach bestsellerów. Podpisany w 1983 roku kontrakt z wytwórnią CBS (jego wartość ocenia się na 28 milionów dolarów) zobowiązuje zespół do nagrywania płyt co najmniej przez cztery lata.

Jaggerowi to wszystko nie wystarcza. Chce pisać książki, scenariusze filmowe oraz próbować swych sił w innych stylach muzycznych (kontrakt z CBS pozwala mu nagrywać płyty solowe). „Nie mogę się opanować — mówił w jednym z wywiadów — To już nie jest dla pieniędzy. Zawsze wiedziałem, że będę bogaty... Nie chcę brzmieć jak rozkapryszone dziecko, ale wciąż nie czuję się w pełni usatysfakcjonowany".

Podczas gdy lider Stonesów szuka nowych wrażeń, jego koledzy z zespołu, jak przystało na bogatych panów po czterdziestce, w spokoju korzystają z uroków życia w luksusie. Bill Wyman kolekcjonuje obrazy i kompletuje na domowym komputerze historię grupy. Charlie Watts i Ron Wood (36 lat) spędzają wolny czas z żonami i dziećmi. Keith Richards prowadzi życie bogatego cygana, podróżując z nieodłączną skrzynką whisky „Rebel Yell" między Paryżem, Londynem, Ocho Rios (Jamajka) i innymi miastami, gdzie znajdują się jego liczne domy.

Gdy przerywają tę sielankę, aby powrócić do studia nagrań lub na estrady ubywa im nagle po kilkanaście lat. Dawniej Mick Jagger nie wyobrażał sobie, że w wieku 40 lat będzie nadal skakał po scenie z mikrofonem i śpiewał rock and rolla. Dziś ma 41 i robi to lepiej niż kiedykolwiek.

„Czas na nikogo nie czeka" to słowa wielkiego przeboju The Rolling Stones. Widocznie dla Jaggera i jego kolegów zrobił wyjątek.

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

TURNIEJ DYSKDŻOKEJÓW

Akademickie Centrum Kultury ZSP SGPiS „PARK" jest organizatorem II Ogólnopolskiego Turnieju Prezenterów Dyskotekowych.

W Turnieju mogą wziąć udział prezenterzy posiadający weryfikację MKiS oraz prezenterzy nie zweryfikowani.

Eliminacje odbywają się w trakcie imprez dyskotekowych w ramach „Interclub PARK" 84 w każdy poniedziałek i czwartek do 30.VIII.84 r.

Osoby przystępujące do Turnieju muszą przedstawić 20-min. blok muzyczny, w którym powinni wykazać swoje predyspozycje estradowe (muzykalność, kulturę słowa, gestu i umiejętność nawiązywania kontaktu z publicznością). Półfinały odbędą się w dniach 2 i 9. IX. 84 r. a finał w dniu 15.IX. 84 r. Zwycięzca Turnieju w grupie prezenterów zweryfikowanych uzyskuje przedłużenie weryfikacji, a w grupie amatorów — możliwość uzyskania weryfikacji MKiS.

Wszyscy finaliści otrzymają atrakcyjne nagrody rzeczowe ufundowane przez Krajową Radę Prezenterów Dyskotekowych, „TONPRESS", włoską firmę CAMPARI oraz CURTTIS INTERNATIONAL i Klub „PARK". Pisemne zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem:

ACK ZSP SGPiS „PARK"
Al. Niepodległości 196
00-608 Warszawa

Zgłoszenia powinny zawierać: imię i nazwisko, wiek, adres, nr telefonu, wykształcenie — zawód, miejsce pracy lub szkoły, dotychczasowa działalność w charakterze prezentera, termin eliminacji. Jeżeli zgłaszający nie posiada telefonu domowego proszony jest o podanie innego kontaktu telefonicznego.

Organizatorzy nie zapewniają zakwaterowania.

UPOMINAM SIĘ O BOLESŁAWA PRUSA I BIBLIĘ

Jerzy P. napisał w felietonie pt. „Podkradanie protoplastów", że zwolennicy fantastyki doszukują się swoich wątków, gdzie tylko mogą. Nie wiem, czy na tej liście jest na przykład „Lalka" Bolesława Prusa, ale jeśli jej tam nie ma, to poważny błąd. W „Lalce" przecież jakiś fantasta w Paryżu wynalazł metal lżejszy od powietrza, co można było zobaczyć nawet w kinie, kiedy pokazywano zekranizowaną „Lalkę". W telewizji także.

No, a byłoby grzechem wręcz niewybaczalnym nie zaliczyć do fantastyki „Biblii" Sądzę, że tego udowadniać już nie muszę, kto nie wierzy, niech sam poczyta. Jerzy P., jestem przekonany, zgodzi się ze mną. Biblia — to fundament fantastyki.

I proszę a tymczasem oficjalna krytyka z pobłażaniem patrzy na literaturę SF. Gnije w konserwatyzmie. Dobrze jej tak. Kiedy *ocknie się, nie będzie już nic, tylko literatura SF.*

Pozdrowienia dla Jerzego P.

JÓZEF K.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

KTO ZABIŁ GEN. WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO?

Swego czasu „Odgłosy" szeroko rozpisywały się o zagadkowym zaginięciu gen. Włodzimierza Zagórskiego po majowym zamachu Józefa Piłsudskiego w 1926 roku. Teraz MON wydał małą i bardzo ciekawą książeczkę „O przewrocie majowym 1926 opinie świadków i uczestników" Autorami są: Andrzej Wierzbicki, Stanisław Haller i Jan Rzepecki.

Jeśli mowa o zamachu majowym z 1926 roku, to nie można nie wspomnieć o gen. Włodzimierzu Zagórskim, który walczył po stronie rządowej i następnie został aresztowany, przebywał w więzieniu w Wilnie, skąd przewieziony do Warszawy... zaginął.

Jak wynika z przypisu do relacji Stanisława Hallera (str. 48) S. Badeni opublikował w londyńskich „Wiadomościach" w maju 1961 roku artykuł pt. „O generale Rozwadowskim", w którym to artykule przedstawia relację gen. Rozwadowskiego o zaginięciu gen. Zagórskiego. Wedle tej relacji gen. Zagórski został „prawdopodobnie zamordowany i pogrzebany... w ogrodzie belwederskim".

Podobną opinię przedstawia Jan Rzepecki na zakończenie swej relacji o wydarzeniach majowych z 1926 roku. Kapitan Lucjan Miładowski, który odegrał poważną rolę w zaginięciu gen. Włodzimierza Zagórskiego, był bliskim znajomym kapitana Jana Rzepeckiego jeszcze z Legionów.

„W wiele lat potem — wspomina Jan Rzepecki — uzyskałem wiadomość następującą: oto Miładowski dowiózł Zagórskiego do Belwederu, gdzie tenże został stawiony przed Piłsudskim w obecności Wieniawy i Becka. W toku gwałtownej rozmowy, w której Zagórskiemu wypomniano wszystkie przewiny sięgające aż czasów, gdy był narzuconym przez Austrię szefem sztabu Komendy Legionów, Piłsudski miał go uderzyć w twarz, na co Zagórski odwzajemnił się jakimś uderzeniem. Nastąpiła błyskawiczna reakcja obecnych w postaci cięcia szabla Wieniawy i strzału z pistoletu Becka, co żywot Zagórskiego zakończyło.

Kto nie chce — niech nie wierzy."

Czy wierzyć temu, co pisze Jan Rzepecki, który sam nie ma co do tego całej pewności? Oto pytanie.

I tak zagadka śmierci gen. Włodzimierza Zagórskiego nadal pozostaje nie rozwiązana.

WACŁAW B. SITEK
(Sieradz)

„KOCI HORROR"

Nie wiem dlaczego ostatnio „Odgłosy" są tak trudne do zdobycia, chyba nie z powodu zamieszczanej powieści odcinkowej „Raz w roku w Skiroławkach".

Nie o „Skiroławkach" chcę się wypowiadać, ale o artykule red. Edwarda Bryla „Koci horror", który zbulwersował społeczeństwo naszego miasta. Prawda jest, że poruszony przez red. Bryla problem dawno już wymagał poruszenia na łamach prasy, tylko trochę szkoda, że tak późno, ale dobrze się stało, że w końcu ktoś problem dostrzegł.

Sama miałam okazję stać się świadkiem ludzkiej niefrasobliwości, braku serca w stosunku do zwierząt. Chodziło o psa. Małe wystraszone zwierzątko, zziębnięte i wycieńczone głodem, leżało rankiem na środku olbrzymiej sali sprzedażowej delikatesów w łódzkim „Juventusie".

Nie miało siły uciekać, kiedy głos sprzedawczyni zabrzmiał nakazująco. Skulona kulka ostatkiem sił szukała ratunku wśród ludzi, którzy czynili ranne zakupy. Kiedy weszłam do sklepu, grupka ludzi otoczyła zwierzę, które spoglądało błagalnie dużymi czarnymi oczami i żałośnie skamlało. Wszyscy przechodzili dalej nie mając czasu, każdy spieszył się do pracy. Ja także. Cóż, kiedy nie mogłam przejść obojętnie. Podeszłam do zwierzęcia, które jak gdyby wyczuło moje intencje. Podniosło się na chwiejnych łapach, z trudem podreptało za mną. Stało się, moje wewnętrzne postanowienie, że nigdy nie będzie psa w naszym niedużym mieszkaniu w blokach, wzięło w łeb. Jeszcze nadzieja, że po drodze znajdzie się właściciel, ale nic z tego. Pies nie odstępował mnie ani na krok.

Trzy ogłoszenia zamieszczone w łódzkiej prasie, oprócz poczynionej szkody w budżecie rodzinnym, nie przyniosły żadnego rezultatu. Pies, a właściwie suka, stała się członkiem rodziny. Moja córka szalała z radości i tak już jest do tej pory, choć od tamtego dnia minęły dwa lata.

Suka przywiązała się bardzo do naszej rodziny i na swój psi sposób okazuje nam swoją wdzięczność. Mimo że jest zwykłym kundelkiem, przewyższa pod względem psiego intelektu wiele rodowych piękności. Jest wesoła i szczęśliwa, że ma dom. Nie pisałabym o tym, gdyby nie fakt, że dwa dni temu idąc do pracy, w przejściu podziemnym przy Al. Mickiewicza i Sienkiewicza zobaczyłam obrazek, który wstrząsnął mną do głębi.

Na barierce wisiał na sznurku pies — już nie żył. Pan, który minął wiszące zwierzę, skomentował krótko „nie miał szczęścia w życiu" — trudno. Tak! — mój pies to szczęście miał — pomyślałam. Artykuł red. Bryla spowodował, a może to nie artykuł —, że w radio i Tv ukazało się trochę informacji dotyczących humanitarnego pozbycia się niechcianego zwierzęcia. A przecież to nie tylko o to chodzi, trzeba aby w rodzinie zaszczepić maluchowi miłość do zwierząt, tych bezbronnych istot, które tak skwapliwie przyjmujemy pod dach, a których pozbywamy się w tak bezlitosny sposób. Należy uczulić społeczeństwo na bestialskie metody „eksperymenty" pozbywania się zwierząt, zwierząt, które przecież mają do swoich właścicieli bezgraniczne zaufanie.

Gdyby prasa więcej uwagi poświęcała temu problemowi, może udałoby się uniknąć wielu psich i nie tylko psich tragedii.

M.D.
(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

PAMIĘTAM DAWNĄ ŁÓDŹ

Urodziłam się 2.IX.1895 r. w Warszawie. Jestem jedną z mieszkanek Łodzi pamiętających starą Łódź, początku wieku dwudziestego. Chciałabym, aby o tym wiedzieli młodzi. A czy młody człowiek mieszkający na Widzewie Wschodzie wie, że te tereny były działkami rolnymi, uprawianym przez gospodarzy („nimców"). Była to jedna z wielu pod Łodzią wsi niemieckich z ewangelickim kościołem i szkołą niemiecką pod zaborem Rosji.

Czy wszyscy mieszkańcy bloków przy ulicach Niciarnianej, Teodora, Kazimierza, Józefa, Tunelowej wiedzą, że były to ulice kunitzerowskich drewniaków???... Czy wiedzą, na przykład, że robotnicy zatrudnieni w fabryce Heintzla i Kunitzera, korzystali odpłatnie z jednej z czterech izb „na górce" każdego kunitzerowskiego domku. Przy dziesięcio-dwunastoosobowym zagęszczeniu. Zamiast łóżek były sienniki do spania.

Od końca czerwca 1914 roku byłam poza Łodzią. Od jesieni 1947 roku jestem znów stałą mieszkanką Łodzi.

W 1962 roku z zamiarem podjęcia pracy po wieloletniej przerwie zgłosiłam się do Łódzkiego Kuratorium Szkolnego. Oprócz dziennika szkolnego z wyjętą promocją do VII klasy Łódzkiego Żeńskiego Gimnazjum z roku 1914 (podczas drugiej wojny światowej przechowywany przez moją starszą siostrę), nie posiadałam żadnego dokumentu do jakiej pracy mogę być zatrudniona. Kuratorium poza spisem szkół łódzkich nie posiadało żadnych danych na ten temat. W odpowiedzi na moje podanie w tej sprawie z 9 lipca 1962 roku Archiwum Państwowe m. Łodzi pismem z 14 lipca 1962 roku stwierdziło, że akta nadesłane ze Związku Radzieckiego zostały przekazane do Łódzkiego Archiwum przez Naczelną Dyrekcję Archiwów Państwowych. Po zgłoszeniu się do Archiwum Łódzkiego przy Placu Wolności 1, zostałam poinformowana, że pudło z aktami „Łodzinskoj Zenskoj Gimnazji" jest w zbiorach Wojewódzkiego Łódzkiego Archiwum przy ulicy Zwirki.

Przy stoliku pod oknem spędziłam sporo czasu. Wróciły wspomnienia. Wynotowałam znane mi nazwiska wykładowców i dam klasowych.

O naszym matematyku (Polak) Janie Lickindorfie wiedziałam, że po odzyskaniu niepodległości pracował w Gimnazjum Państwowym im. Mikołaja Kopernika. Po śmierci długoletniego dyrektora Jana Czeraszkiewicza Jan Lickindorf przez kilka miesięcy był dyrektorem szkoły.

Łódzkie Żeńskie Gimnazjum w 1914 roku było ewakuowane początkowo do Warszawy, a następnie w 1913 roku zostało przeniesione do Kaługi, gdzie było czynne jeszcze w 1917 r.

Świadoma czym dla pokoleń są wszelkie zbiory archiwalne, 24 lutego 1969 roku, w otwartym pierwszym Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi przy ulicy Gdańskiej 13, złożyłam niektóre ocalałe dokumenty i zdjęcia. Mój dziennik uczennicy „Łodzinskoj Zenskoj Gimnazji", zdjęcie zabytkowej auli w budynku szkoły przy ulicy Średniej (Nowotki 16) podczas odbywającej się w 1912 roku akademii w 100 rocznicę bitwy wielkiej Armii Napoleona z wojskami rosyjskimi pod wodzą Kutuzowa.

Jestem społecznym opiekunem budynku przy ulicy Nowotki 16 (aktualnie remont kapitalny), budynku zaliczonego do zabytków Łodzi.

KAROLINA BUCHALCZYK

MINISTERSTWO ZDROWIA ODPOWIADA

W związku z artykułem pt. „Na peryferiach zdrowego rozsądku" pragnę poinformować, że Minister Zdrowia i Opieki Społecznej ponownie przedstawił swoje stanowisko na interesującą redakcję sprawę w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej nt zadań Centrum Zdrowia Matki-Polki pt. „Kompleksowa opieka nad zdrowiem kobiety".

Wywiad był publikowany w ogromnej większości gazet prasy codziennej z dnia 28—29 lipca br.

Stanowisko Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej jest jednoznaczne i niezmienne od lat. Wyrażane jest w sposób jednoznaczny kilka razy w ciągu roku w wystąpieniach radiowych i telewizyjnych, a także w wywiadach i wypowiedziach prasowych.

Stanowisko to jest zgodne z obowiązującym polskim ustawodawstwem.

Z poważaniem
ANDRZEJ JUSZCZYK
Dyrektor Gabinetu Ministra

PRZYKŁAD PRACY (?) ŁATWEJ I WDZIĘCZNEJ, LEKKIEJ, MIŁEJ I PRZYJEMNEJ

Skoro Piotr Sikorski apeluje: „Czytelników „Odgłosów" mających pracę lekką, wdzięczną i przyjemną proszę o adresy takich miejsc pracy." („Odgłosy" nr 32/84), to jako jeden z Czytelników (gdy szczęście dopisze kupić „Odgłosy" po zmniejszeniu nakładu!) spieszę podać nie tyle adres konkretnego „zakładu pracy", ile zdefiniować rodzaj pracy. Otóż pracą taką jest praca profesora wyższej uczelni. Jest to praca łatwa, ponieważ polega na stawaniu przed audytorium i gadaniu, gadaniu, gadaniu... A cóż łatwiejszego — niż gadać?

Jest to praca wdzięczna, ponieważ po pięciu latach studiowania każdego roku 1—2 nowo kreowanych magistrów poczuwa się do obowiązku (?) wyrażenia swojej osobistej wdzięczności wiązanką goździków, przeplatanych różami (na zmianę z innym kwieciem, nie wspominając frezji, którego wyjątkowo bogaty wybór oferują kwiaciarnie, zwłaszcza prywatne).

Jest to praca lekka, ponieważ polega na trzymaniu długopisu w dłoni, względnie na stukaniu w klawisze maszyny „łucznik" (gdy profesor niedojdą jest, i maszynistki nie posiada). Czy jest jakieś narzędzie pracy lżejsze nad długopis, względnie spoczywającą na blacie solidnego biurka maszynę „łucznik"? Jeżeli jest — to chyba tylko chirurgiczny skalpel (o właśnie, drugą w kolejności pracą „łatwą, miłą, lekką i przyjemną" jest praca chirurga, zwłaszcza chirurga wyspecjalizowanego w „częściach miękkich").

Jest to praca przyjemna — ponieważ gadając, z katedry (postawionej za państwowe tj. społeczne pieniądze!), patrzy się na „kwiat młodzieży i przyszłość narodu", przy czym żeńska część owego kwiatu jest naprawdę fascynująca, wciągająca i pociągająca aż do „utraty głowy"! Przyjemności jest zresztą więcej: a to krzyż Polonia Restituta przypinają do piersi za minimum 20-letnią „nienaganną" pracę, a to zapraszają na zagraniczne (nawet australijskie) sympozja, pokrywając koszty pobytu przez 7—10 dni za marne 15—30 minut wygłoszenia referatu, tj. gadania, gadania, gadania...; a to zlecają ekspertyzy, ocenianie, opiniowanie i recenzowanie (a cóż prostszego a zarazem miłego jak krytykowanie?). Gdy już się zaś jakiś „projekt", jakiegoś przejrzałego magistra lub doktora zaopiniuje i szczęśliwie wydoktoryzuje względnie wyhabilituje — to musowo uczestniczy się w bankiecie, przyjęciu etc.: jedząc, pijąc i pasa popuszczając wśród gawędzenia i podrywania. Dochodzą do tego setki innych przyjemności, jak chociażby zasiadanie w różnorakich a nobliwych wielce bo opiniotwórczych ciałach — a cóż łatwiejszego, milszego i przyjemniejszego, jak zasiadanie i reprezentowanie, oparte o opiniowanie zwane mieleniem ozorem, zagryzanie i popijanie w doborowym towarzystwie, na koszt — oczywiście! — społeczeństwa?

Za tę łatwość, wdzięczność, lekkość i przyjemność jeszcze dodatkowo płacą, i to, proszę mi wierzyć, więcej niż wynosi „średnia krajowa" dla gospodarki uspołecznionej (z wyłączeniem z rachunku górników, hutników i kilku innych „oficerskich" branż) — chociaż grubo mniej, niż zarabia kierowca autobusu PKS (z nadgodzinami, oj z nadgodzinami!), agent CPN (z łapówkami, oj z łapówkami za „wlanie do pełnego baku" bez patrzenia na „kwitki"), nie wspominając salowej czy palacza c.o. Czy pamięta ktoś żale profesora Rudnickiego, przedstawione na łamach „Polityki", iż w instytucie naukowo-badawczym pierwszym na liście płac jest właśnie palacz c.o.?

Te relacje nie zdumiewają. Wszak to sam minister Jerzy Urban ex cathedra oświadczył, że słuszne jest, iżby salowa zarabiała więcej od ordynatora, skoro chętnych na podkładanie i wynoszenie basenów nie ma, a ordynatorów jest więcej niż ulęgałek pod gruszą-dziczką. Profesorów jest także więcej niż ziarenek maku (po wprowadzeniu ustawy „anty-"), a na pewno więcej niż psów na osiedlu (chociaż każdy profesor ma psa!): psy albowiem od czasu do czasu rozjeżdża się „fiatem 126 p", a nikt jak dotąd nie słyszał o akcji rozjeżdżania profesorów. (A szkoda! —?).

Podsumowując: każdemu, co ma pracę, jak stwierdza Piotr Sikorski „ciężką (ewentualnie trudną) i niewdzięczną", polecam w pierwszym rzędzie pracę profesora wyższej uczelni. A w drugiej kolejności pracę ordynatora polikliniki akademickiej, zwłaszcza ordynatora oddziału chirurgii miękkiej, a już szczególnie polecam chirurgię systemu nerwowego z mózgiem na czele. Wszak mózg zoperować — oznacza brać grube (grubszel) tysiące za nic, za zwykłe i proste prowadzenie laserowego skalpela o „pół włosa" we wte, a potem o ćwierć włosa „w tamte"...

Zaś, gdyby ktoś miał naturę mniej hedonistyczną, a więcej cierpiętniczą (no cóż, masochistów nie sieją, a oni sami z siebie obradzają) to polecam pracę badylarza. Temu samo rośnie i milionami sypie —tak obficie, że chociaż rozbija się mercedesami i mercedesy zmienia na toyoty jak rękawiczki (przed kryzysem), koniaki żłopie, koniaki stawia („cała sala pije!", i koniakami napełnia baki „żuków", „nys" etc. — to nie tylko nic mu nie ubywa, ale jeszcze obradza willami wykładanymi lusterkami od fundamentów aż po szczyt komina z kominka.

Zainteresowanym podaję adresy: każda wyższa uczelnia najlepiej artystyczna (cóż prostszego niż stroić miny na scenie i być rzęsiście oklaskiwanym, a także filmowanym? — a uczelni tych w samej Łodzi mamy więcej, niż palców u obu rąk. Podaję adresy: każda poliklinika AM i WAM — oblegana przez setki i tysiące każdego dnia, każdy chętny do włożenia „koperty" w kieszeń białego fartucha. Podaję adres: najbliższy „badylarz", „dziomdziora" i „żak".

Well (jak mawiają Anglosasi, uwielbiani nad rzeką Wisłą i rzeką Łódką): jeżeli ktoś stwierdzi, że na zostanie żakiem trzeba złożyć egzamin — ten dobrze stwierdzi. Faktycznie, trzeba. Sorry (jak mawiają Anglosasi, uwielbiani nad...), ale każda róża ma kolce (jak mawia ob. Żak, sięgając pokłutą dłonią po butelkę „mazowszanki", nic mocniejszego albowiem nie pija). Przepraszam też, jeżeli okazało się, iż na to, aby zostać profesorem, a także ordynatorem, trzeba życie poświęcić na studiowanie i dłubanie, a także „łaski trzeba stać" CKK i RADY PAŃSTWA, nie licząc resortowych ministrów. No cóż, faktycznie „nie ma róży bez kolców", chociaż bywają kolce bez róż.

Do takich oto prac zapraszam każdego, a zwłaszcza każdego sfrustrowanego męczeństwem, niewdzięcznością, odpowiedzialnością, a także poświęceniem się pracy: w MPO, MPK, w budownictwie, dziewiarstwie, mleczarstwie itp., itd. Wszędzie!

JAMNIK (habilitowany)

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„Srebrny Ptak" nad Afganistanem

Tragiczny dla lotnictwa polskiego wrzesień 1932 roku dobiegał końca. 13 września 1932 r. — bohaterska śmiercią lotników zginęli pod Cierlickiem — zwycięzcy tegorocznego Challenge'u — kpt. pil. Franciszek Żwirko i inż. pil Stanisław Wigura, pogrążając w żałobie nie tylko lotnictwo, ale i cały naród polski. Mimo to pozostali lotnicy planowali dalekie przeloty mające przynieść sławę polskim skrzydłom.

Na warszawskim lotnisku Okęcie — w hangarze I pułku lotniczego — stał dwuosobowy górnopłat typu „Lublin R-Xa bis" z cywilną rejestracją: SP-ABW, przyprowadzony lotem przez mjr. pil. **Stanisława Karpińskiego**, z Zakładów Mechanicznych Plage-Laśkiewicz w Lublinie, gdzie w ostatnich dwóch miesiącach był nieco modyfikowany. Po wprowadzeniu drobnych przeróbek w konstrukcji samolotu i osłonięciu silnika pierścieniem Townenda, a kół owiewkami oraz wyposażeniu w metalowe śmigło, maszynę starannie przygotowano — pod kierownictwem jej konstruktora: inż. **Jerzego Rudlickiego** — do dalekodystansowego przelotu. Przy samolocie krzątał się, przydzielony do obsługi silnika przez Polskie Zakłady Skody, doskonały mechanik **Wiktor Rogalski**, który miał towarzyszyć mjr. pil. Stanisławowi Karpińskiemu w gigantycznym locie do Afganistanu.

Srebrny płatowiec z biało-czerwonymi znakami wyglądał imponująco, chociaż nie był maszyną nową, lecz nawet trochę już wysłużoną. Ten egzemplarz samolotu „Lublin R-X" z numerem fabrycznym: 52.7 zbudowano jako jeden z siedmiu samolotów łącznikowych, już w roku 1929, przeznaczając go do dalekich rajdów i znakując cywilną rejestracją: SP-ABW. Przednią część kadłuba osłaniała blacha duralowa, a resztę oraz skrzydła i stateczniki pokrywało płótno. Dziewięciocylindrowy silnik gwiazdowy o mocy dwustu dwudziestu koni mechanicznych, pozwalał na rozwinięcie prędkości maksymalnej do stu osiemdziesięciu, a przelotowej do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i osiągnięcie pułapu czterech tysięcy dwustu metrów, z pełnym obciążeniem. Pojemność zbiorników benzyny i oleju wystarczała na osiemnastogodzinny lot, przy zasięgu dwóch i pół tysiąca kilometrów.

Na tej maszynie z rejestracją: SP-ABW już 28—31 sierpnia 1929 roku mjr. inż. pil. **Wacław Makowski** wraz z mechanikiem **Bolesławem Wiemarem** przeleciał z Poznania do Barcelony i z powrotem, a 3 lipca 1931 roku mjr. pil. **Stanisław Karpiński** z por. inż. obs. **J. Suchodolskim** wykonali lot dookoła Polski bez lądowania, pokonując tysiąc sześćset pięćdziesiąt kilometrów w dwunastu godzinach i pięćdziesięciu minutach. Również w tym roku — od 23 września do 7 października — SP-ABW z tą samą załogą przeleciał sześć tysięcy czterysta pięćdziesiąt kilometrów, w pięćdziesięciu godzinach w locie dookoła Europy na trasie: Warszawa — Bukareszt — Konstantynopol — Rzym — Turyn — Londyn — Warszawa.

Teraz, w 1932 roku, mjr. pil. **Stanisław Karpiński** zaplanował bardzo trudny i niebezpieczny lot, wiodący ponad potężnymi łańcuchami gór, rozciągającymi się setki kilometrów dzikimi skalistymi obszarami, dalekimi morzami oraz rozległymi pustyniami piaskowymi i solnymi, nie dającymi żadnych szans przymusowego lądowania w przypadku awarii silnika lub uszkodzenia płatowca. Do rajdu: z Warszawy przez Stambuł — Aleppo — Bagdad — Teheran — Herat — do Kabulu i z powrotem przez Herat — Teheran — Bagdad — Kair — Gazę (Jerozolima) — Aleppo — Stambuł — Lublin do Warszawy, wybrał właśnie samolot „R-Xa bis" z rejestracją: SP-ABW, ponieważ maszyna niejednokrotnie sprawdziła się w przelotach dalekodystansowych i nigdy dotąd nie zawiodła. Doświadczony dalekimi rajdami powietrznymi mjr. pil. **Stanisław Karpiński**, doskonale wiedział, że powodzenie takiego lotu zależy przede wszystkim od właściwej obsługi samolotu i dlatego, rezygnując w tym przelocie z nawigatora, zabrał ze sobą doskonałego mechanika, który w czasie rajdu należycie zadba o samolot.

„Srebrny Ptak", z wymalowanymi na kadłubie motywami wschodnimi i afgańską antylopą, był już gotowy do lotu, do którego przygotowania zakończono w ostatnim dniu września 1932 roku.

Wczesny, niedzielny ranek 2 października zastał załogę „Srebrnego Ptaka" na lotnisku okęckim. Nad ziemią rozpływała się jeszcze mgła, rozpraszana powoli południowo-wschodnim wiatrem, ale komunikat meteorologiczny zapowiadał na ten dzień doskonałą pogodę. Po pożegnaniu się z rodzinami i najbliższymi przyjaciółmi, lotnicy zajęli miejsca w kabinach samolotu. Punktualnie o godzinie 5.45 nastąpił start do gigantycznego lotu. Maszyna przeciążona paliwem i bagażem, z trudem odrywała się od ziemi i dopiero po ponad trzystumetrowym rozbiegu wzbiła się w powietrze, nabierając wysokości, a kiedy była już nad lotniskiem, pilot zatoczył rundę pożegnalną i odleciał kursem na Deblin.

Po osiągnięciu sześciuset metrów wysokości samolot wyszedł z mgły, która na trasie szybko rozrzedzała się i znikła. Błękit nieba rozświetlało słońce, pogoda sprzyjała załodze samolotu i lot odbywał się spokojnie, bez żadnych zakłóceń aż do Lwowa, za którym wiatr zmienił kierunek na południowy, a więc przeciwny kierunkowi lotu i czołowo smagał maszynę, powodując zmniejszenie szybkości lotu, co zaniepokoiło mjr. Karpińskiego, ponieważ przed zmrokiem zamierzał lądować w Stambule.

Nieco później samolot roztańczył się we wszystkie strony — przepadał w dół z jednoczesnym kołysaniem na boki, aby ponownie wznieść się i po chwili znów tracić wysokość. Przelecieli nad Bukaresztem, kontynuując lot w kierunku Bułgarii. Mimo pięknej pogody „kołysanie" wzmogło się i miało trwać niemal cały dzień.

Upływały godziny męczącego lotu. Po przeleceniu ostatnich wzniesień Gór Bałkańskich samolot znalazł się w pobliżu miasta Kornobat. Słońce chyliło się już ku zachodowi i za trzy kwadranse spodziewano się zapadnięcia zmroku. Sytuacja stawała się dramatyczna. Należało zrezygnować z lotu do Stambułu, gdyż tamtejsze lotnisko nie posiadało żadnych instalacji oświetleniowych do nocnych lądowań. Zaś na dalszej trasie będą jeszcze dość wysokie góry, których forsowanie nocą byłoby bardzo ryzykowne. Trzeba więc lądować na terenie Bułgarii. Ale gdzie? Najbliższe lotnisko znajdowało się w Burgas, nad Morzem Czarnym. Mjr. Karpiński spojrzał w tamtym kierunku, ale nad ziemią rozprzestrzeniała się coraz niższa, gęstniejąca mgła, która sięgała nawet pod lecącego „Srebrnego Ptaka". Pilot, nie mający wyboru, przeleciał wzdłuż południowego podnóża Bałkanów, w kierunku zachodnim, uparcie wypatrując miejsca do lądowania. U stóp wysokiej góry, w pobliżu miasta Sliven, dostrzegł dość rozległe, równe pole, na którym postanowił wylądować. Chociaż teren był usiany mnóstwem kamieni i kamyków — jak wszystkie obszary podgórskie — lądowanie odbyło się szczęśliwie, po jedenastu godzinach przebywania w powietrzu i przeleceniu tysiąca stu pięćdziesięciu kilometrów. Wkrótce na lądowisku zjawił się wojskowy komendant miasta, indagując mjr Karpińskiego o przyczyny lądowania, ponieważ Polak znalazł się na zakazanym terenie fortecznym. Pilot wyjaśnił sytuację i po zakotwiczeniu samolotu, wraz z Rogalskim pojechali samochodem komendanta do miasta na spoczynek.

„Srebrny Ptak" — na lotnisku w Lublinie. Samolot „Lublin R-Xa bis"

Rano załoga SP-ABW odleciała przez Burgas do Stambułu. Piękna słoneczna pogoda sprawiła, że dwu i półgodzinny lot odbył się spokojnie. Na horyzoncie pojawiły się już smukłe minarety i wydęte kopuły meczetów Stambułu. Karpiński, bez trudu odnalazł znane sobie lotnisko Jeszilköj, na którym osadził maszynę. Załogę polskiego samolotu powitał komendant portu oraz kilku lotników tureckich. Był również przedstawiciel naszej ambasady oraz przedstawiciel firmy Shella, zaopatrującej załogę „Srebrnego Ptaka" w benzynę i oleje na całej trasie rajdu, oprócz Afganistanu, gdzie firma nie posiadała placówki.

Po owacyjnym powitaniu, serdecznym przyjęciu i gratulacjach w dniu poprzednim, załogę polskiego samolotu spotkała przykra niespodzianka tego rana. Mjr. Karpiński wraz z Rogalskim musieli iść pieszo na odległe lotnisko, ponieważ zamówiony poprzedniego dnia samochód nie przyjechał. Na lotnisku też jeszcze nikogo nie było. Po godzinnym oczekiwaniu przybył mechanik turecki z kluczem od hangaru. O wiele później zjawił się komendant portu. Zaś po bardzo długim czasie przyszedł funkcjonariusz policji z paszportami obu polskich lotników. Wszystko to sprawiło znaczne opóźnienie startu.

Po dość długim i nierównym rozbiegu na chropowatej, spękanej słońcem nawierzchni lotniska, samolot oderwał się od ziemi. Zaraz po starcie lotnicy znaleźli się we mgle, co zmusiło pilota do zniżenia lotu dla lepszej obserwacji ziemi. Mjr. Karpiński skierował maszynę wzdłuż brzegu Morza Marmara — na wschód — a po przelocie nad Adabazarem zmienił kurs. Pod samolotem rozpościerały się góry Ala Dagh, koloru żółtoszarego, świadczącego o braku jakiejkolwiek roślinności. Obszar nad którym przelatywali stawał się coraz bardziej pustynny i dziki. Po przelocie nad doliną, w której położone jest miasto Eskiszehr, przed samolotem wyrosły góry o wiele wyższe, niż poprzednie. Wreszcie minęli zatokę Iskanderuńską, pozostawiając za sobą granice Turcji. Na przeciwległym brzegu zatoki miasto Iskanderun położone już na terenie Syrii. Nieco później wyłonił się najwyższy w tym rejonie szczyt — Giaur Dag — groźnie sterczący w masie czarnych, ołowianych chmur, nad którym SP-ABW przeleciał z nadwyżką wysokości.

Od Antakji (Antiochii) szła burza. Zachmurzone, ciemne niebo rozjaśniały błyskawice. Wzburzone prądy powietrzne już nie „kołysały", a szarpały samolotem. Pilot oburącz trzymał drążek sterowy, aby sprostać walce z żywiołem. Po kwadransie dramatycznego lotu, załodze „Srebrnego Ptaka" udało się wyjść ze strefy chmur i wkrótce na horyzoncie zauważono rozległe miasto Aleppo, położone nad rzeką Kuweik Su. Pomiędzy rzeką a torem kolejowym lotnisko. Przy dobiegu po kamienistej nawierzchni lotniska w samolocie słychać było nieprzyjemne chrobotanie kół po kamieniach oraz uderzenia kamieni po duralowych owiewkach podwozia. Załoga „R-Xa bis" niesamowicie zmęczona dziewięciogodzinnym lotem i pokonaniem kolejnych tysiąca stu kilometrów pragnęła odpoczynku, tymczasem na ziemi był taki upał, że lotnicy czuli się jeszcze bardziej zmęczeni. Ćwierćmilionowe Aleppo było węzłem kolejowym. Stąd rozchodziły się tory kolejowe do Bagdadu, Bejrutu i Adany.

Upalna i duszna noc była dla zmęczonych lotników koszmarem. Nie wyspani wczesnym rankiem pojechali na lotnisko, przygotować samolot do startu, który tym razem o mało nie zakończył się katastrofą. Południowo-wschodni wiatr zmusił mjr. Karpińskiego do startu pod górę, w kierunku przeciwnym do spadku terenu lotniska, po kamienistej nawierzchni pola wzlotów i w dodatku wprost na zabudowania portowe. Dosłownie pięćdziesiąt metrów przed budynkami udało się mjr. Karpińskiemu oderwać maszynę od ziemi, aby przelecieć tuż nad dachami. Samolot nie miał jeszcze wystarczającej wysokości, gdy znalazł się nad wzniesieniem przy torze kolejowym, gdzie „rzuciło" nim tak silnie, że maszyna ześliznęła się na skrzydło, przepadając bezwładnie ku ziemi. Mjr. Karpiński niezwykłym wysiłkiem, niemal w ostatniej chwili — bo z dziesięciu metrów nad ziemią — poderwał samolot, wyprowadzając go ze ślizgu. Lotnicy przeżyli moment grozy, który zakończył się szczęśliwie.

Pilot wykorzystując pogodę nabierał wysokości, lecąc kursem na Deir ez Zor. Na horyzoncie, jak okiem sięgnąć, rozległa pustynia, przecięta Eufratem. Żółta masa piasku dziwnie błyszczała w słońcu. Na południe od Eufratu, za pozostawionym daleko Deir ez Zor, nad bezbrzeżnymi piaskami pustyni, kręciło się kilka trąb powietrznych, wznoszących się w szybkim ruchu wirowym na wysokość od pięciuset do tysiąca metrów. Zrobiło się ciemno i mglisto. Jakieś potężne prądy powietrzne targały samolotem. Roztańczona maszyna szalała do tego stopnia, że załodze zdawało się, iż każdej chwili runie na ziemię. Pilot „wywindował" maszynę wyżej, aby przelecieć nad burzą piaskową. Nie pomogła wysokość dwu i pół tysiąca metrów, na której powietrze również było przesycone, dławiącym w gardle, pyłem piaskowym. Mjr. Karpiński w obawie zanieczyszczenia silnika, które mogło spowodować zatarcie, podwyższył jeszcze bardziej lot. Załoga odetchnęła z ulgą. Powietrze było naprawdę czyste i zupełnie ustało „kołysanie" samolotu. Zwały piasku niesione przez burzę, przysłaniały ziemię, której nie było widać. Lot w tych warunkach trwał ponad godzinę, a pilot posługiwał się tylko busolą, gubiąc z pola widzenia Eufrat, jako jedyny punkt orientacyjny. Wokoło jednostajne bezkresne obszary pustyni. Mjr. Karpiński znacznie zniżył lot, na próżno wypatrując jakiegokolwiek charakterystycznego szczegółu na ziemi, który pomógłby powrócić na właściwy kurs. Piaszczysta pustynia, nad którą przelatywał, zalegała cały horyzont. Pilot doskonale zdawał sobie sprawę, że zbłądzili, wskazywał na to brak dróg. Intuicyjnie skierował samolot na wschód i po czterdziestu pięciu minutach lotu byli nad Eufratem.

Po przelocie nad miejscowością Ramadi pilot zmienił kurs w kierunku Bagdadu i po pół godzinie lecieli już nad Tygrysem, nad którym leżało miasto kalifów. Przelecieli nad miastem, uparcie szukając lotniska, które znaleźli na lewym brzegu rzeki. Maszyna schodziła do lądowania. Po zniżeniu lotu, z ziemi buchał taki żar, że lotnicy momentalnie się spocili, a mjr. Karpiński, zataczając krąg nad lotniskiem — na wysokości dwustu metrów — dla zorientowania się w kierunku wiatru, miał wrażenie, że zaczyna się smażyć. Nareszcie, po sześciu godzinach morderczego lotu, w którym zdołali przelecieć zaledwie siedemset pięćdziesiąt kilometrów, wylądowali na spękanej słońcem, piaszczysto-gliniastej nawierzchni cywilnego lotniska bagdadzkiego. Pęd obracającego się śmigła podczas kołowania wznosił tumany kurzu i piasku, przysłaniające zupełnie lotnisko. Po wyłączeniu silnika pilot wyskoczył z kabiny samolotu, aby jak najszybciej rozebrać się z kombinezonu, gdyż upał był nie do zniesienia. Obaj lotnicy pospiesznie zdjęli nie tylko kombinezony, ale i część odzieży, pozostając w koszulkach i spodniach. Termometr portowy wskazywał 118°F (fahrenheita), czyli około 43°C.

Rano SP-ABW wystartowała do kolejnego etapu. Podczas rozbiegu mjr. Karpiński prowadził samolot w tumanach kurzu, dławiącego w gardle i osiadającego na szkłach okularów lotniczych, utrudniając widzialność. Kurs na Teheran. Dopiero na wysokości dwóch tysięcy metrów lotnicy odetchnęli i poczuli się rzeżko. Daleko pozostała rzeka Tygrys, gdy samolot przelatywał już nad rozległą, bezludną niziną, aby po kilku godzinach lotu znaleźć się nad wysokimi szczytami gór, nad którymi kłębiły się białe zwały gęstych chmur. Nie mogąc wznieść się wyżej przeciążonym samolotem, pilot zmuszony był kontynuować lot w chmurach. Co pewien czas pod samolotem pojawiała się przerwa w chmurach, przez którą widać było w dole góry. Silne wiatry i wiry górskie sprawiły, że przepadanie lub wznoszenie się samolotu dochodziło do trzystu, a nawet pięciuset metrów, z jednoczesnym spadkiem obrotów silnika, aby po chwili wznieść się nagle o kilkaset metrów wyżej. Wskazówka wysokościomierza skakała, jak zwariowana, to zatrzymywała się na cyfrze: 3.700 albo raptem wskazywała 3.200 metrów i tak trwało długi czas. Towarzyszył temu niesamowity skowyt silnika oraz febryczne, nerwowe drganie zastrzałów skrzydeł. Zdawało się, że lada moment samolot rozleci się. Rogalski nie mając dopasowanych pasów bezpieczeństwa do swego futrzanego kombinezonu, trzymał się konwulsyjnie rękami i nogami kabiny samolotu, aby z niej nie wypaść. Po godzinnym locie, tuż nad miejscowością Hamadan wyszli z chmur, i niespodziewanie znaleźli się wśród licznego stada olbrzymich sępów, co zaniepokoiło lotników. Obawiali się, aby któryś z ptaków nie wpadł pod śmigło, które by go zabiło, ale też mogło być uszkodzone i lot zakończyłby się katastrofą. Szczęściem do tego nie doszło. Góry początkowo niższe, znowu się wznosiły, zagradzając drogę swymi grzbietami do tego stopnia, że pilot musiał szukać przerw między szczytami, aby przelecieć na drugą stronę gór. Po półtoragodzinnym locie w tych warunkach SP-ABW przerwą między górami wydostała się nad dolinę rzeki Szah Rud. Obniżające się góry ułatwiały lot. Kilkadziesiąt kilometrów przed Teheranem, niezliczona ilość rzek i rzeczek przecinała doliny. W dali na horyzoncie, wysokie — sięgające do pięciu tysięcy metrów — góry, a u ich podnóża rozpościerało się miasto. W słońcu błyszczały kopuły meczetów oraz białe dachy domów. Mjr. Karpiński zamierzał lądować na lotnisku wojskowym, ale zbłądził i wylądował — podobnie, jak w Bagdadzie — w tumanach kurzu, na piaszczystym — i jak się okazało — nieczynnym od kilku miesięcy lotnisku prywatnym. Po spostrzeżeniu pomyłki, wystartował i przeleciał nad miastem, gdzie po drugiej stronie było lotnisko wojskowe, na którym wylądował, witany przez lotników perskich. Polaków zaskoczyła wiadomość o przymusowym, dwudniowym pobycie w Teheranie. Wyjaśniono, że przylecieli w czwartek, a w piątek przypada święto muzułmańskie, więc benzyny i oleju nie zatankują wcześniej, jak w sobotę.

W sobotę teherańskie niebo było bezchmurne, przy pięknej, słonecznej pogodzie, ale dął wschodni wiatr, który podczas lotu będzie wiatrem czołowym. Niestety, lotnicy polscy nie otrzymali żadnych komunikatów o pogodzie na trasę do Afganistanu, ponieważ na terenie Persji (obecnego Iranu) nie działała służba meteorologiczna, a teherański jej posterunek prowadził tylko obserwacje miejscowe. Po napełnieniu zbiorników samolotu benzyną i olejem, maszyna była gotowa do startu. Przewidujący mjr. Karpiński wziął na wszelki wypadek osiem czterokilowych blaszanek z olejem Shella, nie będąc pewien czy w Afganistanie posiadają taki olej.

Odległość w linii powietrznej między Teheranem a Heratem wynosiła tysiąc sto kilometrów. Po dość długim rozbiegu samolot oderwał się od ziemi i wzniósł nad lotnisko. Za lotniskiem piętrzyły się wysokie góry Elbrus, gdzie wskutek coraz silniejszego działania słońca i wznoszenia się gór, samolot roztańczył się szaleńczo, podrzucany wiatrami. Po przelocie tego pasma gór lot był spokojny, ale nie trwało to długo, gdyż tuż za miejscowością Niszapur wyłoniło się jeszcze wyższe pasmo gór Mirabi, a działające nad nimi prądy powietrzne tak „rzucały" maszyną, że jej załodze wydawało się, jakby dostała się w piekło. Rogalski meldował przez awiofon o zerwaniu się pasa bezpieczeństwa przy jego fotelu i o tym, że trzyma się kurczowo burty samolotu rękami i nogami, aby nie wypaść.

Po niedługim czasie wydostali się z tego piekła, lecąc nad rozległą doliną, za którą musieli przelecieć trzysta kilometrów nad znacznie wyższą partią gór Siach-Bubu. Po kilku godzinach męczącego lotu nad górami, na horyzoncie błysnęła wstęga dużej rzeki Heri Rud. Teren powoli obniżał się, tylko gdzieniegdzie wznosiły się samotne szczyty. Po siedmiu godzinach lotu przelatywali nad Heratem zadowoleni, że nareszcie kończył się ten dość trudny etap rajdu. Potem jeszcze krótki przelot nad górami, na południe od rzeki, gdzie u ich podnóża leżało długo poszukiwane przez pilota lotnisko, na którym wylądowali.

Długie noże Hitlera

JACQUES NOBECOURT

Pełna grozy nazwa wciąż jeszcze przypomina pierwszą zbiorową zbrodnię reżimu narodowosocjalistycznego, jedyną, za którą Hitler całą odpowiedzialność przypisywał sobie: „Noc długich noży" 30 czerwca 1934 r. Luchino Visconti uczynił to wydarzenie tematem swego „Zmierzchu bogów". Jego pseudowagnerowska interpretacja dobrze oddaje dramat rodziny przemysłowców w obliczu triumfu nazizmu, ale nie pokazuje wiernie wydarzeń. Podejmując temat obyczajowy, Visconti, w sumie, potwierdza pretekst, jakim sam Hitler uzasadniał masakrę „zboczeńców homoseksualnych". Tymczasem masakra ta była wynikiem kalkulacji politycznej.

W istocie tej nocy Hitler wyrównał wewnętrzne rachunki w partii narodowosocjalistycznej. Składając 13 lipca 1934 r. wyjaśnienia w Reichstagu, a sam użyczył nazwy tym wydarzeniom: zapewniał, że przygotowywano „masakrę", aby rozpocząć „drugą rewolucję". Kryptonim masakry brzmiał: „Noc długich noży". Było to zmyślenie albo prawie zmyślenie, niemniej jednak nazwa ta pozostała jako nazwa operacji, którą Hitler uprzedził domniemany bunt, masakrując rzekomych przyszłych „wykonawców masakry".

Adolf Hitler, aby lepiej podkreślić, że użył przeciwko buntownikom ich własnej broni, posłużył się przeciw nim jedną z ich najbardziej odrażających pieśni:

„Hej, ostrzcie długie noże o krawędzie chodnika!
Zatapiajcie noże w żydowskim ścierwie!
Niech się leje krew pod gradem uderzeń,
Sramy na wolność żydowskiej republiki.
Niech nadejdzie godzina odwetu,
jesteśmy gotowi do masowej masakry.
Hohenzollernowie na latarnię!...
W synagodze wisi czarna świnia...
Wyciągnijcie konkubinę z łoża książąt,
Wysmarujcie gilotynę żydowskim tłuszczem!"

Te słowa dobrze oddają klimat wydarzeń: terror przeciwko terrorowi, ciała rzeźników rozprute ich własnymi nożami. Terror ten był zgodny z logiką dążenia do przejęcia pełni władzy: chcąc pokonać przeciwników, prędzej czy później poświęca się szeregowych bojowników.

Jeśli chodzi o Hitlera, to zasadniczy proces rozegrał się między styczniem a lipcem 1933 r. Wyniesiony na fotel kanclerza w wyniku legalnych wyborów z 30 stycznia, udzielił potentatom finansowym i przemysłowcom potrójnego zapewnienia: że wyeliminuje marksizm, odrodzi potęgę wojskową i położy kres demokracji. Podpalenie gmachu Reichstagu dało mu pretekst do zawieszenia swobód obywatelskich i indywidualnych. Reichstag wybrany 5 marca, w którym narodowi socjaliści mają tylko 44 proc. głosów, udziela mu pełnomocnictw dzięki poparciu nacjonalistów. Reszty dokonuje ograniczenie władzy państwa, rozwiązanie związków zawodowych i samolikwidacja katolickiej partii Centrum — w zamian za podpisanie konkordatu 6 lipca 1933 r. Hitler może oświadczyć:

Trzeba zawrócić swobodny nurt rewolucji do pewnego łożyska ewolucji (...) Nie należy zastępować osoby na kierowniczym stanowisku gospodarczym kimś innym, jeśli jest ona dobrym kierownikiem, nawet jeśli nie jest narodowym socjalistą, zwłaszcza kiedy narodowy socjalista, którego daje się na to miejsce, nie rozumie się na gospodarce. Zadaniem narodowego socjalizmu jest zapewnienie ewolucji naszego narodu".

Hitler nie cieszy się jednak pełnym zaufaniem starego marszałka Hindenburga, prezydenta republiki. Ogłoszenie końca rewolucji nie wystarcza, aby zlikwidować obawy konserwatywnych kadr, świadomych, że w czasie marszu narodowych socjalistów do władzy stały się przedmiotem manipulacji. Jeszcze kontrolują armię i gospodarkę, czekając na czyny, które poparłyby słowa. Niezależnie od manewru taktycznego, Hitler liczy, że te kadry pomogą mu uzyskać te funkcje, których jeszcze nie piastuje: szefa państwa i szefa armii. Jeśli posłużyć się terminologią rewolucyjną, kapitalizm obawia się jeszcze tego „socjalizmu", którym chełpi się nazizm.

To Ernst Roehm, były kapitan z okresu pierwszej wojny światowej, oficer „korpusu ochotniczego" (Freikorps), „stary towarzysz broni", przyprowadził Hitlerowi pierwszych zwolenników z kół wojskowych i uczestniczył w puczu 9 listopada 1923 r. Utworzył on SA jako służbę porządkową małej partii politycznej: po 1930 r., werbując bezrobotnych, zbirów, sutenerów, złodziei, lumpenproletariuszy bez konkretnych sympatii politycznych, przekształcił SA w armię ludową, umundurowaną w brunatne koszule i okrągłe czapki z daszkiem, z pałkami w rękach — w główny instrument terroru, który stanowił zasadniczy argument partii narodowosocjalistycznej. Członkowie SA to także lewicy i chór w pogańskiej liturgii, o uproszczonej ideologii, sprowadzającej się do odwetu społecznego na tych, którzy coś mają. Lewicowa siła wewnątrz partii? Niewątpliwie, jeśli się trzymać klasycznych schematów. Roehmowi marzyli się jego ludzie jako armia jakobińska, która zastąpiłaby armię generałów pruskich, jako zbrojne ramię ludu, z nim, Roehmem, jako jedynym szefem.

W połowie 1933 r. on sam i jego ludzie zaczynają odczuwać frustrację. We wrześniu Hindenburg mianował Goeringa generałem, Roehm zaś nadal był kapitanem. Nie urzeczywistniono też nic z programu Hitlera: nie dzielono zysków kapitalistów, nie znacjonalizowano przemysłu ani nie obniżono oprocentowania kredytów rolnych, nie zlikwidowano wielkich domów towarowych. Rozczarowane jest zarówno drobnomieszczaństwo, któremu kazano maszerować w mundurach SA, jak i lumpenproletariat, wyrwany z pijaństwa i zmuszony do zamiatania ulic z przeciwników klasowych. Do tego dochodziła jeszcze jedna kategoria rewolucjonistów, nazwanych „befsztykami": brązowych z wierzchu, czerwonych w środku: przeszli oni do SA bezpośrednio z organizacji komunistycznych, zaraz po ich zakazaniu, i nie należeli do najmniej gorliwych.

Ernst Roehm głosi więc nadejście „drugiej rewolucji", której szermierzem jest nawet Goebbels. *„SA i SS, na których spoczywa wielka odpowiedzialność za rozpoczęcie rewolucji niemieckiej, nie pozwolą, by ją zdradzono wpół drogi. Jesteśmy niezłomnymi gwarantami doprowadzenia rewolucji niemieckiej do końca"*, odpowiedział Roehm Hitlerowi.

Hitler zaś lawiruje. Od czasu do czasu używa słowa „rewolucja". W grudniu 1933 r. mianuje Roehma ministrem bez teki, gratuluje sobie publicznie, że ma takiego „przyjaciela i towarzysza walki". Jednocześnie zaczyna dokonywać zmian, wykorzystując tolerancję okazywaną mu przez Reichswerę, bacząc jednak pilnie, aby nie popaść w zależność od niej. Czy zmuszanie żołnierzy, by na kurtce i czapce nosili orła ze swastyką, było poniżaniem armii? Dla starego żołnierza na pewno tak. Ale Roehm widzi w tym dowód, że armii symbolicznie nadano tę samą rangę, co organizacjom paramilitarnym partii.

Miara się przebiera w chwili, kiedy Hitler posuwa się jeszcze dalej, po mianowaniu von Fritscha szefem kierownictwa wojsk lądowych. 25 lutego 1943 r., zebrawszy wszystkie osoby odpowiedzialne za siły zbrojne, ustala termin pięcioletni dla stworzenia sił zdolnych do zapewnienia obrony Rzeszy i ośmioletni dla doprowadzenia ich do stanu, umożliwiającego prowadzenie wojny ofensywnej. Powiększenie Reichswery o sto tysięcy ludzi wymaga obowiązkowej służby wojskowej, a ta z kolei wyklucza ideę armii ludowej (milicji ludowej) i sprowadza SA do poziomu zwykłej organizacji rezerwistów. Roehm dobrze to rozumie. Opuszczając zebranie postanawia iść dalej swoją drogą, zwiększając uzbrojenie SA.

Hitler zaczyna więc zastawiać pułapkę, która miała zgubić Roehma. W kwietniu zapewnia dowódców armii, że potęga wojskowa Rzeszy spoczywa wyłącznie w ich rękach i że SA zostanie wcielona do nowego Wehrmachtu. W zamian otrzymuje zapewnienie, że zostanie zaakceptowany jako następca Hindenburga na stanowisku głowy państwa.

Równocześnie Goering, szef rządu pruskiego, i Himmler, szef SS, wówczas jeszcze tylko oddziału SA, od dawna już zjednoczeni przeciwko Roehmowi, przystępują do przejmowania policji politycznej przez SS i precyzowania „planu Koliber", przewidującego likwidację tego samego dnia zarówno SA, jak i niektórych innych przeciwników politycznych.

Pośród wezwań do „drugiej rewolucji" i plotek o bliżej nie określonych spiskach, w Berlinie panuje niepokój. Hitler dolewa oliwy do ognia. 3 maja wzywa do rozpoczęcia kampanii — mającej trwać do 30 czerwca — przeciwko „sabotażystom i prowokatorom", „za pomocą środków stosowanych w okresie walki". Dla SA jest zachęta do ponownego podjęcia akcji terrorystycznych.

Wykonuje je tak dobrze, że 7 czerwca Hitler wzywa Roehma i powierza mu stłumienie „akcji narodowo-bolszewickiej", przygotowywanej przez „pozbawione sumienia elementy", które chcą wciągnąć do tego armię. Roehm zapewnia, że się tym zajmie, ale informuje, że bierze zwolnienie lekarskie do końca miesiąca i że w lipcu członkowie SA mają urlop, z zakazem noszenia mundurów, wydanym na polecenie Hitlera. Roehm i Hitler umawiają się na spotkanie 30 czerwca, w Bad Wiessee w Bawarii, gdzie ma się odbyć zebranie szefów SA.

Na prawicy Hitler spotyka się z protestami środowisk konserwatywnych. Daje im wyraz wicekanclerz von Papen w słynnym przemówieniu z 17 czerwca w Marburgu, kiedy domaga się położenia kresu terrorowi i przywrócenia niektórych swobód, w tym wolności prasy. Co gorsza, Hindenburg każe ministrowi obrony Blombergowi powiadomić Hitlera, że ogłosi stan wojenny i przekaże władzę armii, jeśli napięcie będzie się utrzymywać.

Pozostawało zatem przygotować zamach. Ze strony partii Goering i Hess, przez radio i na zebraniach, głoszą zaufanie Niemiec do Hitlera potępiając „bunt w służbie rewolucji". W Reichswerze Blomberg wyklucza Roehma ze związku oficerów i zapewnia o wierności sił zbrojnych wobec „fuehrera Adolfa Hitlera, który wywodzi się z ich szeregów i pozostanie jednym z ich ludzi". 28 czerwca ogłasza w armii stan pogotowia. Wbrew temu, co w swoich pamiętnikach twierdzi część generałów, którzy przeżyli wojnę, nie da się utrzymać teza, że dowództwo nic nie wiedziało o całej sprawie.

Między 28 czerwca i 1 lipca, między Zagłębiem Ruhry a Monachium, Hitler sam bierze sprawy w ręce, zwodząc Roehma do ostatniej chwili. Przybywszy nocą samolotem z Kolonii, osobiście aresztuje go wczesnym rankiem 30 czerwca w hotelu w Bad Wiessee. W eskorcie SS-manów przewozi go do Monachium, do strzeżonej przez wojsko siedziby partii.

Po telefonicznym podaniu Goeringowi, który został w Berlinie, hasła „Koliber", dla wykonania przewidzianych egzekucji, Hitler spędził dzień na redagowaniu komunikatu do partyjnego biuletynu prasowego, depeszy dla agencji prasowych oraz rozkazu dziennego do SA. Dopiero o 5 po południu przyjął Seppa Dietricha, oficera SS, szefa swojej straży przybocznej, który czekał od rana. Polecił mu rozstrzelać siedmiu przywódców SA, aresztowanych rano razem z Roehmem. Następnie udał się do Berlina, gdzie spotkał się z Goeringiem i Himmlerem, którzy złożyli mu sprawozdanie z przeprowadzenia egzekucji przeciwników politycznych: m.in. gen. von Schleichera, byłego kanclerza, gen. von Bredowa, Edgara Junga, współpracownika Papena i Ericha Klausenera, kierownika Akcji Katolickiej.

Egzekucje były kontynuowane 1 lipca w Berlinie i Monachium. Roehma, który odmówił popełnienia samobójstwa, zastrzelili w jego celi w więzieniu Stadelheim dwaj dowódcy SS z obozu w Dachau.

W sumie, uwzględniając porachunki lokalne, ofiarą padło wówczas około tysiąca ludzi, zamordowanych ze szczególnym i świadomym okrucieństwem. Zaraz 2 lipca zniszczono dokumenty dotyczące tej sprawy. Jedynym wyjaśnieniem pozostało to, co powiedział Hitler w swym długim przemówieniu z 13 lipca. Fuehrer zagarnął wszystkie korzyści z masakry. Konformiści wychwalali go za wyplenienie z partii „rozwiązłości", której ilustracją był Roehm. Generałowie zaakceptowali wszystko, nawet śmierć Schleichera, oskarżonego o spiskowanie z Roehmem i ambasadorem Francji, Andre Francois Poncetem. Także Papen ugiął się i wyjechał do Wiednia jako przedstawiciel Rzeszy.

2 sierpnia 1934 r. umiera stary marszałek Hindenburg. Na mocy dekretu ogłoszonego poprzedniego dnia, Hitler łączy w swojej osobie funkcje kanclerza i kierownika państwa. Tego samego dnia von Blomberg podaje do wiadomości nową formułę przysięgi żołnierskiej, którą teraz będzie się składać „Fuehrerowi narodu niemieckiego, naczelnemu dowódcy sił zbrojnych". To połączenie funkcji było przedmiotem referendum 19. sierpnia. „Tak" głosowało 39,9 proc. Jednak 5 mln. Niemców miało jeszcze odwagę powiedzieć „nie".

Wspólnictwo między Hitlerem a dowódcami wojskowymi jest pełne. Kto tu kogo zwodzi? Fritsch wie, Oster wie, i Beck, i młody Stauffenberg, i ci, którzy wraz z nimi, cztery lata później, organizują pierwszy spisek, tym razem rzeczywisty, aby wyeliminować Hitlera. Z pewnością widzą tylko bezpośrednią korzyść: usunięcie pewnej wielkiej siły i jej przywódców, stojących na przeszkodzie utworzeniu nowoczesnej armii.

Rzeczywistymi zwycięzcami są Himmler i SS. W niecały miesiąc po 30 czerwca SS staje się organizacją autonomiczną, podległą jedynie Hitlerowi. SS-mani pokazali, że potrafią mordować na zimno, bez przelewania morza krwi i bez popełniania niezręczności. Kadra SS to ludzie dystyngowani, nie chłopcy od rzeźnika ani alfonsi. Sepp Dietrich, szef straży osobistej Hitlera, i prawie cały jego oddział egzekucyjny, przeżyli wojnę, i dopiero w maju 1957 r. otrzymali wyrok za udział w „nocy długich noży": osiemnaście miesięcy więzienia!

Tylko dwóch generałów w stanie spoczynku zaprotestowało przeciwko zamordowaniu swoich kolegów, von Schleichera i von Bredowa: stary marszałek von Mackensen, odwieczny figurant w mundurze huzarów śmierci, który uczestniczył we wszystkich ceremoniach wojskowych Trzeciej Rzeszy i gen. von Hammerstein, były naczelny dowódca. Po sześciu miesiącach Hitler przyznał wobec nich, że te dwie ofiary zostały „zabite przez pomyłkę" i że przywróci się ich nazwiska w archiwach ich dawnych jednostek. Rehabilitacji tej dokonano jednak po cichu: korpus oficerski zadowolił się tym.

To właśnie 2 sierpnia 1934 r., dla niektórych jego członków rozpoczęły się dramaty sumienia, związane z dylematem, czy składać przysięgę Hitlerowi. Później, znacznie później, kiedy dawni ideologowie narodowego socjalizmu zaczęli pisać pamiętniki, przedstawiając się jako dzielni i zdeterminowani przeciwnicy narodowego socjalizmu, znalazły się tam, co dziwne, akcenty sympatii dla Roehma i jego ludzi, „rewolucyjnej lewicy", wymordowanej „jak robotnicy francuscy przez Cavaignaca lub spartakusowcy przez Noskego". Przywódcy „drugiej rewolucji", ofiary wielkiego kapitału i Reichswery.

Czy dwa miliony członków SA istotnie zagrażały strukturze nowego państwa? Zostali oni przytłoczeni przez cień jaki rzuciła egzekucja przywódców. Oskarżenia o spisek nigdy nie udowodniono w sposób przekonywający. Hitlerowi zaś udało się przesłonić je demonstracją purytańskiego moralizatorstwa, potępiającego homoseksualny bezwstyd. To właśnie zafrapowało Viscontiego: bachanalie męskich ciał, a potem salwy z karabinów maszynowych prosto w te nagie brzuchy, nocą, nad bawarskim jeziorem.

(„LE MONDE")

Seksmobile — nowość przy drodze

WALTER SCHUETT

Kto wieczorem, w porze największego nasilenia ruchu, wyjeżdża z centrum Monachium do zewnętrznych zielonych dzielnic, odkrywa przy zjazdach z autostrad, przy drogach federalnych i krajowych małe i większe kolonie samochodów kempingowych. Palą się tam kolorowe lampki. Pitrasi się tam i pije. Uwijają się tam młode eleganckie dziewczęta w przezroczystych sukienkach albo bikini. Panuje nastrój jak na letnim festynie, w rzeczywistości jednak nie są to przyjęcia. Dziewczęta zapoczątkowały nową tendencję w miłości za pieniądze: rodzące się seksmobile.

Ruchome altany miłosne kosztują od 20.000 tysięcy do 100.000. Wyposażenie od prostego po luksusowe, od stołów plastykowych i serwet nylonowych po aksamit, jedwab i strusie pióra. Telewizor i lodówka należą w większości wypadków do wyposażenia podstawowego.

Dziewczęta jak wędrowni handlarze pojawiają się ze swoimi seksmobilami w punktach skrzyżowań komunikacyjnych. Często kilka korzysta z jednego samochodu kempingowego. W systemie zmianowym oferuje swoje wdzięki klientom — po cenach od 70 do 150 marek.

Przyczyna wystąpienia tej nowej tendencji jest rozporządzenie o dzielnicach zamkniętych. Zabrania ono, „dla ochrony przed zgorszeniem publicznym i ochrony młodzieży", uprawiania prostytucji w centrum miasta, na ulicach publicznych, dworcach, przystankach oraz na mostach i pod mostami. Skutek: coraz więcej dziewcząt trudniących się rozdawaniem łask wędruje na peryferie. Mieszkają w nowoczesnych domach z apartamentami i szykownych własnych domach. Eleganckim małym wozem — zwracające uwagę samochody sportowe nie są już w modzie — pomykają do miejsc, gdzie w danym momencie znajdują się ich seksmobile. Niektóre odbywają jednak również prywatne podróże tym „służbowym samochodem" — albo do domu, albo pod koniec tygodnia na piknik, na zieloną trawkę. Oczywiście z przyjacielem i psem.

To co wyglądało jak wypędzenie z centrum miast, jest już od dawna bombowym interesem: wokół przyczep kempingowych i w przyczepach rojno jak na festynie ludowym, zwłaszcza w godzinach, w których kończą pracę fabryki, biura i sklepy. Klienci, którzy robili coraz mniejszy użytek z klasycznej prostytucji ulicznej albo z burdeli, obecnie trafiają do celu bez nadkładania drogi. Mała, krótka przygoda kusi bezpośrednio w drodze do domu, tuż obok drogi.

— Nasze rzemiosło naprawdę znowu rozkwita — wyznaje z radością i pewnym patosem 24-letnia Michaela — dawniej fryzjerka. Manuela wyciąga się w bikini na swoim miejscu pracy, podwójnym łóżku:

— Atmosfera tu na zewnątrz wśród zieleni jest zupełnie inna niż dawniej w tych szopach w mieście. Naszymi klientami nie są rozwrzeszczane, łoczące łazęgi nocne, lecz — niemal wyłącznie — przyzwoici mężowie, którzy raz na jakiś czas pragną odmiany albo chcą spróbować czegoś, na co nie mają odwagi ze swymi żonami.

O tym, jak bardzo modna stała się płatna miłość na kółkach, świadczy szczególnie wyraźnie Ingoldstaedter Strasse oddalona nawet nie o pięć minut drogi samochodem od legendarnej dzielnicy artystów i uniwersyteckiej Schwabing. Stoi tu zderzak przy zderzaku około 40 seksmobili. Nie widać chłopców z zegarkami wysadzanymi brylantami.

Michaela oświadcza stanowczo: — Sutenerzy tylko tu przeszkadzają. Bez nich wszystko jest o wiele przyjemniejsze. A jeśli rzeczywiście jakiś klient wypada z roli, wówczas uruchamia się na krótko klakson i w ciągu sekund jest otoczony gromadką dziewcząt...

Protesty przeciwko szerzącej się nieustannie modzie na seksmobile dotychczas nie skutkują. Odpowiedni referat w zarządzie powiatu, który normalnie zajmuje się na przykład zakazami parkowania, twierdzi:

— Nie możemy tu wiele zdziałać, samochody stoją przecież najczęściej na prywatnym gruncie.

W Ingoldstaedter Strasse właścicielem gruntu jest Bundeswehra.

Nowa tendencja ogranicza się przede wszystkim do Monachium. Jednak w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci niejedna moda, która tu wzięła początek, rozprzestrzeniała się później w całej Republice Federalnej.

— Można na to różnie patrzeć — powiedział jeden z wyższych urzędników wydziału obyczajowego — ale wydaje się, że prostytucja w przyczepach kempingowych pasuje do obrazu naszych czasów.

Pasuje przede wszystkim do czasów, w których zapanował totalny seks. Sytuacja w tym rzemiośle lubieżności jest różna. Z jednej strony interesy około 70.000 zarejestrowanych prostytutek w Niemczech Zachodnich nie były nigdy tak mizerne jak w tych dniach. Jeden z obserwatorów z Federalnego Urzędu Kryminalnego powiedział:

— Damy te uskarżają się coraz gwałtowniej na to, że odbierają im klientów całkiem normalne gospodynie domowe, które chcą sobie dodatkowo coś zarobić.

Nieznaną liczbę kurewek amatorek ocenia się już na mniej więcej 60 tysięcy. Z drugiej strony powódź wideofilmów budzi w milionach mężczyzn nowe żądze.

— Zaczęła płynąć fala, której skutków nie sposób przewidzieć — twierdzą zgodnie seksuolodzy i adwokaci zajmujący się rozwodami. W Niemczech Zachodnich jest w obiegu przeszło milion kaset porno. Mężczyźni chcą naśladować to, co zobaczyli. Pozornie zacni małżonkowie chcą wypróbować nową pozycję, żonom wciskają do ręki przyrządy do masażu, chcą robić zdjęcia razem żonie i przyjaciółce albo spółkować z sąsiadką, a żona ma się temu przyglądać. Jeżeli mężczyźni spotykają się z odprawą w domu zgłaszając takie życzenia, szukają wówczas przeżyć gdzie indziej. Jeden z adwokatów dortmundzkich mówi:

— Kończy się to coraz częściej sprawą rozwodową.

A przeżycia poza domem są coraz tańsze. W Moenchengladbach jeden z barów werbuje klientów „szlagierem cenowym": „Wszystko za 99 marek i do tego jeszcze ekstra — piwo". W Hamburgu i Berlinie Zachodnim setki dziewcząt obniżyły swoje stawki. A w niektórych burdelach na skraju Monachium taksówkarze którzy przywloką klienta, otrzymują w nagrodę parę marek więcej niż gotowe do usług dziewczęta w pokojach.

Nie ulega wątpliwości, że w burdelach w dotychczasowej postaci walka konkurencyjna stała się niebywale zaciekła. Natomiast około 150 dziewcząt w seksmobilach monachijskich cieszy się coraz większym popytem. Michaela mówi:

— U nas nie ma nabierania, nie ma drogiego szampana. Wchodzi się po prostu do przyczepy, jakby się było na urlopie.

Jest to paradoks, oto potężna władza odpowiedzialna za prawo i porządek chciała ująć w karby prostytucję — ale stworzyła tym samym jedynie nowy, pomyślnie prosperujący rodzaj prostytucji. Poczekajmy, to przekonamy się, co panowie o surowych obyczajach myślą teraz.

(„QUICK")

W kręgu fantastyki

Spioch

GIANNI RODARI

W roku 2222 zastosowanie robotów domowych stało się powszechne. Catrino był jednym z nich. Wspaniały elektroniczny robot żył i pracował u profesora Isidoro Corti, wykładowcy historii na Uniwersytecie Rzymskim. Catrino umiał gotować, prać, prasować, sprzątać w pokojach i w kuchni. Sam dokonywał zakupów, prowadził zeszyt wydatków, włączał i wyłączał telewizor, przepisywał na maszynie teksty profesora, rozcinał specjalnym nożem stronice nowych książek, prowadził auto, a wieczorami opowiadał domownikom wszystkie sąsiedzkie plotki. Jednym słowem był doskonałym mechanizmem. I jak wszystkie mechanizmy nie odczuwał potrzeby snu. W nocy, gdy rodzina Cortich odpoczywała, Catrino, aby się nie zanudzić od bezczynności, raz jeszcze przeprasowywał spodnie profesora, robił na drutach kaftanik dla signory Corti, konstruował zabawki dla dzieci i przemalowywał białe krzesełka. Skończywszy prace, siadał przy kuchennym stole i rozwiązywał kolejną krzyżówkę. To zajmowało mu sporo czasu.

Pewnej nocy, kiedy Catrino męczył się usiłując przypomnieć sobie nazwę rzeki na piętnaście liter, usłyszał cichy gwizd. Przedtem także słyszał te dziwne, przyjemne dźwięki zakłócające nocną ciszę, dolatujące z sąsiedniego pokoju, w którym spał profesor Isidoro. Lecz tym razem dźwięki te wywołały u niego niezwykłe myśli. „Po co, mówiąc szczerze, ludzie śpią? I co przy tym odczuwają?"

Catrino wstał i na palcach poszedł do pokoju dziecięcego.

Dzieci było dwoje: Rolando i Lucilla. Spały zawsze przy otwartych drzwiach chcąc być bliżej rodziców. Na stoliku obok łóżeczka paliła się zielona lampka. Catrino długo się wpatrywał w twarze śpiących. Rolando spał spokojnie, na twarzy Lucilli błąkał się słaby uśmiech. „Uśmiecha się — zdumiał się Catrino. — Zapewne widzi we śnie coś przyjemnego. Ale co można zobaczyć mając zamknięte oczy?"

Robot wrócił do gościnnego pokoju i zamyślił się. „Spróbuję także zasnąć" — postanowił.

Roboty istnieją od kilku stuleci, lecz dotąd żadnemu z nich nie przyszła do głowy tak zuchwała myśl.

„A co, jeśli spróbuję dziś? Nawet w tej chwili?"

Jak pomyślał, tak też uczynił. „Dobranoc, Catrino" — powiedział sam do siebie. — „Miłych snów" — dodał, przypomniawszy sobie, że właśnie tak mówiła co wieczór signora Luisa do dzieci, kładąc ich do łóżeczka.

Catrino zwrócił uwagę, że kładąc się spać gospodarze przede wszystkim zamykali oczy. Usiłował więc pójść ich śladem, niestety, jego oczy nie zamykały się ani we dnie, ani w nocy, bowiem nie miały powiek. Catrino wstał, odnalazł karton, wyciął z niego dwa krążki, przykrył nimi oczy i ponownie wyciągnął się w fotelu. Ale sen nie przychodził, a leżenie z zamkniętymi oczami okazało się wielce męczące. Przy tym nie zobaczył niczego takiego, co zmusiłoby go do uśmiechu. Ciemność i nic więcej. To go zdenerwowało.

Noc minęła na nieudanych próbach zaśnięcia. Ale Catrino się nie załamał i kiedy rano, z nieodłączną filiżanką kawy na tacy, poszedł obudzić gospodarza, postanowił wzmóc obserwacje. Tego dnia zauważył, że zaraz po jedzeniu profesor od razu wygodniej usadowił się w fotelu z gazetą w ręku. Około minuty przerzucał z roztargnieniem strony, ale oto jego powieki opadły, gazeta zsunęła się na podłogę i Catrino ponownie usłyszał przyjemne dźwięki.

„Zapewne jest to owa pieśń nocna" — pomyślał robot. Gdy nadeszła noc i domownicy poszli spać, siadł na fotelu i zabrał się do czytania gazety. Przeczytał ją od pierwszego do ostatniego słowa, włącznie z ogłoszeniami! Ale sen się nie zjawił. Wówczas zaczął liczyć kropki i przecinki na każdej stronie, potem wszystkie słowa na literę „a", lecz i to nie pomogło.

Catrino nie poddawał się i kontynuował obserwację gospodarzy. Pewnego razu, podczas obiadu, usłyszał jak signora Luisa powiedziała do męża:

— Wczoraj wieczorem za nic nie mogłam zasnąć. Musiałam liczyć barany. Wiesz, ile naliczyłam? Tysiąc pięćset dwadzieścia osiem. A mimo to musiałam wziąć tabletkę nasenną.

Catrino przez dwa dni myślał, co to mogło znaczyć, w końcu zwrócił się do Rolando. Zadając pytanie Catrino odczuwał palące uczucie wstydu. Wydawało mu się, że pragnie wydrzeć z niewinnego chłopca ważną tajemnicę.

— Dlaczego liczycie barany, kiedy chcecie zasnąć? Jak to się robi?

— Bardzo prosto. Zamykasz oczy i wyobrażasz sobie, że masz przed sobą stado baranów — odpowiedział Rolando, nie podejrzewając, że zdradza ludzkość. — Potem wyobrażasz sobie ogrodzenie i zakładasz, że baran winien przez nie przeskoczyć. A później już tylko zaczynasz liczyć: jeden, dwa, trzy aż nie zaśniesz. Mnie ani razu nie udało się naliczyć ich więcej niż trzydzieści. A Lucilla kiedyś naliczyła aż czterdzieści dwa. Ale ona tylko tak mówi i jej nie wierzę.

Znając już tak ważną tajemnicę, Catrino ledwo się powstrzymał, by natychmiast nie skryć się w łazience i tam nie zacząć liczyć baranów. W końcu nastała noc. Usiadł wygodnie w fotelu, przykrył oczy gazetą i spróbował ujrzeć barana. Początkowo dojrzał zaledwie biały obłoczek z rozmazanymi konturami. Wkrótce obłoczek zaczął przybierać konkretny kształt, pojawiło się coś przypominającego baranią głowę. Jeszcze później wyrosły nogi, ogon i oto gotowy baran. Gorzej było z ogrodzeniem. Catrino nigdy nie był na wsi i nie wyobrażał sobie co to takiego. Postanowił więc zastąpić je krzesłem. Wyobraziwszy sobie zatem biały taboret, zmusił barana by doń się zbliżył.

— Skacz! — rozkazał.

Baran posłusznie przeskoczył i znikł. Catrino natychmiast spróbował wyobrazić sobie następnego, ale zanim się następny zmaterializował z mglistego obłoku, znikł taboret. Trzeba było zaczynać wszystko od początku. Kiedy już ustawił stołek na miejsce, baran nie chciał za nic przez niego skakać.

Catrino spojrzał na zegarek i z przerażeniem stwierdził, że na stworzenie zaledwie dwóch owiec stracił cztery godziny. Zerwał się i pomknął do kuchni, by ponownie przeprasować zapomniane na krzesełku spodnie profesora Corti.

„No cóż, jednego barana zmusiłem do skoku" — pocieszał sam siebie. — „Nie poddawaj się, Catrino, nie trać wiary w sukces. Jutro barany będą dwa, pojutrze trzy i w końcu zwyciężysz".

Nie będę Czytelnika zanudzać opowieścią o tym, ile wysiłku kosztowała Catrino ta walka z baranami. Jednak po trzech miesiącach naliczył już sto baranów skaczących przez stołek. Sto pierwszego nie dojrzał, gdyż zapadł w słodki sen. Spał zaledwie parę minut, ale że to był sen, nie było wątpliwości. Strzałki na ręcznym zegarku były tego dowodem. Pod koniec tygodnia robot przesypiał już trzy godziny! I po raz pierwszy miał sen. Śniło mu się, że profesor Isidoro Corti czyści mu buty i wiąże krawat. Cudowny, zachwycający sen!

A teraz czas, by powiedzieć, że po drugiej stronie ulicy mieszkał szanowany profesor Tibolli. Pewnej nocy obudziło go palące pragnienie, więc pośpieszył do kuchni, by wypić szklankę zimnej wody. Jednak zanim położył się ponownie do łóżka z przyzwyczajenia zajrzał przez szybę do pokoju gościnnego. A w oknie pokoju gościnnego profesora Tibolli odbijał się pokój gościnny profesora Corti, gdyż okna znajdowały się naprzeciw siebie. I cóż zobaczył zdziwiony profesor Tibolli? W gościnnym pokoju jego kolegi paliło się światło, a robot Catrino spał niewinnym snem niemowlęcia. Wsłuchawszy się Tibolli usłyszał lekki świst dochodzący z pokoju gościnnego profesora Corti. Co za skandal, a na dodatek ten robot jeszcze pochrapuje!

Profesor Tibolli otworzył na oścież okno i tak jak stał, w pidżamie, nie bojąc się przeziębienia, wychylił się na zewnątrz i krzyknął co sił w płucach:

— Alarm! Alarm! Alarm!

W ciągu paru minut cała ulica była już na nogach i w każdym domu z trzaskiem otwierano drzwi i okna. Na balkony wylegli ludzie w nocnych koszulach i pidżamach. Niektórzy, dowiedziawszy się co się stało, wybiegli na ulicę i zaczęli się gromadzić przed domem profesora Isidoro Corti.

Obudzeni krzykami profesor i jego żona podbiegli do okna.

— Co się stało? Trzęsienie ziemi? — zapytali przerażeni.

— O wiele gorzej! — krzyknął profesor Tibolli — Pan śpi na dynamicie, szanowny kolego!

— Proszę pana, ja zajmuję się historią starożytną — odpowiedział profesor Corti.— A w starożytności, jak panu wiadomo, dynamitu jeszcze nie było. Został wynaleziony dużo później.

— Jesteśmy ludźmi spokojnymi i cichymi — dodała signora Luisa. — Nie wadzimy nikomu. Prawda, Rolando wczoraj stłukł piłką szybę u sąsiadów, ale zobowiązaliśmy się do naprawienia szkody. Nie rozumiem więc, czym...

— Pofatygujcie się lepiej do swojego pokoju gościnnego — przerwał jej profesor Tibolli.

Signor Isidoro i signora Luisa w zdumieniu popatrzyli na siebie i poszli do pokoju gościnnego.

Przez ten czas Catrino spał słodko. Na jego metalowej twarzy błąkał się lekki uśmiech. Pochrapywał przy tym, ale tak muzykalnie i rytmicznie, że lekki gwizd i brzęczenie można było śmiało porównać do gry na skrzypcach lub wiolonczeli. Profesor Corti i jego żona stanęli jak wryci.

— Catrino! — ze łzami w oczach zawołała signora Luisa.

— Catrino! — surowo krzyknął profesor Corti.

Na ulicy profesor Tibolli ryknął wcale nie gorzej od policjanta.

— Tu potrzebny jest młotek! Proszę wziąć młotek, przyjacielu i solidnie stuknąć go po łbie. A jeżeli i to nie pomoże, poraźcie go prądem!

Profesor odnalazł w kuchni młotek i uniósł go nad głową robota.

— Ostrożnie! — zaczęła błagać signora Luisa. — Wiesz przecież, ile nas kosztował. Jeszcze spłacamy raty.

Wszędzie — na ulicy, na balkonach, w oknach — ludzie wstrzymali oddechy. W nocnej ciszy uderzenia młotka rozległy się niczym ciosy losu dobijającego się do drzwi. Bum! Bum! Bum!

W końcu Catrino ziewnął, przeciągnął się, zatarł ręce. Ze wszystkich punktów obserwacyjnych rozległo się solidarne „Ach!". Catrino zerwał się i w tejże chwili zrozumiał, że oprócz profesora Corti całe miasto śledziło jego przebudzenie.

— Spałem? — zapytał

W tej samej sekundzie rozległ się ryk syreny. Policja powiadomiona przez zawistną sąsiadkę z naprzeciwka, zjawiła się, by mieć także swój udział w likwidacji tego problemu. Ale problem okazał się prosty i zwyczajny. Zakuli robota w kajdanki, załadowali do samochodu i odwieźli do sądu. Zaspany sędzia skazał nieboraka na dwa tygodnie aresztu.

Sędzia był człowiekiem przebiegłym i doświadczonym. Poradził więc policjantom, by nie rozgłaszali o zajściu. Oto dlaczego następnego dnia żadna z gazet nie poinformowała swoich czytelników o przestępstwie robota. Ale przebudzenie się robota było obserwowane nie tylko przez ludzi. Poruszyło ono inne domowe roboty. Najbliżej zajścia znajdował się Teresio, robot profesora Tibolli. Postąpił rozsądnie i nie wtrącał się do rozmowy pomiędzy swoim panem a profesorem Corti, lecz stojąc w kuchennym oknie chciwie łowił każde słowo. W sąsiednich oknach roboty także nadstawiały ucha. W czwartek, kiedy roboty mają wychodne i zbierają się w miejskim parku, Teresio szczegółowo opowiedział przyjaciołom o niezwykłym zdarzeniu.

— Nie uwierzycie, ale Catrino spał dokładnie tak, jak ludzie. Nawet piękniej. Nie chrapał, jak wielu z nich, a wydawał cudowne, muzykalne dźwięki. To była autentyczna elektroniczna symfonia.

Roboty z ogromnym wzruszeniem słuchały opowieści. W ich metalowych głowach, wypełnionych elektronowym mózgiem przemknęła myśl: „A więc my także możemy zasnąć". Najważniejsze, to opanować system przygotowawczy i wywołać sen. Ale o tym wiedział jedynie Catrino, a on, niestety, siedział w areszcie. Trzeba byłoby jednak czekać, aż Catrino wyjdzie z odosobnienia i wyjawi im sekret.

Wyjście znalazł Teresio. Wiedział, że Catrino przyjaźni się z dziećmi profesora Corti. Mały Rolando, którego zaufanie zdobył Teresio przy pomocy gumy do żucia, powiedział, że widocznie robotowi udało się policzyć barany skaczące przez ogrodzenie.

Tej samej nocy Teresio spróbował powtórzyć eksperyment Catrino. I od razu osiągnął sukces. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Największe trudności mają zawsze pionierzy. Reszta kroczy wydeptanym szlakiem.

Trzy noce później mieszkańcy miasta zostali wyrwani ze snu niezwykłą muzyką: tysiące robotów ułożywszy się w fotelach, na marmurowych kuchennych stołkach, na balkonach wśród pachnących groszków i geranii, na dywanach spało i bardzo melodyjnie pogwizdywało przez sen. Policja oszalała odbierając telefony. Ale nie mogła przecież zaaresztować wszystkich robotów w Rzymie! I skąd wziąć tyle więzień?

Sędzia, który skazał Catrino na dwa tygodnie aresztu, występując przed kamerami tv, zaproponował władzom by podpisały umowę z robotami. Właściwie władzom nic innego nie pozostało. Przecież nie ma sensu powoływać ostrego pogotowia policyjnego i ogniowego wyposażając je w młotki. Zresztą od stuku młotków nikt by nie mógł zmrużyć oka.

Władze musiały więc podpisać umowę z robotami. Po Rzymie przyszła kolej na Milano, Turyn, Marsylię, Londyn i Timbuktu.

Kiedy Catrino opuścił areszt, spotykał się z dziesiątkami albo nawet setkami tysięcy robotów. Wszyscy skandowali: „Niech żyje bohaterski Catrino!" i głośno bili brawa. A Bibaldi, domowy robot dyrygenta orkiestry tramwajarzy, ułożył w związku z tą uroczystością przepiękny hymn:

Catrino, to jest ten,
Co wynalazł cudny sen.
Każdy robot teraz wie
Jak przyjemnie jest we śnie.

Z hymnem na ustach i okrzykami „Eviva!" roboty przemaszerowały starożytnymi ulicami Rzymu. A, nie pamiętający już o przykrościach, mieszkańcy solidarnie bili im brawo.

Zresztą, jeśli w Rzymie jest jakaś świętość i nietykalność, to jest to sen. Rzymianie lubią spać w nocy, lubią spać także w dzień, ale najbardziej lubią pospać po obiedzie. Pewien bardzo solidny uczony przeanalizowawszy historię Catrino, wyłożył swoją opinię na 2.400 stronach, bogato ilustrując całość barwnymi fotografiami.

Znakomitym zakończeniem tych głębokich badań jest następujący passus:

„Jedynie w Rzymie, w mózgu elektronicznego robota, mogła zrodzić się idea o wynalezieniu snu. W żadnym innym mieście na świecie nie ma i być nie mogło tak sprzyjających warunków dla tak oryginalnego odkrycia".

Nie wchodzić!

ANTON DONEW

Na masywnych, obitych blachą drzwiach pisało w trzech językach: „Czwarty wymiar. Wejście surowo wzbronione".

Profesor Schmidt zatrzymał się tracąc oddech. Za sobą słyszał tupot i krzyki prześladowców. Aż trudno uwierzyć, że jego, profesora, do tego Niemca i to wcale nie komunistę, a wręcz przeciwnie, może prześladować policja. I za co? Za gwałt na jakiejś głupiutkiej dziesięciolatce, która nim osiągnie pełnoletność, zdąży o tym zapomnieć na dobre. Profesor Schmidt z przyjemnością złożyłby skargę do wyższej instancji, ale w tej chwili nie było na to czasu.

W głębi tunelu pojawiły się światełka. Zbliżali się policjanci.

W tym przeklętym tunelu, wydrążonym Bóg jeden wie kiedy i przez kogo, pochwycą go jak szczura. Profesor przeczytał raz jeszcze napis nad drzwiami, ale jego analityczny mózg nie zareagował na dziwne słowa i ręka sama schwyciła za klamkę.

Mimo masywnego wyglądu drzwi otworzyły się zadziwiająco lekko. Tupot zbliżał się. Kilka kul przeleciało tuż obok głowy i przepadło w połyskującej przestrzeni. Schmidt pojął, że sytuacja jest niebezpieczna, więc wykonał krok, potem drugi i...

Początkowo przed oczami zawirowały kolorowe koła.

— Piłem, czy co? Nie, nie piłem — powiedział do siebie. — Więc cóż to za fantasmagorie?

Po chwili spadła nań fala różnorodnych dźwięków, wśród których wyróżniały się wyzwiska w języku angielskim. Mgła zniknęła i przed profesorem pojawił się dryblas, który poruszał głową, przeklinał wszystkich swoich krewnych, a także znajomych i nieznajomych.

— Co za idiota rzucił we mnie kawałkiem żelaza? — Człowiek zbliżył się do Schmidta. — Dlaczego nie zostawi pan w spokoju uczciwego Jankesa, nie pozwoli mu przespać życia jak człowiek?

— Proszę wybaczyć, sir — przyjaźnie uśmiechnął się profesor. Zawsze się uśmiechał, kiedy słyszał język angielski. — Przed chwilą strzelano do mnie, więc być może jakaś kula...

— Kula? Nonsens! A może pan jest stamtąd?

Schmidt przytaknął. Amerykanin ryknął, schwycił go za ręce i zaczął gdzieś wlec.

— Zdarzyło się to po tamtej stronie? Proszę mówić! Kierunek! Szybko!

Schmidt odwrócił się, by wskazać drzwi, przez które tu wszedł, ale za nim była pusta przestrzeń, nie kończąca się naga równina.

— Gdzieś tu... Przecież nie zniknęły...

— Dureń! — krzyknął Amerykanin. — I ten jak wszyscy! Wszedł pan przez drzwi?

— Tak.

— Co na nich pisało?

— Czwarty wymiar... — profesor nagle przypomniał sobie, że przez dziesięć lat wykładał fizykę na Uniwersytecie Bońskim. Zaraz, jak to tak: czwarty wymiar? Czyżbym się w nim znalazł?

— A może myśli pan, że jesteśmy w cukierni? — z ironią zauważył Amerykanin.

— Genialne! Wspaniałe! To znaczy, że odkryliśmy czwarty wymiar!

Schmidt był zachwycony. Już sobie wyobraził jak powraca do Bonn, jak prowadzi wykład o wymiarze, który od tak dawna był poszukiwany, jak otrzymuje honoris causa ze wszystkich możliwych uniwersytetów, jak w końcu daje prztyczka po nosie temu przeklętemu Fiedorence z Moskwy...

Amerykanin obserwował go z uśmieszkiem.

— Pan rzeczywiście jest idiotą. Z czego się pan cieszy? No i dobrze, że odkrył pan. Przed panem trafiła tu setka ludzi. Chyba nie sądzi pan, że jest pierwszym, który dotarł do tych drzwi? I gdzie tu sens?

— Co pan wygaduje? O czwartym wymiarze się pisze, prowadzi dyskusje, a to byłoby nowym bodźcem dla rozwoju nauki...

— Jakiego rozwoju? W końcu jaki pożytek może mieć pan osobiście, skoro nie można stąd wyjść?

Profesor rozejrzał się i dopiero teraz poczuł strach. Znajdował się na gołej równinie. Gdzieniegdzie było widać cienie spacerujących ludzi. Ale nigdzie nie było nawet śladu wejścia, przez które się tu dostał. W końcu zaczął pojmować, co do niego mówi Amerykanin. Okazało się, że był on inżynierem i trzy lata temu otworzywszy drzwi wszedł, by zobaczyć, co jest za nimi. Pozostali trafili tu wskutek ludzkiej przywary polegającej na wsadzaniu nosa tam, gdzie wisi wywieszka „Wejście wzbronione".

Do tej pory inżynier stwierdził tylko, że tak samo jak czwarty wymiar jest nieosiągalny dla trzech pierwszych, tak one są mu zupełnie nieznane. A więc jeśli drzwi, tunel, a nawet powietrze w nim należą do innych wymiarów, to dla wszystkich ludzi tu znajdujących się praktycznie nie istnieją.

— Być może w tym momencie nadeptujemy na ukochany odcisk królowej angielskiej lub jakiś tam cadillak miażdży pańską wątrobę, nie ma to żadnego znaczenia dla obu stron. Ważne jest to, że my obaj, będąc tu, nie wiemy, ile jeszcze czasu to wszystko potrwa, no i jesteśmy bezradni.

W czwartym wymiarze nie istniał czynnik czasu. To ucieszyło profesora. Nie tak dawno spożył obiad i przez to pozostanie najedzony do końca swojego tu pobytu. Do końca? A kiedy nastanie ten koniec?

Amerykanin trochę go uspokoił zademonstrowawszy parę sztuczek z czwartego wymiaru. Na przykład zaprowadził go do punktu, w którym schodziły się wszystkie proste równoległe. Wyjaśnił, że tutaj promienie świetlne rozchodzą się wzdłuż linii krzywej i dlatego, kiedy słońce jest w zenicie, zapada noc, a kiedy zaczyna zachodzić — ponownie się rozwidnia. Zademonstrował istnienie przyciągania we wszystkich kierunkach: przeszedł się spokojnie na wysokości trzech metrów z głową w dół. Nawet przeprowadził mały eksperyment, w wyniku którego obalił spoistość materii: oto wcisnąwszy w brzuch rękę, przez plecy podrapał lewą łopatkę.

— Czym się tu zajmujecie? Jak żyjecie? — usiłował wypytać Schmidt.

— Nudzimy się, profesorze. Nauczyliśmy się już wszystkich sztuczek. Otworzyliśmy fakultet fizyki dla nowo przybyłych, ale dziś wszyscy oni mają już tytuły profesorskie. Nie wiem, co dalej, bowiem nikt, jak dotąd, nie przyniósł ze sobą bodaj jednej talii kart. Wymyślamy różne głupstwa. Dziś wieczorem, na przykład, pójdziemy na koncert na leukoplast z orkiestrą.

— Ależ tu nie ma...

— Oczywiście, że nie ma. Dlatego to jest ciekawe. Nie ma orkiestry, ale z braku leukoplastu my tego nie dostrzegamy. A koncert się odbędzie. Już wyznaczono dyrygenta, krytyka, dyrektora...

Profesor Schmidt popatrzył na Amerykanina. Zaczął się obawiać, czy nie rozmawia przypadkiem z wariatem. Ale, że lepiej znał się na fizyce niż na medycynie, zdecydował, iż o wszystkim zadecyduje czas. Czas? Do diabła, przecież czas nie istnieje! Ci ludzie zniknęli dla otoczenia, zostali zakonserwowani na wieki. A dzięki swym nie kończącym się przestrzeniom czwarty wymiar może pomieścić tyle ludzi, że w pozostałych trzech wymiarach pozostanie... Stop!

Nagle genialna myśl rozjaśniła łysą czaszkę profesora. Otworzył usta w podziwie dla samego siebie, aż z kolei Amerykanin pomyślał, że profesor postradał zmysły.

Ależ tak! Oczywiście! Przecież to genialne! Można tu zebrać tylu ludzi... tylu zbędnych ludzi... i nie trzeba ich karmić, ani zabijać, ani grzebać... Cóż znaczą Oświęcim i Mautchausen w porównaniu z nieograniczonymi możliwościami czwartego wymiaru? Nadejdzie dzień (wszystko przecież zmierza ku temu), kiedy znów będą potrzebne obozy i dla Żydów, i dla bolszewików, i dla Amerykanów, i dla wielu, wielu innych. A wówczas on, Hans Schmidt, będzie wielki, większy od wynalazcy bomby wodorowej. Jego imię będą podawać z ust do ust, a jeśli mu jeszcze pozwolą od każdego skazanego przekraczającego przeklęte drzwi, pobierać minimalną opłatę, wówczas...

Profesor Schmidt aż zatańczył z radości na piasku pustyni. Amerykanin długo na niego spoglądał, w końcu machnął ręką i poszedł na koncert na leukoplast z orkiestrą. A Schmidt szczęśliwy i zadowolony, siadł na ziemi i nie mając żadnych innych możliwości zaczął palcem kreślić na piasku wzory i dokonywać obliczeń. Należało rozwiązać wcale nie tak trudny problem: ponownie odkryć trzy pierwsze wymiary, wrócić do nich, opisać je, zebrać laury.

Jak dotąd informacji o powrocie profesora nie było. Żydzi, komuniści i inni ludzie niższego gatunku mogą spać spokojnie!

Tłumaczył:
IWA

1

Spojrzenie znad szachownicy

Mały testament

(CIĄG DALSZY)

Jak widać ciągle jeszcze nie wyjechałem na ten idiotyczno-zagraniczny urlop i mimo pomyślnych rokowań wciąż jeszcze szlag mnie nie trafił, nietrudno będzie się jednak rozeznać, kiedy nastąpi jedno bądź drugie. Zamilknę bowiem i jeżeli w jakimś kątku ukaże się równocześnie sympatyczny nekrolog — będzie to znaczyć, że ku powszechnej uldze zamilkłem ostatecznie. Jeżeli się nie ukaże, no to trudno — wrócę i znów zacznę gledzić o szachach bądź czymkolwiek innym, choć obiecuję sobie solennie, że spoważnieję i nie będę już byle czego wypalał. Dziś proszę jeszcze o kredyt — dokonuję przecież wstępnych obrachunków ze zmarnowanym, że tak powiem, życiem.

2.

W zasadzie chciałem wypocić coś o „Seksmisji", człowiek który nie obejrzał tego filmu nie liczy się bowiem towarzysko, *zaś dziennikarz, który nie wypowiedział się o nim* na jakichkolwiek łamach — nie liczy się żurnalistycznie. Tylko zupełny cham i prostak nie ma własnej opinii w tym przedmiocie i jeżeli chodzi o tak zwane publicity „Seksmisja" jest tematem kulturalnym numer 2, zaraz po powieści „Raz w roku w Skiroławkach"

Tak nawiasem mówiąc trzymam zakład o zgniłe jajko przeciwko całej herbacie Chin — jak mawiał bohater pewnej sympatycznej powieści kryminalnej — że najdalej w roku przyszłym o Skiroławkach napisana zostanie praca magisterska, jeżeli nie doktorska. Kusi po prostu mnogość dostępnych, przyjemnych w cytowaniu publikacji — bibliografię otwiera sławny felieton Passenta zamyka zaś (podaję stan z ubiegłego tygodnia) artykulik „Skiroławki i recenzenci" pomieszczony w 33 numerze „Rzeczywistości". Spisuję tę informację ze strony tytułowej pisma, ponieważ — przy całej prywatnej sympatii dla Nienackiego — nie mam już sił żadnych polemik czytać; może potem, jak wyjdziemy z kryzysu, odrobię te zaległości.

3.

Natomiast na „Seksmisję" i owszem, poszedłem. Był to błąd ponieważ zobaczyłem zupełnie co innego, niż spodziewałem się zobaczyć. Misja jest, seksu nie ma, choć z fotosów wynikałoby inaczej. Konstrukcja trochę rozchwiana, dowcipów — zwłaszcza dialogowych — jakby mało, jednak ludzie wala i chętnie przynoszą do kasy swoje własne, prywatne pieniądze, co w sumie jest zjawiskiem optymistycznym.

O to, czy jakaś książka, sztuka bądź film są udane, czy nie bardzo — możemy się bowiem spierać i nikt nigdy nie powinien być pewien swojej racji. Liczby natomiast są obiektywne i okrutne, nie mówią nam wprawdzie o wartości dzieła, lecz mówią o jego popularności i niezafałszowanych gustach widzów. I fakt że powieść Nienackiego rozkupiono na pniu, zaś na „Seksmisję" długimi tygodniami nie można było dostać biletów trzeba w pokorze uszanować.

4.

Wykręcam się ogólnikami, a nawet truizmami, noszę jednak w sobie cierń, bolesną zadrę którą radbym niniejszym publicznie wyrwać rozładowując zadawniony kompleks. Państwo będą uprzejmie robić zbiorowo za psychoanalityka, a ja udam, że rozwalam się na kanapce i opowiem jak było.

Zostawszy dziennikarzem, nie zaś szachistą — co do dziś uważam za posępną głupotę i co trochę pluję sobie w brodę — zacząłem rozglądać się za jakąś miłą, możliwie nie fatygującą specjalnością. Dziś wiedziałbym, za co się zabrać, ale wówczas byłem młody i głupi: zajmowałem się już teatrem, pomyślałem więc również o filmie. Działem tym zawiadował natenczas w „Odgłosach" mój kolega E. — przyobiecałem mu tedy felieton, a on ochoczo przystał.

W tekście inauguracyjnym napisałem prawdę i tylko prawdę. Przyznałem, że do kina chodzę rzadko i niechętnie, na filmie się nie znam i do podobnej wiedzy nie tęsknię. Wszystko to, wywodziłem, czyni mnie szczególnie predysponowanym do objęcia odpowiedzialnej funkcji recenzenta, wolny od towarzyskich układów, balastu erudycji, a nawet znajomości dzieła jak nikt inny potrafię bowiem zachować bezstronność i należyty obiektywizm.

Dołożyłem do tego parę dowcipów, podpisałem literkami i wręczyłem E., który — wprost zachwycony — wysłał to dzieło do drukarni. Niestety! Ówczesny naczelny — człowiek skądinąd rozsądny i sympatyczny — nie wiedzieć po co zaczął przeglądać tak zwane odbitki szczotkowe i zrobił piekielną wprost awanturę. Twierdził, że E. i ja najwyraźniej chcemy zrobić balona z niego oraz czytelników, że to nie Prima Aprilis, jak nam nie wstyd i inne takie rzeczy.

W rezultacie felieton się nie ukazał, nie zostałem filmowym recenzentem, popadłem w kompleksy i nawet teraz, po latach, nie mogę wydukać, co tak naprawdę o „Seksmisji" myślę. Być może mała to szkoda, być może wielka. Rozmiar jej zdołalibyśmy ustalić tylko w innej, równoległej rzeczywistości; w tej rzeczywistości za stan polskiego, a także światowego kina, nie ponoszę natomiast żadnej odpowiedzialności. I wszelkie ewentualne pretensje proszę kierować pod całkiem innym adresem.

JERZY P.

2

Lewym okiem

Rozglądajmy się bliżej siebie!

Astronomowie w obserwatorium Berkeley w Kalifornii twierdzą, że Słońce ma w przestrzeni jakąś nie odkrytą dotychczas towarzyszkę, gwiazdę-karła o masie przypuszczalnie dziesięć razy mniejszej niż słoneczna. Twierdza też, że to właśnie ta gwiazda jest winna temu, że życie na naszej Ziemi co jakiś czas ulega radykalnym zmianom.

Astronomowie obliczyli już nawet ów „jakiś czas", a potwierdzenie swej hipotezy znajdują w innych dyscyplinach nauki. Tak na przykład geologowie ustalili, że w odstępach około 27 milionów lat spadają na ziemię szczególnie obfite ilości meteorytów. Jednocześnie paleontolodzy, badający pradawne ślady życia na naszej planecie, odkryli, że w tych samych czasokresach giną z powierzchni ziemi całe gatunki istot żywych, a pojawiają się nowe. Stąd wniosek, że co 27 milionów lat tajemnicza gwiazda zbliża się do Słońca, „uruchamia" całą masę komet wewnątrz naszego systemu planetarnego, bombarduje Ziemię lawiną meteorytów i niszczy istniejące formy życia. Taki przelot, równający się niewyobrażalnym kataklizmom na Ziemi, trwa zresztą każdorazowo prawie milion lat, nic tu nie dzieje się nagle, to tylko nasza wyobraźnia tak sobie usiłuje przyswoić te kosmiczne teorie.

Ponieważ wiek Ziemi i Księżyca ocenia się na około 4.700 milionów lat, łatwo wyliczyć, że w tym czasie planeta nasza poddana była 174 razy kosmicznej katastrofie o niewyobrażalnym przebiegu. Sto siedemdziesiąt cztery razy prawie wszystko zaczynało się od nowa. Jeśli astronomowie znajdą swoją „gwiazdę śmierci" i bardziej uprawdopodobnią swą hipotezę — nie trzeba będzie dänikenowskich teorii o wizytach kosmitów: niewytłumaczalne relikty prahistorii dadzą się wyjaśnić teorią kataklizmów.

Według tej teorii jesteśmy w tej chwili w połowie cyklu, mamy więc trzynaście milionów lat na spokojne współistnienie i na wszystkie uroki ziemskiego życia. Co do mnie to perspektywa ta całkowicie mnie satysfakcjonuje, choć z drugiej strony niepokoi myśl, co ludzie mogą przez ten czas nawyprawiać, skoro wystarczyło im marnych parę tysięcy lat na tyle krwawych rzezi i awantur, którym żadne gwiazdy nie zapobiegły.

Jak się rozejrzeć po świecie i po wszelkich próbach jego wyjaśnienia to widać, że wszystkie zjawiska, te mikroskopijne i te kosmiczne, poddane są tysiącom nakładających się na siebie i krzyżujących się rytmów, cyklów, powrotów. Wszystko pulsuje, drga, miota się i nie można sobie wyobrazić wyjścia poza to pandemonium. Już nawet mamy zarejestrowane, legalne firmy usługowe, wysyłające za opłatą tablice biorytmiczne, z których ma wynikać, w jakie dni miesiąca i tygodnia klient jest najsprawniejszy umysłowo, kiedy finansowo, a kiedy romansowo, w jakie zaś nie powinien podejmować żadnych działań, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Nie wiem, co się robi, kiedy komuś wypadnie największa aktywność w soboty, wolne od pracy, myślę zresztą że w naszych biorytmach przeważają dni negatywne, takie do siedzenia przy piwie.

Najgorzej dzieje się bambusom. Pisał niedawno „Przekrój" o ich wielkiej żywotności i wytrzymałości. Nie pisał natomiast, że istnieje wiele gatunków bambusów ogarniętych „samobójczym cyklem". Mianowicie w pewnych rejonach niektóre gatunki tej rośliny co 33 lub co 66 lat masowo giną — nie wiadomo dlaczego. Okaz takiego gatunku, przesadzony na drugi koniec świata, „solidaryzuje się" ze swoimi krewnymi i ginie w tym samym czasie co oni. Skąd wie, kiedy ten czas nadchodzi? I gdzie szukać przyczyny tego zjawiska — znowu w nie odkrytych gwiazdach?

Póki co, rozglądajmy się raczej bliżej siebie. Zanim zaczną spadać nam na głowy kawałki gwiazdy śmierci, mamy jeszcze sporo do zrobienia, do naprawienia — i do popsucia. Zacznijmy wreszcie cykl naprawy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Pierwszy dzień lata w mieście

Pewna pani, o której Tadeusz Sznuk w „Lecie z radiem" mówi: — nasza reporterka, usiłowała mnie przez pewien czas przekonywać, że „nie ma wakacji w kulturze". I byłbym nawet uwierzył. Ale na szczęście mój przyjaciel Leszek G. namówił mnie na wakacje w mieście.

— Stary — powiedział — patrz, teraz wszyscy pędzą albo nad morze, albo w góry, albo nad jeziora, albo za granicę. W pociągach tłok, brudno, mordęga. Z pogodą też różnie bywa. Pojedziesz do Zakopanego i spotkasz tam prawie wszystkich znajomych. Pojedziesz do Międzyzdrojów — to samo. Pojedziesz do Kołobrzegu — też. A w mieście... Nie wyobrażasz sobie. Spokój. W tramwajach luźno. W sklepach kolejki krótkie, albo wcale...

Uwierzyłem. Postanowiłem spędzić urlop w mieście.

No — powiedziałem sobie — teraz, to mam czas na wszystko. Całe 26 roboczych dni oraz kilka niedziel. I postanowiłem pójść do teatru.

Sięgnąłem po gazetę, aby zobaczyć, co też dają dziś w teatrach. Ale w gazecie pod tytułem „Teatry" widniał smutny napis: „Wszystkie teatry nieczynne".

No, tak — pomyślałem — artyści też ludzie, muszą wyjechać latem nad morze, w góry, nad jeziora lub wręcz za granicę. Przez jedenaście miesięcy zarabiają, żeby dwunastego móc wydawać. Odpoczynek im się należy.

Ale w ogóle jak to jest. Przecież urlop, to nie bagatelka. Kosztuje a kosztuje, kupę forsy trzeba wydać. Ludzie narzekają, że mało pieniędzy mają, ale w lipcu czy sierpniu wszyscy jak jeden mąż i jedna żona jadą na urlop. No, ale ja temu pędowi nie uległem i spędzam urlop w mieście.

Postanowiłem zatem pójść do kina. Sięgnąłem po gazetę, aby przekonać się, co też nowego na ekranach kin w sierpniu. Poza „Dzieckiem Rosemary" nic nie znalazłem. Pracownicy kin też ludzie i latem muszą wypoczywać na urlopie.

Lato w ogóle mamy jakieś takie głupie. Krótkie jakieś. Właściwie tylko dwa miesiące i wszyscy muszą w tym czasie mieć urlop.

Może by zatem przedsięwziąć letnią wyprawę do Warszawy. Wiadomo stolica, tam życie musi być inne. Sięgnąłem po „Życie Warszawy". No i proszę! W „Powszechnym" dają „Kartotekę", w „Syrenie" — „Kłopot z dziewczyną perkusisty", a w Operetce — „Hrabinę Maricę". W kinach natomiast tak jak u nas nic nadzwyczajnego. Natomiast „Życie Warszawy" prowadzi rubrykę: „Restauracje". Można się z niej dowiedzieć, że jak wcześnie to na dancing do „Akropolu" (Smolna 8/10) od 16 do 21, a później do „Domu Chłopa" — od 20 do 2. Tylko że taka wyprawa oprócz dobrego zdrowia wymaga jeszcze dobrze wypchanego portfela. Zostaję w Łodzi. W Łodzi zresztą też są knajpy...

W końcu można poleżeć na tapczanie i poczytać książkę. Poszedłem więc do księgarni po nowości.

— Słyszałem — powiadam do sympatycznej księgarki — że pan Władysław A. Serczyk napisał książkę o cesarzowej Katarzynie II, a Ossolineum tę książkę wydało. Czy mógłbym ją dostać?

Pani popatrzyła na mnie jakoś dziwnie, ale odpowiedziała grzecznie.

— Już nie ma.

— No, tak. Ale wiem, że MON zapowiedział książkę o genezie Powstania Warszawskiego. Czy mogę...

— Jeszcze nie mamy.

— To może jakiś kryminał — spasowałem.

— Były ostatnio trzy, ale już nie ma.

— A co mógłbym dostać?

— To co pan widzi na ladzie.

Nic dla siebie interesującego nie znalazłem.

Wieczorem usiadłem wygodnie w fotelu i włączyłem telewizor. Obejrzałem reportaż o żniwach. Jakieś wizyty, jakieś narady. Na całym świecie wakacje, tylko górnicy w Anglii strajkują. Potem był film, ale jakoś go nie pamiętam, bo usnąłem. Przynajmniej wyspać się człowiek może spokojnie.

Tak mi minął pierwszy dzień urlopu. Boże, pozostało mi jeszcze 25 dni roboczych i kilka niedziel. Co ja z tym czasem zrobię? Chyba gdzieś wyjadę. W tłumie człowiek jakoś przyjemniej się nudzi. Więc nad morze czy w góry? A czy to nie wszystko jedno.

ZENON POROWATY

4

Swojska narkoza

Kiedy nadeszły upragnione dni prawdziwego lata, pozdejmowaliśmy cieplejszą odzież, ale wielu „zapomniało" (!!!) umyć się. Wystarczy znaleźć się w tłoku, w tramwaju, autobusie, kolejce — to nie tylko kwestia upałów, wzmożonego pocenia się! Przeciętny Polak zażywa kąpieli raz w tygodniu i z taką samą częstotliwością zmienia bieliznę.

Najlepiej wiedzą o tym lekarze, którym przychodzi często badać „nie przygotowanego" na taką ewentualność pacjenta, chociaż i wśród tych co wybierają się z wizytą zdarzają się brudni. Szczególnie skarżą się na uciążliwość zawodu ginekolodzy, twierdzą, iż za fetor bijący od pacjentek powinni dostawać mleko na odtrutkę, albo przynajmniej przy każdym gabinecie należy uruchomić kabiny z natryskami, bidety itp.

Myć tylko przed wejściem na fotel!

Ewenementy zdarzają się także stomatologom. Historia niewiarygodna, niestety autentyczna. Na ucisk protezy, swędzenie skarżył się pewien adwokat w podeszłym wieku. Z jej wyjęciem dentysta miał spore kłopoty. Lecz kiedy się udało, dostał torsji. Z sąsiednich gabinetów uciekali lekarze, pacjenci, smród bił w niebo, po obnażonych dziąsłach pełzały robaki...

Kiedy jeszcze nie tak dawno obowiązywała reglamentacja mydła — pół kostki i 30 dkg proszku na miesiąc — o dziwo mało kto się skarżył, słyszało się jedynie, że przydziały mięsa, masła są za niskie, ale o środkach czystościowych nikt nawet nie wspominał. Owszem wykupywano je obowiązkowo, tak samo zresztą jak przydziałową butelkę alkoholu, dla wielu były to towary handlu wymiennego... Zapotrzebowanie wyliczono przecież kierując się zużyciem, które w rzeczywistości jest żenująco niskie. Na statystycznego Polaka przypada rocznie jedna tubka pasty do zębów, tenże sam statystyczny obywatel kupuje szczoteczkę co cztery lata! Przykre, ale najmniej środków czystościowych zużywa się w rodzinach robotniczych i chłopskich.

Węzły sanitarne nawet w nowoczesnych zakładach produkcyjnych są zaniedbane. Nikt się o nie nie dopomina. Prysznice, łazienki są nie używane. Ludzie nie odczuwają takich potrzeb. Pracownicy, owszem, odwiedzają je sporadycznie, ale w innych celach. Rozkręcane, rozkradane są umywalki, baterie, bojlery. Odzieży roboczej też się nie pierze, tylko wyrzuca, jasne, że po długotrwałym okresie noszenia. Jest wiecznie brudna, poplamiona smarami, przepocona. Któż nie zna zapachu hydraulika, który wpadł, aby naprawić cieknący kran. Zakładowego palacza, ślusarza poznajemy bezbłędnie. Osobiście znam tylko jednego człowieka w tym fachu, który chodzi zawsze czysto ubrany i nawet ręce ma wypielęgnowane. Oczywiście, żadna praca nie hańbi, ale w ostatecznym rozrachunku brud też ujmy nie przynosi, większość traktuje go jako wyłącznie swoją osobistą sprawę no i spotykamy się z nim na każdym kroku. Chociażby w sklepie! Sprzedawczynie tymi samymi rękoma przyjmują pieniądze i nakładają nie opakowany towar, ser, cukierki, herbatniki luzem. Często też mają czarne obwódki pod paznokciami.

Opowiadał mi przyjaciel, iż któregoś dnia przypadkowo znalazł się w rzeźni. Obejrzał ubój, produkcję i przez dłuższy czas nie miał apetytu na żadne przetwory, kartki oddawał sąsiadom. Parę lat temu w zlewni mleka w Rzgowie w ubikacji personelu inspektor Sanepidu zamiast papieru toaletowego znalazł... wiązkę siana. Gdyby Sanepid był w stanie z żelazną konsekwencją egzekwować wszystkie przepisy, większość placówek trudniących się produkcją, magazynowaniem żywności, a także handlem byłaby zamknięta. To samo ze szpitalami. Warunki w jakich hospitalizuje się chorych są nierzadko tragiczne, placówki służby zdrowia są także opanowane przez prusaki, brudne.

A jak żyjemy? Wystarczy wejść w bramy starych posesji. Cuchnie moczem, stęchlizną. Podobnie w klatkach schodowych. W nowym budownictwie nie jest lepiej. Lokatorzy wyrzucają odpadki, niepotrzebne przedmioty przez okna, prosto na trawniki. Wala się tam wszystko, papiery, podpaski, puszki po konserwach. W windach niedopałki, lepka poplamiona podłoga, sprośne hasła. Na schodach również. W piwnicach odchody zwierzęce, ludzkie, tłuste brzęczące muchy, zgniłe ziemniaki. O śmietnikach lepiej nie pisać.

Czy trudno się dziwić gospodarzom domów, iż niełatwo utrzymać im porządek, skoro lokatorzy są aż tak beztroscy.

A obejścia wiejskie? Tutaj nieporządek jest już regułą, chociaż od drogi widać kwitnący ogródek i solidny murowany dom. Wewnątrz brudno. Najczęściej brakuje wody. Całe rodziny urzędują w jednym maleńkim pomieszczeniu. Pokoje z dywanami, telewizorem stoją nie zamieszkane. Łazienek nie ma, po prostu nie buduje się lub stoją bezużytecznie.

Swoją drogą dobrze, że chociaż święta państwowe i kościelne mobilizują do generalnych porządków. W mieszkaniach sprząta się przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. Pachnie wtedy jakoś inaczej, pastą, świeżością. Lśnią szyby, bielą się firanki. Na co dzień żyjemy w symbiozie z brudem, przywykliśmy do tej swojskiej narkozy, czyż nie pora z nią skończyć?

MŚCIWÓJ ZASADNY

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 32

Szaleństwo leśniczego Turleja

Od rybaków wypożyczył stare sieci i rozwiesił je na starej wiśni, na kilku drzewach umieścił zmyślne potrzaski i wnyki, w specjalnie kupionym notesie wykreślał szlaki wędrówek Kłobuka po leśnych drogach i w tych to miejscach obowiązkowo, przynajmniej raz na tydzień, bywał osobiście ze strzelbą gotową do strzału. Jego zmagania nabrały tak gigantycznego charakteru, że budziły podziw u wielu mieszkańców Skiroławek, a nawet i w całej gminie Trumiejki. Barwny sposób opowiadania o Kłobuku i jego przewrotnym zachowaniu się w lesie zjednywały mu zwolenników — zdarzyło się, że w polowaniu na złowrogiego ptaka wziął udział pisarz Lubiński, który też obiecywał Turlejowi, że jego walkę ze strasznym ptakiem uwieczni w jednej ze swych następnych powieści zbójeckich. Nawet nadleśniczy Kociuba okazywał wyrozumienie dla pewnych niedostatków, jakie dawały się zauważyć w pracy leśniczego i mawiał z powagą: „No cóż, pan Turlej poluje na Kłobuka..." O zmaganiach Turleja z Kłobukiem nie wypowiadał się Porwasz, natomiast pani Halinka przy każdej okazji stwierdzała ze złością: „Kto by pomyślał, że on ma tyle energii i wytrwałości? Ale drewek na opał jak nie było, tak nie ma. Słyszałam, że i kaloryfer zaczął mu ciec..." Pani Basieńka dopatrzyła się w bojach Turleja cech niemal nadludzkich i upieczony przez siebie placek drożdżowy osobiście zaniosła do leśniczówki Blesy, aby wzmocnić siły bohatera. W istocie bowiem w postawie leśniczego Turleja było coś niezwykłego, na miarę starożytnych herosów. Urósł Turlej w wyobrażeniach ludzkich do wymiarów olbrzyma, nisko kłaniały mu się nie tylko dzieci szkolne, ale i dorośli ludzie. Leśniczówka Blesy stała się miejscem, do którego peregrynować zaczęli rozmaici myśliwi, poszukiwacze przygód, bajarze spragnieni legend o Kłobukach, a nawet przyjechała pewna romantyczna blondynka z Bart. Rychło jednak porzucali Turleja, ponieważ, ogarnięty nadrzędną ideą uśmiercenia Kłobuka — przestał odczuwać pragnienie i łaknienie, a także, jak to stwierdziła owa blondynka, znikło w nim również libido, czyli zatracił pociąg do kobiet.

Na wieść o tej sprawie zasępił się doktor Jan Krystian Niegłowicz, a następnie poszedł do leśniczówki Blesy i stanął oko w oko z Turlejem. Najpierw, jak to się stało zwyczajem, zapytał go o przebieg walki z Kłobukiem i wysłuchał opowieści o przewrotnościach owego ptaka. Następnie kazał Turlejowi rozebrać się i położyć na łóżku: opukał go, osłuchał, kazał pokazać język i gardło. Ciało Turleja było wychudłe i sczerniałe od trudów, urosła mu również rudawa broda. W oczach palił mu się jakiś niesamowity ogień, a chęć czynu była w nim tak wielka, że nawet i przez chwilę nie mógł spokojnie poleżeć na łóżku, tylko raz po raz zrywał się i chciał biec do lasu.

— Przekona się pan, doktorze — mówił namiętnie Turlej — że gdy tylko uśmiercę Kłobuka, na moim podwórzu urośnie ogromna sterta drewna. I kaloryfer ciec przestanie. Stos polan będzie tak wysoki, że sięgnie nieba i zobaczy go moja żona z okna domu Porwasza. A wtedy do mnie powróci.

— To oczywiste — zgadzał się z nim doktor. — Podobno już znowu polubiła zielony kolor. Porwaszowi kupiła trzy zielone koszule.

— Wspaniale! — zachwycał się Turlej. — Znowu polubiła zielony kolor?! A jak pan sądzi, doktorze, czy ona mnie zdradziła?

— Nie — odparł zdecydowanie doktor. — Taka kobieta jak pani Halinka nigdy nie zdradza istoty jakiegoś mężczyzny, z którym pozostawała w ścisłym związku. Chyba nie przywiązuje pan wagi do takich drobiazgów jak ten, że mieszka z Porwaszem i kładzie się z nim do łóżka. Porwasz jest taki sam jak pan: nie ma drewna na opał, całymi miesiącami nosi tę samą koszulę. Odchodząc od pana, zarazem pozostała panu wierną, może nie w potocznym sensie, ale w sensie ogólnym, to jest najważniejszym.

— Tak, pozostała mi wierną. Wiem o tym — zgadzał się z nim Turlej. — Nie jestem głupcem, aby zwracać uwagę na drobiazgi. Najważniejsze, że pozostała wierna mej istocie. Słusznie pan zauważył, że Porwasz niewiele różni się ode mnie pod pewnymi względami. Odeszła więc, ale zarazem jak gdyby pozostała ze mną. W Porwaszu odnalazła mnie, czyż nie tak?

— Owszem. Wykazuje pan zadziwiającą trzeźwość umysłu — oświadczył Niegłowicz. — Dlatego, jak sądzę, tym bardziej łatwo będzie przekonać pana do wzmocnienia swych sił, aby walka z Kłobukiem stała się skuteczną. Radzę co rano zażywać pigułki czerwone, a wieczorem niebieskie. Mam też dla pana serię zastrzyków. Będę je panu robił osobiście i codziennie. Po jakimś czasie odczuje pan silne łaknienie i pragnienie oraz odezwie się w panu naturalne libido. Czy ma pan adres tej romantycznej blondynki z Bart?

— Nie.

— Szkoda. Byłoby wskazane, aby przyjechała tu do pana na dziesięć dni.

— Nie chcę żadnych wizyt — zastrzegł się Turlej. — Obcy ludzie, nawet kobiety, rozpraszają mnie i przeszkadzają w moich sprawach.

Doktor zrobił zastrzyk i wrócił do domu. Przez dziesięć dni cierpliwie odwiedzał Turleja i dawał mu kolejny zastrzyk, nakazał też Gertrudzie, aby nosiła mu codziennie obiady. Chyba po sześciu dniach owej kuracji Turlej stwierdził, że przestał widywać Kłobuka na starej wiśni, ów przewrotny ptak przestał go nękać i dlatego stracił dla niego dawne zainteresowanie. Owszem, od czasu do czasu jeszcze szedł w las na poszukiwanie złowrogiego ptaka, ale coraz rzadziej odkrywał na piaszczystych drogach ślady jego pazurów. Po dziesięciu dniach — gdy wraz ze stażystą, panem Andrzejem, robił jak ongiś wypłatę dla robotników leśnych — zwierzył mu się, że najprawdopodobniej Kłobuk zadręczony pościgiem, przeniósł się do sąsiedniego leśnictwa.

Kuracja zastosowana przez Niegłowicza miała jednak i ujemne skutki. Oto wraz ze śmiercią nadrzędnej idei walki z Kłobukiem leśniczy Turlej powoli wracał do swych dawnych nawyków i dawnej osobowości. Przepadł gdzieś bezpowrotnie człowiek czynu, zdolny do największych trudów i poświęceń, narodził się zaś na powrót bezwolny marzyciel, osobnik niezwykle roztargniony i zapominający po kilku minutach o każdym swym postanowieniu, jeśli wiązało się ono z najmniejszym wysiłkiem z jego strony. Bywał często osowiały, po dobrym obiedzie Gertrudy Makuch jak dawniej lubił godzinami spać w łóżku i najlepiej się czuł, gdy nikt go do niczego nie zmuszał, nawet do pójścia do lasu. I tak jak do niedawna niemal mieszkał w ostępach leśnych, tak teraz trudno go było nakłonić do opuszczenia domu. Najchętniej do lasu wysyłał pana Andrzeja, co rzecz jasna kończyło się koniecznością poniesienia wysiłku, aby zgubionego stażystę odszukać, zanim nie zginie on z głodu i chłodu. Pan Andrzej bowiem nic się nie zmienił — wciąż gubił się w drodze do najbliższego zrębu.

Zdarzyło się w owym czasie, że Turlej udał się po chleb do sklepu w Skiroławkach i mijając dom Porwasza, zobaczył za ogrodzeniem z siatki kilkuletniego chłopca bawiącego się piłką. W postawie i rysach tego chłopca coś się wydało Turlejowi bardzo znajome. Tedy przystanął i spytał zdławionym głosem:

— A nie jesteś ty, chłopczyku, synem leśniczego Turleja?

— Tak — odparł chłopiec.

— To ja. To ja jestem twoim ojcem. To ja jestem leśniczym Turlejem — zawołał i wyciągnął do dziecka ręce, choć dzieliła ich druciana siatka.

Chłopiec odszedł od siatki i powiedział nieufnie:

— Wiem, jak wygląda mój ojciec. Mam jego fotografię. Nie ma dużej brody, nie jest taki chudy i czarny na twarzy.

Dotknął leśniczy swojej brody, przypomniał sobie, że nie mył się od dawna i nie golił, od pół roku nie widział chłopca, i ten mógł zapomnieć jak wygląda ojciec. Postanowił natychmiast odmienić swój wygląd i zamiast do sklepu, szybkim krokiem udał się do leśniczówki Blesy. Niestety, nie znalazł w łazience ani jednej żyletki, która nadawałaby się do golenia. Nie chciało mu się jednak znowu wędrować przez wieś aż do sklepu, odłożył więc sprawę na później, a nazajutrz o całej historii zapomniał. Cechowała go bowiem jakaś niezwykła i trochę irytująca dla otoczenia właściwość, że wszelkie sprawy układały się w jego myślach jak stos kartek na biurku w kancelarii. Każda następna zakrywała wszystkie inne i to wydawało mu się jedynie ważne, co działo się w czasie teraźniejszym. Po kartki leżące pod spodem należało sięgnąć, wydobyć je na wierzch, stworzyć hierarchię ich wartości, a to wiązało się już z wysiłkiem, którego nie lubił. Ci, którzy go znali, wiedzieli już, że jeśli coś odkłada na jutro, odkłada zarazem na zawsze, chyba że ów ktoś był wytrwały i tę sprawę wciąż mu przedkładał jako nową. Ileż to razy przysięgał, że mundur oczyści z plam, odprasuje, brodę ogoli i twarz starannie umyje, a następnie odwiedzi swego synka w domu Porwasza. Kończyło się jednak na wędrówce do sklepu, przemykaniu koło ogrodzenia domu Porwasza, aby go chłopiec nie zauważył, kupieniu żyletek i jednorazowym ogoleniu brody. Nie starczyło sił na oczyszczenie i odprasowanie munduru. A gdy wreszcie odprasował i oczyścił mundur, znowu zabrakło mu żyletek, a pójść nie ogolonym nie chciał w obawie, że chłopiec nie rozpozna w nim ojca.

Tak żył on i podobnie żył pan Andrzej, dopóki nie skończył mu się staż i nie opuścił leśniczówki Blesy.

W ów dzień, gdy pan Andrzej wsiadał rano do autobusu odjeżdżającego ze Skiroławek, Turlej nieco dłużej przebywał w lesie. Powróciwszy do leśniczówki odkrył ze zdumieniem duży stos polan dębowych na swoim podwórku. Z komina dymiło się, a w kuchni przy piecu krzątała się Widłągowa i gotowała obiad, kaloryfer w pokoju był zespawany i po całym domu rozchodziło się miłe ciepło od centralnego ogrzewania.

— Zakazałam Gertrudzie Makuch przynosić panu obiady — oświadczyła gruba żona gajowego Widłąga, odsuwając z rozgrzanej płyty patelnię ze skwierczącymi na niej kawałkami słoniny. — Jeszcze gotowa za te obiady zażądać tej pięknej łąki za pańską stodołą. A mnie i mężowi ta łąka w sam raz pasuje. Doglądu pan potrzebuje, jak każdy samotny mężczyzna. To ja będę panu robiła obiady, dbała o śniadania i kolacje, a także o porządek. Mężowi polan dębowych pełen wóz nakazałam przywieźć, żeby ciepło było. Dostarczy jeszcze jeden wóz, potem drugi i trzeci. Na tym paśniku za pańską stodołą owce zaczniemy hodować, a trzymać je będziemy w pana oborze. Siano dla owiec zgromadzi się w pana stodole, siano z tych łąk w lesie, które są pana. Dzieci mam duże, wypada je odwiedzać i chcemy mieć samochód. Na owcach najszybciej można się dorobić.

— Dobrze. Bardzo dobrze, pani Widłągowa — pomrukiwał leśniczy wdychając smakowity zapach smażonej słoniny, którą krasiła ziemniaki. — Mnie ani ta łąka, ani obora nie są potrzebne. O jednym tylko myślę: przywieźć trzy przyczepy drewna, porżnąć je na pieńki, połupać na polana i stos z nich wielki jak do nieba ułożyć. Ujrzy je moja żona z domu Porwasza i powróci tutaj wraz z dzieckiem.

— A pewnie. Czemu miałaby nie wrócić — przytakiwała Widłągowa, stawiając przed leśniczym obiad z dwóch dań na czyściutko wymytym stole. Potem zabrała się do szorowania zapleśniałych naczyń w zlewozmywaku.

Jadł Turlej obiad i mimochodem spoglądał na wypięty na niego zad Widłągowej, na wielkie półkola jej pośladków i szerokie plecy, na grube uda dobrze widoczne, kiedy pochylała się nad kubełkiem, wrzucając do niego śmierdzące resztki starego jedzenia. Z pełnym żołądkiem, rozmarzony ciepłem w mieszkaniu, ukołysany marzeniami — poszedł po obiedzie spać do czystej pościeli w wysprzątanym pokoju, gdzie nie ciekł już kaloryfer. Po chwili weszła za nim Widłągowa, przysiadła się na brzeżku łóżka i tak mówiła:

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Dałam panu własną czystą pościel, a tę pańską, brudną, zabrałam do prania. To samo zrobiłam z pańskimi gatkami i podkoszulkami. Wszystko przyniosę czyste i odprasowane. To samo stanie się z koszulami i z pańskim mundurem odświętnym. Dawniej trochę opiekowałam się panem Porwaszem, ale on nie to samo, co pan.

— O nie, nie, pani się myli — bronił się leśniczy Turlej. — On jest taki sam, jak ja. Bo czy inaczej zamieszkałaby u niego moja żona?

— Będę się panem opiekować jak Porwaszem, gdyż w ciążę już nie zachodzę i mąż na tę opiekę zgodę wyraził. Ładna jest ta łąka za pańską stodołą, panie leśniczy i szkoda, żeby się marnowała albo w czyjeś obce ręce dostała. Przytulnie i wygodnie będzie panu z nami. Bo przecież chyba nie jest prawdą to, co gadała ta blondynka z Bart, że przez tę gonitwę za Kłobukiem na swojej fujarce już pan grać nie potrafi?

Wsunęła rękę pod kołdrę, ciepłą dłonią wyłuskała z rozporka gatek fujarkę leśniczego i miętosiła ją delikatnie, z lubością, aż mu odpowiednio urosła i stwardniała. Zmrok jesienny panował w pokoju, tedy, westchnąwszy cichutko, bez wstydu rozebrała się, obnażając potężne ciało i legła obok Turleja. Jej miękka skóra aż parzyła od gorąca, a piersi wydawały się jak dwa płaskie bochenki chleba. Legł na niej Turlej, drapiąc jej szyję nie ogolonymi policzkami, a ona od tego drapania aż postękiwała z rozkoszy.

Zasnął Turlej w jej grubych ramionach i nic mu się nie śniło. A przecież właśnie w tym czasie odwieczny Kłobuk znowu usiadł na gałęzi starej wiśni i tkwił tam aż do rana. Dziwny ptak podobny do zmokłej kury, ze złotawymi piórami utkanymi z ludzkich snów.

O tym, jak pisarz Lubiński pobratał się z ludem

Maria Porowa uciekła w las, zabierając z sobą trójkę swych dzieci: Dariusza, o którym mówiono we wsi, że wyrośnie na wielkiego człowieka, ponieważ od maleńkości nosił się dumnie; Zosię, co to zaledwie od ziemi odrosła, a już królika ukradła; oraz niespełna dwuletniego Janka. Dziecko to jeszcze nie chodziło, ani mówiło, pozostawione przez Porową w zasikanym łóżku samotnie tłukło głową w poduszkę, co — ku ogólnemu zdziwieniu wiejskich kobiet — zdawało się mu sprawiać jakąś dziwną przyjemność. W wystawionym dla sądu w Bartach orzeczeniu doktora Niegłowicza mały Janek kwalifikował się do szpitala, natomiast pozostałe dwoje dzieci należało zabrać do domu dziecka. I tak też zdecydował sąd, odbierając Porowej prawa rodzicielskie i wysyłając po dzieci samochód z domu dziecka. Ktoś jednak uprzedził Porową o terminie przyjazdu samochodu i uciekła z dziećmi w las. A że go znała lepiej od leśniczego Turleja, tedy milicjant, pielęgniarka oraz wychowawczyni nawet nie usiłowali jej szukać. Zmartwił się tym wydarzeniem doktor Niegłowicz, gdyż choć pierwsza połowa listopada była słoneczna i ciepła, nocami jednak zdarzały się już przymrozki i dzieci mogły się przeziębić. Nie wydawało się to jednak aż takie pewne, skoro w lute mrozy mały Darek potrafił boso i nago do pępka biegać po śniegu i nawet nie zakasłał. A gdy mu pani Halinka Turlej kupiła ciepłe rajtuzy, nosił je zaledwie dzień, następnie rzucił w krzaki, wyjaśniając, że mu w nich było niewygodnie.

Wieści o ucieczce Porowej słuchał Lubiński ze zmarszczonym czołem, usiłując rozwiązać zagadkę tak dziwnego zachowania się owej kobiety. Bo jeśli już dwukrotnie do różnych domów dziecka zabrano jej aż ośmioro dzieci i potem nigdy się nimi nie interesowała, czemu teraz wzbraniała się przed oddaniem i tej trójki? Jeśli kochała je więcej niż tamte, to dlaczego postępowała z nimi tak samo jak z tamtymi, nie dawała jeść, pozostawiała same na całe dnie i noce? Czy w takiej sytuacji nie powinna raczej niecierpliwie wyczekiwać aż przyjedzie samochód po jej dzieci i zabierze je do lepszego życia? Zresztą wszystkim we wsi wydawało się oczywiste, że Porowa wkrótce sprawi sobie nowe dziecko, jedno albo jeszcze dwoje, bo była stosunkowo młodą, i, sądząc po jej dotychczasowym życiu, płodną kobietą. Tymczasem uciekła z dziećmi w las, jakby skarb jakiś najcenniejszy pragnęła ocalić przed złymi ludźmi.

Dla Nepomucena Lubińskiego, który od pewnego czasu ogarnięty był myślą, aby zająć się opisywaniem ludzi i spraw prawdziwych, osoba Marii Porowej mogła stanowić kanwę dla noweli lub opowiadania. Mieściła się ona także w formule powieści zbójeckiej, gdyż w istocie Porowa była matką zbójecką. Należało tylko znaleźć właściwy klucz do zrozumienia jej osobowości, tym kluczem otworzyć duszę owej kobiety, zobaczyć tkwiące w niej sprzeczności, a być może jedność przeciwieństw i dokonać literackiego powiększenia, o którym myślał u śluzy na kanale.

Atoli, o ile klucz do zrozumienia psychiki postaci literackich znajdował Lubiński równie łatwo jak złodziej, gdy chce się dostać do czyjegoś domu — wiadomo bowiem, że zazwyczaj taki klucz leży pod słomianką, to w przypadku postaci żywych znalezienie klucza okazywało się niekiedy sprawą skomplikowaną. Żywe postacie sprawiały wrażenie, że klucz do swego domu ukrywają w nie wiadomo której kieszeni, albo zgoła po prostu gubią. Bywało też, jak w sprawie Porowej, że ów dom pozostawiano w ogóle nie zamknięty, a właścicielka uciekała w las wraz ze swymi dziećmi i swymi zagadkami. Ów dom, zabudowania oraz kilka hektarów ziemi otrzymali kiedyś rodzice Marii Porowej jako zadośćuczynienie za ich gospodarstwo utracone na Wschodzie. Ojciec jej, Józef, zginął wkrótce rozszarpany przez ładunek wybuchowy, który sam skonstruował, aby głuszyć nim ryby w jednym z leśnych jezior. Gospodarstwo prowadziła odtąd żona zabitego, Franciszka, wychowując dwóch synów i córkę Marię, najmłodszą z rodzeństwa. Jeden z braci Marii został zawodowym wojskowym, drugi ukończył technikum górnicze i osiadł na południu, Maria zaś już w siedemnastym roku życia urodziła pierwsze swoje nieślubne dziecko z niewiadomego ojca. Jej matka tak się tą sprawą przejęła, że, jak powiadali później miejscowi ludzie, w dwa lata po urodzeniu wnuka zmarła na udar serca. Niemal w tym samym czasie Maria Porowa powiła drugie nieślubne dziecko, także z niewiadomego ojca. Jak również tego samego roku powiła dziecko trzecie, co wydaje się dziwne, a przecież jest prawdziwe, gdyż rok składa się z dwunastu miesięcy. Urodziwszy drugie dziecko w styczniu, trzecie urodziła w grudniu tego samego roku.

c.d.n.